www.tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 48 (1038)
25.11-1.12.2019
Cena 6,80 zł
(w tym 8% VAT)

Lewica w Sejmie – dzieje się

500 dni **Brzęczka**

Dąbrowszczacy ze Śląska

O fenomenie **Kazika i Kultu**

Emerytalne pomysły PiS

PPK DROGA DONIKĄD

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
9 771509 311904 48

Czytajcie książki ISKIER

ISKRY

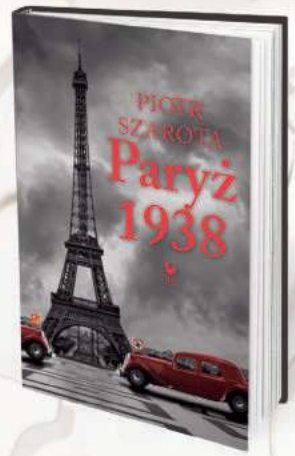

PARYŻ 1938
Piotr Szarota

WOJNA WEDŁUG KARSKIEGO
Tomasz Łubieński

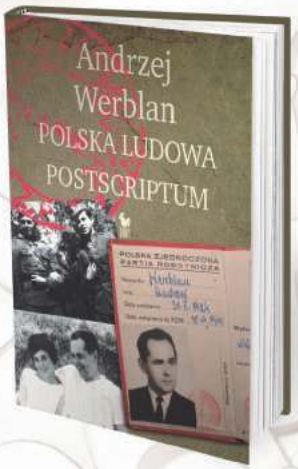

POLSKA LUDOWA. POSTSCRIPTUM
Andrzej Werblan

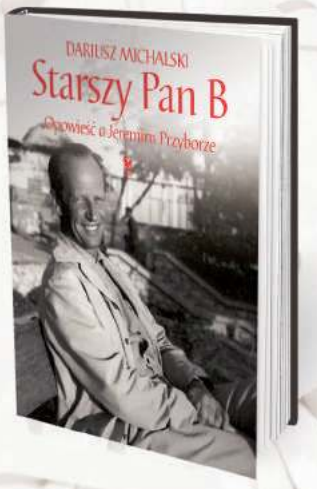

STARSZY PAN B. OPOWIEŚĆ O JEREMIM PRZYBORZE
Dariusz Michalski

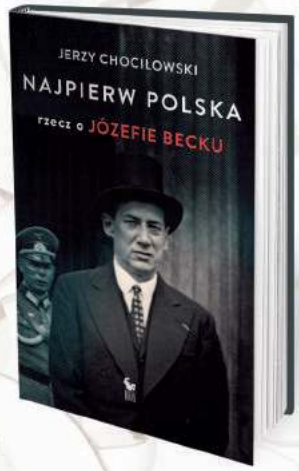

NAJPIERW POLSKA. RZECZ O JÓZEFIE BECKU
Jerzy Chociłowski

WITTGENSTEIN: WIADOMO, ŻE...
Ladislav Čumba

Książki dostępne w dobrych księgarniach
i na **www.iskry.com.pl**

eprasa.pl af54f16303

CYTATY

ADAM JAŚKOW,
analityk
Monumentalne plany rządu PiS są nierealistyczne i szkodliwe.
„Zdanie"

KAMIL SIPOWICZ,
pisarz, poeta, mąż Kory
To nie była prosta miłość. Kora miała ogromny temperament.
„Wysokie Obcasy"

AGNIESZKA RADWAŃSKA,
tenisistka
Grałam w butach tak starych, że wycinałam nożem dziurki w podeszwie, żeby się nie ślizgać i nie zabić.
„Playboy"

ANETA KRĘGLICKA,
była Miss World
Lubię się wysypiać, o 23 już śpię.
„Polska The Times"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Pinokio z krainy dobrobytu

Po wręczeniu nominacji na premiera Duda, trochę teatralnie, uściskał Morawieckiego. Zrobił to nie bez powodu. Potrzebuje jego pomocy w swojej kampanii wyborczej. W gruncie rzeczy są do siebie bardzo podobni. Politykę traktują jak spektakl. Upajają się własną rolą. Tak jakby faktycznie byli liderami polskiej polityki, a nie kaprysem kadrowym prezesa. Ciągle coś obiecują. Mówią to, co podoba się widowni. A jak zmienia się otoczenie, zmieniają przekaz. I po problemie. Bo czym jest dla nich jeszcze jedno kłamstwo? Jak ktoś został Pinokiem, to będzie kłamał coraz częściej. Chociaż przy Dudzie i Morawieckim Pinokio jest skromnym blagierem.

Po wysłuchaniu *exposé* Morawieckiego miałem wrażenie, że jest noc sylwestrowa. Masa obietnic i deklaracji, które są składane co roku. I po Nowym Roku zapominane. Morawiecki znowu obiecał to samo co wcześniej i dołożył garść nowych obiecanek. I te pierwsze, i te ostatnie mają wspólne cechy. Krótkoterminową ważność i to, że nikt ich nie traktuje poważnie. Bo jak serio traktować premiera, który zapowiada budowę państwa dobrobytu, a nie potrafi rozwiązać elementarnych problemów państwa, którym – na nasze nieszczęście – rządzi? Jakie są za jego rządów stan służby zdrowia, sytuacja edukacji i poziom praworządności? W jakiej kondycji jest sfera budżetowa, która ma gwarantować sprawność funkcjonowania państwa? Jakie szanse na mieszkanie mają Polacy, którym Morawiecki obiecał 100 tys. mieszkań, a wybudowano niecałe 900? Premier stale deklaruje troskę o rodzinę, a na lodzie zostawił setki tysięcy ludzi z rodzin osób niepełnosprawnych. Można by te puste obietnice premiera długo wyliczać. Ale wiemy, że nic nie przeszkodzi Morawieckiemu w powtarzaniu, że jego rząd jest wiarygodny, bo dotrzymuje obietnic. Premier myśli, że powtarzanie kłamstw skutecznie zamuli głowy Polaków. Myli się. Ten etap mamy już za sobą. Coraz częściej będzie słyszał: sprawdzam. Mamienie ludzi zawsze ma swój kres. Szczególnie marnie jest w sferze społecznej. PiS cieszy się jeszcze poparciem wielu ludzi dzięki wprowadzeniu 500+ i kilku podobnych programów. To były dobre decyzje. Niestety, poza nimi mamy wielkie problemy.

Po raz pierwszy skrócił się czas życia Polaków. Więcej osób umiera, niż się rodzi. Wzrósł też zasięg ubóstwa. Jeśli to są kolejne kroki ku zapowiadanemu przez PiS państwu dobrobytu, trzeba będzie skuteczniej się bronić przed nadchodzącą katastrofą.

BĄKOWSKI

eprasa.pl af54f16303

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA I OPINIE
8 **Robert Walenciak**
Lewą marsz, panie, panowie
12 **Leokadia Oręziak**
PPK – droga donikąd
41 **Wiesław Żółtkowski**
Emerytalna obłuda

KRAJ
18 **Czekając na śmierć dziecka**
Hospicja domowe
26 **Podejrzany agent Tomek**
Były agent CBA i poseł PiS
z prokuratorskimi zarzutami

ZAGRANICA
24 **Polska w genach**
– rozmowa z Igorem Janowskim
28 **Radykalni pragmatycy**
Korespondencja z Niemiec
32 **Stamtąd nie wraca się żywym**
Przypadek syryjskiego aktywisty
50 **Bieg po wielką kasę**
Biznes na zawodach miejskich

HISTORIA
36 **Losy z krwi i kości**
Ślązacy w obronie
republikańskiej Hiszpanii

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY
40 **Jak będzie się pracowało w Unii?**

KULTURA
44 **Jesteśmy tu dla naszych fanów**
– rozmowa z Olgą Bieniek
48 **Qulturalia**
58 **Książki pod choinkę**
Wydawcy polecają
66 **Strach**

SPORT
52 **500 dni Brzęczka**
Selekcjoner potrafi zaryzykować

OBSERWACJE
56 **Prawosławie w obiektywie**

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Pinokio z krainy dobrobytu
17 **Bronisław Łagowski**
Podsłuchane u Arystotelesa
27 **Jan Widacki**
Mój życiowy błąd
31 **Roman Kurkiewicz**
Normalnie nienormalne
39 **Tomasz Jastrun**
Szukanie prezydenta
43 **Wojciech Kuczok**
Jak nie pokochałem ludu
47 **Ludwik Stomma**
Do Tomasza Jastruna
55 **Edward Mikołajczyk**
Wiejska zaśpiewa

26
KRAJ

PODEJRZANY AGENT TOMEK
Były agent CBA i poseł PiS z prokuratorskimi zarzutami

50
ZAGRANICA

BIEG PO WIELKĄ KASĘ
Biznes na zawodach miejskich

56
OBSERWACJE

PRAWOSŁAWIE W OBIEKTYWIE

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ADOBE STOCK, BEW

eprasa.pl af54f16303

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

Denis Viren
Za co Rosjanie kochają polskie filmy

Książki pod choinkę
– wydawcy polecają

Trauma po zamachu na Gabriela Narutowicza

Piec gaśnie po wyborach
Gorzki prezent od ArcelorMittal na 70-lecie Nowej Huty

Piec gaśnie po wyborach

Kiedy huta nosiła niesłuszne imię Lenina, była polską hutą, zatrudniała tysiące Polaków i dawała życie całemu miastu. Kiedy Polska wreszcie się „wyzwoliła spod sowieckiej okupacji" i huta otrzymała jedynie słuszne imię Sendzimira, została sprzedana w obce ręce i właśnie dogorywa.

Myślę, że to doskonała synteza tzw. transformacji ustrojowej i jej oszałamiającego „sukcesu" – i w Polsce, i w całym dawnym bloku wschodnim. Niech się więc nie zastanawiają rozmaici kapłani neoliberalizmu, skąd się wzięła fala nacjonalizmu w Europie. Miliony ludzi pozbawiono pracy, godności, rozszarpano na strzępy całą tkankę społeczną utkaną wokół wielkich przedsiębiorstw przemysłowych, budowlanych itd. Teraz to się mści.

Radosław

Kółko graniaste

Bardzo mnie rozśmieszyło, że takie mądre osoby jak pani Nowicka czy pani Senyszyn nie chcą być posłami, a wolą być posłankami lub posełkami. Szkoda. Tak dzielne kobiety nie powinny podkreślać, nawet językowo, różnic między płciami. W końcu urzędy czy funkcje, które pełnią kobiety i mężczyźni, nie różnią się skalą obowiązków, więc nie powinny się różnić końcówkami w nazwie. Ja byłam senatorem, a określenie senatorka obrażało mnie, odbierałam je jako lekką kpinę z mandatu, który sprawowałam. Jestem człowiekiem, a nie człowieką. A poza wszystkim wojna o takie drobiazgi szkodzi lewicy, obniża rangę jej programu. Przecież tyle mamy do zrobienia! Jeśli kilka pań chce się koniecznie promować w mediach, równie dobrze mogą trafić na ekrany, tańcząc na korytarzach sejmowych „Kółko graniaste".

Maria Berny

Poczta zniechęca

Próbowałem na stronach internetowych Poczty zamówić prenumeratę PRZEGLĄDU, ale jest to niewykonalne, mimo że dobrze sobie radzę z siecią. Internetowy system zamawiania prenumerat w Poczcie Polskiej jest do bani, jakby celowo chcieli tam zniechęcić klientów. Ta instytucja przestała zasługiwać na to, żeby w nazwie mieć przymiotnik polska. To poczta pisowsko-kruchciana, a nie polska.

Bartosz Jurczak

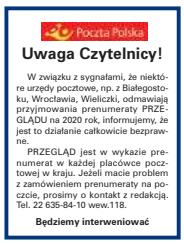
Poczta Polska

Uwaga Czytelnicy!

W związku z sygnałami, że niektóre urzędy pocztowe, np. z Białegostoku, Wrocławia, Wieliczki, odmawiają przyjmowania prenumeraty PRZEGLĄDU na 2020 rok, informujemy, że jest to działanie całkowicie bezprawne.

PRZEGLĄD jest w wykazie prenumerat w każdej placówce pocztowej w kraju. Jeżeli macie problem z zamówieniem prenumeraty na poczcie, prosimy o kontakt z redakcją. Tel. 22 635-84-10 wew.118.

Będziemy interweniować

Celibat dogorywa

Celibat (głównie pozorny) to jedyna niewygodna konsekwencja tak konformistycznego wyboru, jakim jest szerzenie i egzekwowanie dogmatów, którym samemu nie jest się wiernym, w zamian za opływanie w dostatki i za niezasłużony szacunek oraz pozycję społeczną. Niech ponoszą tego konsekwencje.

Karolina Bronson

•

Gdybyż jeszcze sami ponosili te konsekwencje. Niestety, ten koszt ponoszą też wykorzystywane seksualnie przez duchownych dzieci, także młodzież i dorośli. Trzeba z tym skończyć.

Zcicha Pęk

ZDJĘCIE TYGODNIA

Marian Banaś, najpilniejszy słuchacz exposé premiera Mateusza Morawieckiego.

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl af54f16303

Nagrodę Radia ZET im. Andrzeja Woyciechowskiego otrzymali Marek i Tomasz Sekielscy za film dokumentalny „Tylko nie mów nikomu". Tytułami Dziennikarza Dekady zostali wyróżnieni **Bianka Mikołajewska** (OKO.press), **Adam Pieczyński** (TVN/TVN 24) oraz **Paweł Reszka** („Polityka").

W rankingu **„Rzeczpospolitej"** oceniającym atrakcyjność zatrudnienia **najlepszymi pracodawcami zostali Pepco Poland**, Poznań; **Dino Polska**, Krotoszyn; **Eko Okna**, Kornice (firmy zatrudniające powyżej 1000 osób); **Fabryka Przyczep Niewiadów**, Warszawa; **Cerrad**, Starachowice; **Aryzta Polska**, Grodzisk Mazowiecki (powyżej 250 osób).

Eugeniusz Kabatc został wybrany (na czwartą kadencję!) na prezesa Polskiego Oddziału Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (SEC); wiceprezesami zostali Wacław Sadkowski, Maria Szyszkowska i Grzegorz Wiśniewski.

Andrzej Bychowski, znany aktor, społecznie opiekuje się ocalałym po ataku wandali cokołem pomnika gen. Zygmunta Berlinga. Jako dziecko widział, jak żołnierze Berlinga wyzwolili warszawską Pragę i próbowali przyjść na pomoc powstaniu.

Marcin Juszczęć, dyrektor Szkoły Podstawowej w Bystrej, skutecznie interweniował w kuratorium i kurii, by odsunąć od zajęć z dziećmi ks. Stanisława Leśniaka, proboszcza miejscowej parafii. **Proboszcz bił, szarpał i poniżał dzieci.**

Prawie 1,36 mln emerytów otrzymuje miesięcznie mniej niż 1,6 tys. zł brutto.

Krzysztof Kwiatkowski, były prezes NIK powiązany z PO, próbuje rozgrywać swoje interesy w Senacie, a powinien siedzieć cicho, dopóki przed sądem nie wyjaśni poważnych zarzutów z okresu zarządzania NIK.

Marek Suski, poseł PiS, były szef gabinetu premiera Morawieckiego, ulokowany w KPRM jako ucho Nowogrodzkiej, już tam nie gości. Prezes Kaczyński nie potrzebuje go w rządzie, bo premier raportuje mu wszystko ze szczegółami.

Ks. Bronisław W., proboszcz parafii w Kopytowej (gmina Chorkówka na Podkarpaciu), **został zawieszony w obowiązkach, bo rozsyłał uczniom pornografię**.

71% osób pozwala korzystać ze służbowych telefonów, tabletów, laptopów osobom postronnym: dzieciom, rodzinie, znajomym (badania Polskiego Instytutu Cyberbezpieczeństwa).

22 służby specjalne funkcjonują obecnie w Polsce. Krzyżują się ich kompetencje. Rośnie ambicjonalna rywalizacja. Przybywa szefów z bezpośredniego zaplecza PiS. A efekty? Widzimy.

PRZEBŁYSKI

Do prezesa Sypniewskiego, opoki Poczty Polskiej

Ta instytucja potrafi grać na nerwach jak mało kto. Wiedzą o tym klienci skazani na Pocztę Polską. Monopolista robi, co chce. I z niczego się nie tłumaczy. Władze spółki tak szczelnie zamknęły dostęp do siebie, że nawet adres mejlowy prezesa Przemysława Sypniewskiego jest utajniony. Podobnie jak jego zastępców. 25 listopada mija termin opłacania prenumeraty gazet na 2020 r. Nasi czytelnicy chcący zaprenumerować PRZEGLĄD dowiadują się w okienkach pocztowych, że nie ma takiego tytułu. Choć w spisie, który jest w każdej placówce, oczywiście jesteśmy. Interweniujemy. Zakłócamy spokój jaśniepaństwu z zarządu. I nic. Prezesowi Sypniewskiemu zapowiadamy więc spotkanie w sądzie. Jak nie za tej władzy, to za następnej.

Kara czy pieszczota?

Nic, tylko śmiecić. I kasować za to spore pieniądze. To nie żart. Choć dowcipem są kary, które grożą za nielegalne składowanie odpadów. Rzadko, bo rzadko, ale czasem złapie się jakiegoś pechowca. Takiego jak Mariusz Śrutwa, były piłkarz Ruchu Chorzów i reprezentacji Polski, który do spółki z kolegą wpakował 300 ton odpadów na teren nieczynnej cegielni w Konradowie koło Głuchołaz. Śrutwa został ukarany i musi zapłacić 10 tys. zł grzywny, a kolega 6 tys. zł. No i zapłacą jeszcze po 2 tys. zł na NFOŚ. Malutko. Różnica między karą a zarobkiem jest bardzo kusząca. PiS wszędzie szuka kasy. Mamy więc propozycję. Podnieście wreszcie te śmieszne kary. Skokowo.

Przechodni gabinecik

Nie minęło 10 lat, jak Michał Kamiński z Adamem Bielanem przymilnie zaglądali w oczy Jarosławowi Kaczyńskiemu. Pełne oddanie dwóch kumpli. Ale gdy uznali, że prezes jest już *passé*, poszukali sobie nowych idoli. Bielan pierwszy zauważył, że to pomyłka. Na kolanach odrabiał straty u prezesa. I jako pisowiec został wicemarszałkiem Senatu. Dostał też to, co lubi najbardziej. Własny gabinecik.
Teraz jest europosłem. A opuszczony gabinet zajął… Michał Kamiński, już nie kumpel Bielana, do tego zaciekły krytyk PiS. Na miejscu Kamińskiego ściągnęlibyśmy speca od podsłuchów. Bo trudno uwierzyć, że „zdrajca" Bielan nie był sprawdzany. I egzorcystę. Niech wygoni złe moce.

FOT. YOU TUBE (2), MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl af54f16303

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Moje sposoby na jesienne przeziębienie

PROF. ANDRZEJ GŁADYSZ,
specjalista chorób zakaźnych

W zapobieganiu przeziębieniu najważniejsze jest ubieranie się stosownie do aury, pozwalające uniknąć zarówno przegrzania, jak i przechłodzenia organizmu. Szczególnie ważna jest ochrona głowy oraz unikanie przemoczenia stóp. Poza jedzeniem owoców wskazane jest zażywanie preparatów zawierających witaminę C w ilości do 200 mg dziennie (większe ilości są szkodliwe, a organizm i tak wydala je przez nerki). Warto też zadbać o to, by pomieszczenia, w których przebywamy, były przewietrzone i niezbyt duszne. Klimatyzacja nie rozwiązuje sprawy, bo sama bywa źródłem zagrożenia zakażeniem bakteriami atakującymi układ oddechowy, np. należącymi do rodzaju Legionella. A kiedy już wystąpią pierwsze objawy przeziębienia, takie jak drapanie w gardle, zachęcam do użycia zwykłych tabletek łagodzących odczyn zapalny. Pamiętajmy także o regularnym i dokładnym wysiąkiwaniu nosa.

IWONA KIBIL,
dietetyczka, Wegecentrum

Staram się, aby moja dieta każdego dnia była kolorowa i zawierała świeże owoce i warzywa. Jeżeli już dopadnie mnie przeziębienie, moje dietetyczne sposoby na walkę z nim to: 1. gorąca zupa i herbata z hibiskusa. Nie tylko rosół, ale każda gorąca zupa sprawi, że poczujemy się lepiej. Herbata z hibiskusa ma natomiast silne właściwości przeciwzapalne; 2. intensywne przyprawy – kurkuma, imbir, czosnek, goździki itp. Zależy, do czego je dodajemy (dania na słodko czy na słono). Przyprawy mają działanie przeciwzapalne i przeciwbakteryjne; 3. owoce i warzywa bogate w witaminę C, beta-karoten i flawonoidy – szczególnie cytrusy, zielone warzywa liściaste, pomarańczowe i czerwone warzywa; 4. witamina D – nie występuje w diecie, więc należy ją suplementować każdego dnia, a przynajmniej od października do kwietnia.

JOANNA BARANOWSKA,
blogerka, Organiczni.eu

Oczywiście lepiej zapobiegać, niż leczyć, ale większość sprawdzonych sposobów na wzmocnienie odporności sprawdzi się również, kiedy coś już nas „złapie". Dobrą metodą jest dieta bogata w czosnek, zwłaszcza surowy, ze względu na jego działanie przeciwwirusowe i antybakteryjne. Profilaktyczne, ale także lecznicze działanie ma woda z miodem i cytryną, którą moja rodzina pije codziennie rano. Miód działa przeciwkaszlowo, w cytrynie jest witamina C, a taki napój jest smaczny i można go podawać dzieciom; pamiętajmy tylko, by nie rozpuszczać miodu w gorącej wodzie, bo straci swoje prozdrowotne właściwości. Przy pierwszych objawach przeziębienia i kaszlu robię także napar z tymianku. Można go zaparzać z korzeniem lukrecji, wtedy bardziej smakuje dzieciom, a lukrecja ma działanie wykrztuśne. Dobre na kaszel są napar z kwiatów ślazu oraz kasza jaglana z mączką z chleba świętojańskiego. Podczas przeziębienia pamiętajmy również o piciu dużych ilości wody.

Czytelnicy PRZEGLĄDU

JAROSŁAW GÓRSKI,

Zmoczyć głowę, ubrać się leciutko, pobiegać chwilę, a potem usiąść na godzinkę na dworze. Jesienne przeziębienie murowane.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl af54f16303

Adrian Zandberg nie tylko punktował rząd Morawieckiego, ale również zarysował program lewicy,

Lewą marsz, panie i panowie

Do Sejmu weszła lewica. Z przytupem. Dzieje się

Robert Walenciak

Na lewicy bal. Wystąpienie Adriana Zandberga podczas debaty nad *exposé* premiera Morawieckiego było wydarzeniem dnia. To o Zandbergu mówiły media, a nie o Morawieckim czy Schetynie. To on skradł *show*.

Na YouTubie trzy filmiki prezentujące jego wystąpienie miały łącznie (dane z czwartku, 21 listopada) 700 tys. odsłon. I tysiące komentarzy. „Emocje i śmiech radosny mnie rozpiera", „Klaszczę i się cieszę", „Ale soczysta mowa, aż ciarki przechodzą…", „Ale grill...", „Wreszcie ktoś w tym Sejmie wygarnął między oczy…", „Brawo! Wreszcie na lewicy jest lider z wizją i polotem" itd.

Zandbergiem zachwycali się nie tylko młodzi, ale i weterani SLD. „Dzisiaj Adrian Zandberg jakością swojego wystąpienia w sprawie *exposé* premiera wykonał kawał dobrej roboty dla lewicy" – to opinia Marka Dyducha.

Nie dziwmy się. Lewica od roku 2005 jest w głębokiej opozycji, zepchnięta do narożnika, praktycznie w niebycie; co wybory – to klapa, od klęski do klęski, więc taki powrót musiał wywołać entuzjazm. A tak na zimno? Michał Syska postarał się wypunktować czynniki, które złożyły się na sukces Zandberga. To celne uwagi.

„1. Wyznaczenie nowego pola rywalizacji z rządem.

Zandberg uderzył w PiS w obszarze polityki gospodarczej i społecznej. Niemal całe jego wystąpienie było poświęcone rozdźwiękowi pomiędzy deklaracjami premiera i jego podwładnych a rzeczywistością. Lider lewicy uderzył więc w najsilniejszą stronę PiS, bo przecież transfery socjalne i stabilna sytuacja gospodarcza to te czynniki, które decydują o wysokim poparciu dla rządzącej formacji. A w polityce nie ma nic skuteczniejszego niż zaatakowanie oponenta w jego najmocniejszy atut i obnażenie rozjazdu pomiędzy propagandą a prawdziwymi skutkami realizowanej polityki. (…)

2. *Exposé* lewicy.

Polityk Razem nie tylko punktował rząd Morawieckiego, ale również zarysował ideowy i programowy plan lewicy, wskazując konkretne projekty ustaw, które z inicjatywy lewicy trafią do laski marszałkowskiej. Lewicowa opozycja powinna tę strategię kontynuować z mównicy sejmowej przez całą kadencję. Warto, by jej przedstawicielki i przedstawiciele pamiętali, że adresatem ich przekazu są przede wszystkim obecni i potencjalni wyborcy. (…)

3. Struktura komunikatu.

Zandberg zastosował wzorcowe zabiegi komunikacyjne. Przede wszystkim wziął na warsztat pojęcie »państwa dobrobytu« tak chętnie używane przez Morawieckiego i nadał mu własną definicję. I odebrał PiS prawo do posługiwania się tym terminem, wskazując liczne sprzeczności między polityką rządu a zdefiniowanym przez polityka lewicy ideałem *welfare state.*

4. Forma komunikatu.

Wystąpienie przedstawiciela Klubu Parlamentarnego Lewicy było wyartykułowane przystępnym językiem. Liczne powtórzenia wzmacniały przekaz i czyniły przemówienie dynamicznym. Bardzo ważne były odwołania do moralności przy ocenie zaniechań PiS w polityce gospodarczej i społecznej. (…)

5. Słabość politycznej konkurencji.

Tego wątku nie trzeba rozwijać".

•

Jednak wystąpienie Zandberga to niejedyny powód do optymizmu po lewej stronie. Na pewno na plus lewica może sobie zapisać krótki bój o 30-krotność, który przez kilka dni dominował w polskiej polityce. Czyli pomysł PiS, by zlikwidować granicę, od której pobierający pensję nie musi już płacić składki na ZUS. PiS to zgłosiło, bo ma pustki w budżecie, a poza tym chciało przetestować Sejm, zwłaszcza lewicę, licząc, że ta – z zasady egalitarystyczna – poprze propozycję.

Ta gra wydawała się idealna. Po pierwsze, likwidacja 30-krotności

Wystąpienie Adriana Zandberga pisano w grupie, pracowano nad nim wiele godzin. To nie była żadna improwizacja.

eprasa.pl af54f16303

dawała dodatkowe wpływy do budżetu w wysokości 5-7 mld zł. Po drugie, można było ją przeprowadzić, szermując hasłami sprawiedliwości społecznej, stawania po stronie tych, którzy mniej zarabiają, co dzieliłoby scenę polityczną w sposób dla PiS wygodny. Bo z jednej strony byłaby partia Kaczyńskiego, a z drugiej „obrońcy elit i ludzi bogatych", czyli PO. Lewica przy takim podziale odgrywałaby rolę przystawki – do wyboru: albo Platformy, albo PiS.

Tymczasem udało się jej wyjść z tego niebezpieczeństwa z tarczą. Najpierw liderzy oświadczyli, że nie poprą propozycji PiS, a potem klub zgłosił własny projekt ustawy – który, owszem, znosił 30-krotność, ale podwyższał emeryturę minimalną do 1,6 tys. zł oraz ustanawiał emeryturę maksymalną, równą sześciokrotności wynagrodzenia minimalnego brutto – czyli w 2020 r. 15,6 tys. zł.

Batalia o emerytury szybko się zakończyła, bo PiS wycofało swój projekt, więc na placu boju pozostała lewica, jako jedyna gotowa podjąć merytoryczną dyskusję. W przeciwieństwie do Platformy, która reaguje na wydarzenia polityczne niczym pies Pawłowa – zawsze jest przeciw PiS.

•

No i trzecia okoliczność – pojawienie się Magdaleny Biejat. Debiutantka z partii Razem nagle wskoczyła do pierwszych szeregów. A to dlatego, że została wybrana na przewodniczącą sejmowej Komisji Polityki Społecznej i Rodziny.

Ten wybór twarda prawica przyjęła z wściekłością. Natychmiast wypomniano Magdalenie Biejat, że jest zwolenniczką prawa do przerywania ciąży, związków partnerskich, praw osób LGBT. Konfederacja, środowiska związane z Radiem Maryja i Solidarna Polska Zbigniewa Ziobry zażądały jej odwołania. Wydawało się, że jej dni są policzone, tymczasem rzecznik PiS stwierdził, że mianowanie jej na przewodniczącą komisji to efekt sejmowych parytetów i PiS łamać tego nie zamierza. Koniec, kropka.

Lewicy według tych parytetów przypadło szefowanie trzem komisjom (Polityki Społecznej i Rodziny, Administracji i Spraw Wewnętrznych, Mniejszości Narodowych i Etnicznych), Platformie – sześciu, PSL – dwóch. PiS – aż 18. Konfederacja nie dostała nic.

W ten sposób Magdalena Biejat i jej poglądy zostały przez prawicę rozreklamowane. Platforma po raz kolejny musiała przełknąć gorzką pigułkę. Lewicy w pewnym momencie było już obojętne, czy PiS będzie odwoływało Biejat z funkcji przewodniczącej komisji, czy nie. Tak czy inaczej, stała się ona twarzą lewicowej polityki społecznej i rodzinnej.

•

Mamy więc sytuację dla lewicy całkiem dobrą, bo wygrała trzy główne starcia w pierwszych dniach nowego Sejmu. Potrafiła narzucić tematy dyskusji politycznej i to ona była arbitrem. Na jej tle Platforma, a także PiS prezentują się w tych dyskusjach słabo, powtarzając wytarte hasła i różne banały. Doskonale to widać, jeśli porówna się wystąpienia Morawieckiego, Schetyny i Zandberga.

Mamy zatem zderzenie starej polityki z nową. Starych polityków z nową falą. No i odrzucenie duopolu PO-PiS, tego szatańskiego pomysłu Tuska i Kaczyńskiego, który zniszczył polskie życie publiczne. Bo już nie wystarczy krzyczeć: „Precz z PiS!" albo „Precz z PO!". Teraz trzeba mieć jeszcze coś do powiedzenia.

•

Ale to wszystko nie bierze się znikąd. Gdy PiS zaskoczyło Sejm pomysłem likwidacji bariery 30-krotności, lewica miała kłopot. – Na początku poszły w świat różne komunikaty. SLD mówił, że będzie przeciw, Razem – że za. Trzeba było szybko wypracować wspólne stanowisko – mówi jeden z lewicowych posłów. – Zebraliśmy się i zaczęła się dyskusja. Jaka! Wstawały kolejne osoby i przedstawiały kolejne argumenty. Szczegółowe, merytoryczne. Poziom ekspertów. To trwało kilka godzin, zakończyliśmy w nocy, przed drugą. Żaden z klubów SLD tak nie wyglądał…

Efekt był taki, że nie tylko zbudowano wspólne stanowisko, które pogodziło SLD, Razem i Wiosnę, ale również posłowie mogli iść do mediów i przekonująco bronić stanowiska lewicy. – Atakowano mnie, że chcemy wprowadzić maksymalną emeryturę, że to bolszewizm itd. – opowiada jeden z nich. – Więc zapytałem rozmówcę: „A czy emerytura 15,6 tys. zł, czyli maksymalna, którą proponujemy, to mało?".

Podobnie było z wystąpieniem Adriana Zandberga. Lewica przygotowywała się do niego cztery dni, przemówienie pisano w grupie, pracowano nad nim wiele godzin. Nie była to więc żadna improwizacja. I nie było to przemówienie Razem, tylko całej lewicy.

Jeżeli więc ktoś chciałby się pokusić o porównanie obecnego Klubu Parlamentarnego Lewicy z którymś z przeszłości, to chyba najbliższy dzisiejszemu byłby klub z I kadencji Sejmu, z lat 1991-1993. Też pełen młodych, energicznych polityków, pracowicie przygotowujących się do wystąpień, broniących swojego zdania.

To jest ta różnica. W czasach słabego SLD, już po rozpadzie Lewicy i Demokratów, dominował w Sojuszu pogląd, że nie wolno się narażać głównym mediom. Przekaz konstruowano więc tak, by się spodobał dziennikarzom. – Przychodził Tomek Kalita i mówił: „Tę wersję media skrytykują, a tę kupią. Wybór jest wasz". I wybieraliśmy tak, żeby się spodobało – wspomina lewicowy polityk. Skończyło się tym, że Sojusz dreptał w przedpokojach Platformy, czekając na posłuchanie.

Magdalena Biejat została wybrana na przewodniczącą sejmowej Komisji Polityki Społecznej i Rodziny.

FOT. PAWEŁ SUPERNAK/PAP, MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

eprasa.pl af54f16303

Wiosna Biedronia, a teraz Zandberg to zmienili. Ośmielając przy tym innych, dodając odwagi. Na lewicy już wiedzą, że ważni są wyborcy, a nie komentarze w liberalnych mediach.

•

Liberalne media mogą pochwalić raz czy drugi, ale przecież chodzi im o coś zupełnie innego. O to, by lewica już nigdy nie wyszła z roli młodszej siostry. Czyli – jeżeli chcemy użyć języka konkretu – nie wyszła z roli Barbary Nowackiej i Grzegorza Napieralskiego.

Wystarczy zresztą przejrzeć media społecznościowe, by zauważyć grozę, z jaką o Zandbergu i lewicy mówią przedstawiciele prawicy i liberałów. Konfederacja, PiS, hierarchowie Kościoła przestrzegają przed marksizmem (lub neomarksizmem) kulturowym, ideologicznym, atakiem na dzieci itd. A ci bliżsi PO przed marksizmem ekonomicznym. Wspólny wróg ich zbliża.

Zauważył to zresztą piszący do OKO.press Tomasz Markiewka, komentując zgryźliwie: „*Social media* skrajnej prawicy: bolszewicy z Razem zgenderyzują polską rodzinę! *Social media* »nowoczesnych liberałów«: bolszewicy z Razem popierają łupienie zaradnych Polaków! Jak niewiele trzeba, aby ze strażników europejskości, liberalizmu i postępu wylało się najgorsze prawicowe szambo".

I nie ma wątpliwości, że tak już będzie. Że za każdym razem, gdy lewica powie coś lewicowego, zaczną się krzyki, że nadciąga Stalin, bolszewizm, Związek Radziecki. Jeżeli ktoś nie wierzy, niech zerknie na fora internetowe.

Wojciech Maziarski: „Politycy Partii Razem i kibicujący jej publicyści z zapałem godnym lepszej sprawy postanowili zademonstrować, że oskarżenia o ciągoty neosocjalistyczne, a może wręcz neokomunistyczne są jak najbardziej uzasadnione. Domagają się, by podnieść ludziom lepiej zarabiającym składki emerytalne, a następnie skonfiskować im pieniądze, które odłożyli na starość.

Jednocześnie sympatycy i politycy Razem potwierdzają zarzuty, że gotowi są flirtować z PiS, bo to PiS właśnie chce podnieść składki ZUS. (…) Dlaczego PiS oddał Magdalenie Biejat z Partii Razem przewodnictwo komisji polityki społecznej i rodziny? Właśnie tej komisji, która zajmuje się m.in. sprawą ustawy antyaborcyjnej. To naprawdę dziwne.

Niezadowoleni z tego posłowie PiS mówią o jakimś »dealu politycznym«. Na czym miałby on polegać? (…)

Jak określić lidera Partii Razem? Najostrzejsi krytycy mówią »bolszewik«. Jego zwolennicy odpowiadają: »Nieprawda, to zwykły europejski socjaldemokrata«.

A ja myślę, że ani jedni, ani drudzy nie mają racji. Gdybym miał Zandberga do kogoś porównywać, to przywołałbym postać dziś już zapomnianą: Enrico Berlinguera. Eurokomunistę".

Cezary Michalski: „Zandberg i Zawisza pomagają dziś Kaczyńskiemu efektywnie niszczyć w Polsce zarówno lewicę, jak też demokrację w ogóle, zdradzają elektorat lewicy i są »nic niewarci«. To oni są najbardziej fatalnymi reprezentantami wszystkiego, co powinno być w Polsce wartościami lewicy – a więc obrony kobiet, obrony mniejszości, obrony demokracji, obrony praworządności".

Maria Nurowska: „Też uważam, że pojawienie się Zandberga w Sejmie to kolejne nieszczęście. Gdyby Schetyna dogadał się z SLD i Wiosną, Razem by nie weszło do Sejmu, a opozycja wygrałaby wybory. To kolejna jego ciężka wina!".

Mariusz Ziomecki: „Zandberg jest też oczadzony ideologią, tylko z inną strzałką. Jego mowa była gęsta od walki »klasowej« i złych emocji wobec tych ludzi i podmiotów, którzy zarabiają pieniądze na konkurencyjnym (choć nie idealnie) rynku. Ile furii było w jego głosie, gdy mówił o najbardziej innowacyjnych korporacjach świata, ile szczerej nienawiści!

Pod rządami takich ludzi jak Zandberg będziemy tylko coraz równiej dzielili biedę. On wydaje się nie mieć pojęcia o tym, co napędza cywilizację, jak się tworzy bogactwo, dumę i siłę narodów. On będzie bez końca »wyrównywał szanse« i tworzył coraz to nowe regulacje i biurokracje, które będą je bezwzględnie egzekwowały. Zadłuży też Polskę tak, jak stare kraje unijne – bez szansy na wyjście na prostą".

•

Co na to lewica? Jeden z jej liderów studzi emocje. – To dobrze, że mamy dobry początek. Ale przecież ważne, co będzie dalej. Dziś mamy kilkanaście procent w sondażach, a za dwa lata może być pięć. I będziemy się czołgać, żeby przejść przez próg. Albo dwadzieścia parę… To się dopiero zaczyna. Z pierwszych dni mamy podpowiedź – jeśli jest zgoda i wola wspólnej gry, to wychodzi dobrze.

A czy liderów nie poróżnią wybory prezydenckie? – Tu sprawa jest prosta – uważa nasz rozmówca. – Lewica wystawi swojego kandydata. To oczywiste. A kto nim będzie – zadecydują po wspólnej rozmowie Biedroń z Zandbergiem. Dogadają się bez problemu.

Podobnie zresztą mówią inni posłowie lewicy. To dobrze o nich świadczy, bo historia polskiego parlamentaryzmu zna wiele przypadków rozmaitych meteorów, ugrupowań, które potrafiły porwać wyborców, tyle że na krótko. Był czas, że Nowoczesna notowała poparcie grubo ponad 20%, a jej lider Ryszard Petru nazywał się przywódcą opozycji. Jak to się skończyło, chyba pamiętamy. Kadencję wcześniej podobną eksplozję poparcia przeżywał Ruch Palikota. Swego czasu poparciem ponad 20% szczyciła się Samoobrona. Nie wspominając już o SLD, który z pułapu ponad 40% potrafił wylecieć na margines. Wyborcy nie wybaczają błędów i potrafią strącić różne efemerydy w niebyt. Dlatego fakt, że miało się parę udanych dni, o niczym nie przesądza. Tak jak nie przesądzają niezłe zagrania w pierwszych pięciu minutach meczu piłkarskiego. One mogą dawać nadzieję, dobrze rokować i to wszystko.

A ta lewica dobrze rokuje. Wie, jakiej chce Polski. To najważniejsze, bo ani PiS, ani PO nie chcą innej Polski, niż jest teraz, z ich przywilejami i przywilejami popieranych przez te partie grup. Piłka w grze, lewico.

Robert Walenciak

Mamy zderzenie starej polityki z nową. I odrzucenie duopolu PO-PiS, pomysłu Tuska i Kaczyńskiego, który zniszczył polskie życie publiczne.

eprasa.pl af54f16303

KIM NAPRAWDĘ JEST VIKTOR ORBÁN?
POPULISTĄ CZY MĘŻEM OPATRZNOŚCIOWYM?

PRZEGLĄD poleca!

Autorką książki jest Amélie Poinssot, francuska dziennikarka specjalizująca się w problematyce Europy Środkowej i Wschodniej.

Poinssot odtwarza drogę, jaką przebył student urzeczony w latach 80. polską Solidarnością, później szef partii politycznej i premier Węgier, jedna z najbardziej wyrazistych i kontrowersyjnych postaci europejskiej sceny politycznej. Autorka próbuje zrozumieć wybory ideowe i strategię Viktora Orbána, przyczyny porażek i sukcesów wyborczych. Pokazuje je wnikliwie i bezstronnie.

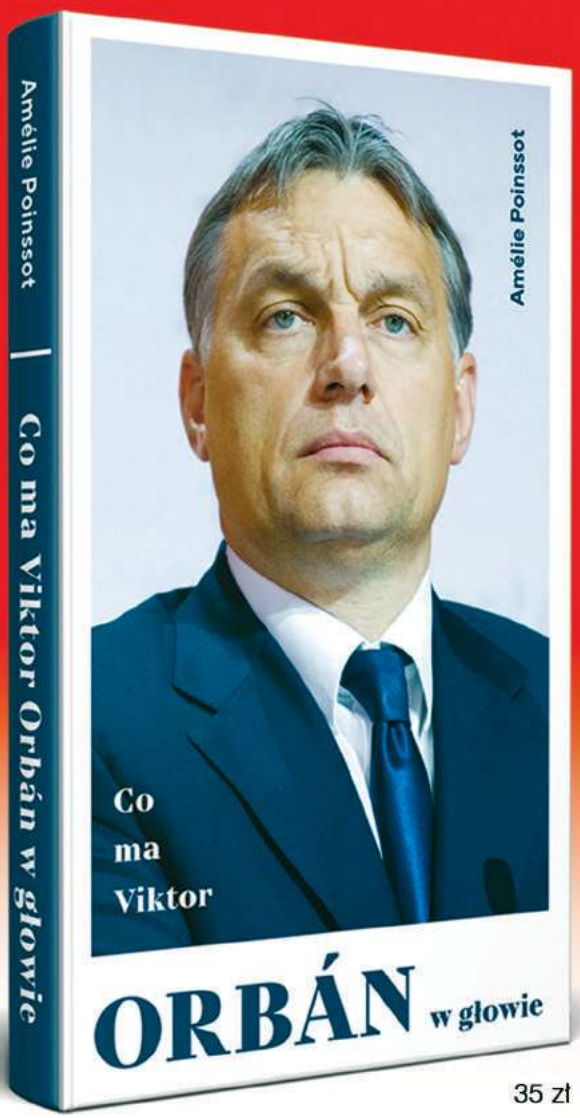

35 zł

Książka też w formie E-BOOKA. Tylko 14,90 zł, nie przegap okazji!

Wpłat 35 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. Książkę można też zamówić na www.sklep.tygodnikprzeglad.pl. W cenę książki wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł lub dostawy kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl af54f16303

Leokadia Oręziak

PPK – droga donikąd

Polacy nie nabrali się na emerytalne pomysły PiS

Polacy odrzucili pisowski pomysł oszczędzania na emeryturę i wbrew prognozom rządu wypisują się z pracowniczych planów kapitałowych. Nie pomogło automatyczne zapisywanie do programu kolejnych grup pracowników w wieku od 18 do 55 lat ani oferowanie zachęt przez państwo. Jak ujawnił raport przygotowany przez Instytut Emerytalny i kancelarię prawa pracy Wojewódka i Wspólnicy, wypisało się z niego średnio 60% pracowników dużych – zatrudniających ponad 250 osób – firm, którzy do PPK włączeni zostali w lipcu. W niektórych firmach było to zaledwie 5%, ale w innych aż 94%.

Rządzący zakładali, że w PPK będzie 75% pracowników. W rzeczywistości jest 40%.

Ich składki nie zasilą funduszu PPK, co miało się stać już w listopadzie. Jeśli podobnie postąpią pracownicy mniejszych firm, którzy do programu zostaną włączeni w przyszłym roku, a potem ci z sektora publicznego, włączeni w roku 2021, rząd będzie musiał obejść się smakiem. Jeśli bowiem ktoś złożył oświadczenie o rezygnacji z PPK, ponownie zostanie automatycznie zapisany do programu dopiero po czterech latach. Tymczasem projektodawcy systemu zakładali, że z PPK zrezygnuje zaledwie 25% z 11 mln zapisanych.

Ludzie wypisują się z PPK z wielu powodów. Pierwszym jest to, że po prostu nie chcą mniej zarabiać na rękę. Pracownik ma bowiem wpłacać do funduszu od 2% do 4% swojego wynagrodzenia brutto. Pracodawca doda do tego od 1,5% do 4% jego wynagrodzenia brutto, a państwo dla zachęty dorzuci 250 zł na dzień dobry i 240 zł rocznie. Zebrane pieniądze można będzie wypłacić dopiero po osiągnięciu 60 lat. Jeśli będzie się chciało wycofać je wcześniej, trzeba będzie zwrócić wpłatę powitalną i dopłaty roczne oraz zapłacić należne podatki i składki ZUS.

Drugi powód to ciągłe majstrowanie przy emeryturach przez kolejne rządy. Wprowadzenie OFE, likwidacja OFE, wprowadzenie PPK, a ostatnio pomysł likwidacji limitu wysokości opłacanych składek jako 30-krotności średniej pensji – wszystko to powoduje nieufność przyszłych emerytów.

I trzecia kwestia – coraz więcej osób zdaje sobie sprawę z tego, że przekazanie emerytur w ręce prywatnych instytucji finansowych oznacza brak społecznej kontroli nad nimi i uzależnienie przyszłych wypłat od wszelkich zawirowań na rynku. Zgromadzone w PPK środki mają być bowiem inwestowane w aktywa finansowe (akcje, obligacje i inne). Skoro na emeryturę odkłada się przez 35-40 lat, można być niemal pewnym, że w tym czasie zdarzy się poważny kryzys finansowy czy krach na giełdzie.

Ciąg dalszy prywatyzacji emerytur

PPK stanowią kontynuację zapoczątkowanego w 1999 r. procesu prywatyzacji emerytur podjętego w Polsce w ramach neoliberalnych reform gospodarczych. Istota tej prywatyzacji sprowadza się do ograniczenia publicznego systemu emerytalnego, w którym emerytury są wypłacane ze składek pobieranych od wynagrodzeń pracowników. W nowym systemie emerytury mają być wypłacane przez prywatne instytucje finansowe i pochodzić z inwestowania składek emerytalnych w różne aktywa finansowe (akcje, obligacje i inne). By przeprowadzić taką prywatyzację, rządzący, przy wsparciu mediów, starali się przede wszystkim podważyć zaufanie społeczne do publicznego systemu emerytalnego, powtarzając, że stanie się on niewypłacalny z powodu starzenia się społeczeństwa. Chodziło o wywołanie strachu o przyszłe emerytury i pokazanie na tym tle, jak korzystnym rozwiązaniem mogą być niezależne od państwa emerytury pochodzące z rynku finansowego.

Nieuczciwość przeprowadzonej w 1999 r. w Polsce reformy polegała na tym, że świadomie, choć bez informowania społeczeństwa, dokonano wtedy redukcji emerytur z ZUS o ponad połowę. Społeczeństwo było natomiast przekonywane, że dzięki reformie emerytury wzrosną, a emerytów stać będzie na egzotyczne wczasy „pod palmami". Miało to być możliwe zwłaszcza dzięki ustanowieniu przymusowego drugiego filara w postaci otwartych funduszy emerytalnych (OFE). Najpierw więc celowo

eprasa.pl af54f16303

Prezydent Andrzej Duda 19 listopada 2018 r. podpisał ustawę o Pracowniczych Planach Kapitałowych w siedzibie Giełdy Papierów Wartościowych.

drastycznie obniżono państwowe emerytury, by następnie podawać je jako uzasadnienie dla OFE, a teraz dla PPK, i apelować do społeczeństwa o gromadzenie prywatnych oszczędności na stare lata.

Wprowadzenie OFE zakończyło się całkowitą klęską. W ciągu pierwszych 15 lat z tego powodu powstało ponad 330 mld zł dodatkowego długu publicznego, gdyż państwo musiało zaciągać pożyczki, by pokryć Zakładowi Ubezpieczeń Społecznych ubytek składek emerytalnych, idących na spekulacje giełdowe zamiast na wypłatę bieżących emerytur. Gdyby nie zmiany w OFE wprowadzone w 2011 i 2014 r., Polska mogłaby się stać niewypłacalna, bo już w 2010 r. roczny koszt (z odsetkami) dla budżetu utrzymywania drugiego filara sięgnął 40 mld zł. Redukcja OFE i przeniesienie połowy środków do ZUS nie zostały społeczeństwu wyjaśnione, w efekcie wciąż dominuje pogląd, że była to grabież, gdy tymczasem grabieżą i zamachem na finanse publiczne było właśnie stworzenie OFE. Można jedynie wyrazić żal, że poprzedni rząd nie zlikwidował OFE w całości. Niedawno przedstawiony został projekt ustawy zakładającej przeniesienie wszystkich środków z OFE do IKE (indywidualne konta emerytalne), po potrąceniu tzw. opłaty przekształceniowej (15%) mającej trafić do budżetu państwa. Opłata taka nie zostałaby potrącona w przypadku osoby, która złoży wniosek, by jej środki zgromadzone w OFE przekazać do ZUS. Na razie w mediach przeważają głosy krytyczne wobec opłaty przekształceniowej, nie zwraca się uwagi na to, że przekazanie do IKE pieniędzy publicznych, a takimi są środki z OFE, będzie prywatyzacją, za którą polskie państwo nic nie dostanie w zamian. Będzie to po prostu wielka darowizna dla instytucji finansowych, które otrzymają nowe źródło zysku, a finanse publiczne zostaną pozbawione pieniędzy, które powinny być wykorzystywane na cele publiczne. Istotne jest też to, że do IKE przekazane zostaną same aktywa OFE, natomiast dług publiczny, który Polska zaciągnęła, by te aktywa sfinansować, pozostanie na barkach całego społeczeństwa i dalej będzie obciążać budżet państwa. Poza tym zanim za kilkanaście czy kilkadziesiąt lat członek OFE będzie mógł skorzystać z aktywów przekazanych do IKE, będą one narażone na wszystkie zawirowania na rynku finansowym, a ostateczny efekt tej zmiany jest absolutnie nieprzewidywalny.

Automatyczny zapis do PPK świadczy o ogromnej sile lobby finansowego.

Za stratę nikt nie odpowie

Propaganda na temat PPK, poza wskazywaniem niskich emerytur z ZUS, koncentruje się na pokazywaniu tego, o ile może być wyższa emerytura po kilkudziesięciu latach przekazywania składek do tego programu. Chodzi bowiem o to, by jak najwięcej osób w nim pozostało. Zupełnie pomijane są natomiast zagrożenia związane z inwestowaniem na rynku finansowym, a są one wielorakie. Przede wszystkim wartość środków przekazywanych do PPK może znacznie spaść w wyniku kolejnych załamań giełdowych i kryzysów finansowych. Okres aktywności zawodowej młodego obecnie człowieka może wynosić ponad 40 lat. W tym czasie takich załamań i kryzysów może być wiele. A instytucje zarządzające PPK generalnie nie biorą na siebie żadnej odpowiedzialności za to, czy w ogóle wypłacą jakieś pieniądze uczestnikom systemu po osiągnięciu przez nich wieku 60 lat – jeśli nawet tak, to nie wiadomo, jak duże będą te wypłaty. Przewidziane w ustawie łagodne wymogi ostrożnościowe, wiążące politykę inwestycyjną PPK z wiekiem uczestnika, nie są w stanie ochronić wartości rynkowej aktywów gromadzonych w PPK. Na wynik wpływ będą mieć nie tylko kryzysy finansowe, ale także opłaty, które firmy zarządzające mogą sobie potrącić z aktywów.

Kluczowe znaczenie ma również to, że w odróżnieniu od ZUS PPK nie podlegają żadnej demokratycznej kontroli. Natomiast podobnie jak w OFE inwestycje PPK nie podlegają żadnej kontroli celowościowej. Nie ocenia się więc, czy przeprowadzenie danej operacji było słuszne z punktu widzenia uczestnika PPK. Zarządzający mogą dokonywać praktycznie dowolnych transakcji, także w różnej formie przekazywać pieniądze osobom, firmom i instytucjom, z którymi łączą je różne więzi ekonomiczne, polityczne i inne. Możliwe są więc różne defraudacje pieniędzy powierzonych im do zarządzania. Jeśli PPK będą ponosić straty, to zarządzający zawsze mogą powiedzieć: taki mamy rynek. Do tego wszystkiego dochodzi jeszcze inflacja, która, nawet jeśli jest niewielka, przez dziesięciolecia może niszczyć realną wartość aktywów zgromadzonych w PPK.

Irracjonalność opierania emerytur na systemowym inwestowaniu w aktywa finansowe wynika też z te-

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

eprasa.pl af54f16303

go, że napływ kolejnych składek do PPK będzie się przyczyniał do tworzenia bańki spekulacyjnej na giełdzie. Załamania giełdowe mogą drastycznie zredukować wartość akcji. W długiej perspektywie rysuje się natomiast szersze zjawisko, które podważa w ogóle sens rozwiązań typu OFE czy PPK, a wiąże się z oczekiwaną mniejszą populacją ludzi aktywnych zawodowo i rosnącą liczbą emerytów. Różne badania pokazują, że mniej liczne młode pokolenie oznacza mniejsze wpłaty do takich funduszy, z kolei większa liczba osób przechodzących na emeryturę to wyższe wypłaty i związane z tym spieniężanie zgromadzonych w funduszach aktywów finansowych. Skutkiem tego będzie większa podaż aktywów niż popyt na nie, a w efekcie spadek ich wartości rynkowej. Emerytury rynkowe nie dają więc potrzebnego zabezpieczenia na starość, tworzą jedynie złudzenie takiego zabezpieczenia. Sektor finansowy lobbujący za prywatnymi emeryturami forsował przez lata ideę, że na rynku finansowym ceny akcji w długim okresie mogą tylko rosnąć, bo tak wynika z analizy dotyczącej przeszłości. Teraz jednak działają czynniki, które powodują, że ten mechanizm będzie się kręcić w drugą stronę.

Instytucje zarządzające PPK nie biorą na siebie żadnej odpowiedzialności za to, czy wypłacą jakieś pieniądze uczestnikom systemu.

Wraz z wiekiem uczestnika coraz więcej środków PPK będzie inwestowanych w polskie obligacje skarbowe, co oznacza, że poprzez PPK rząd będzie pożyczał od obywateli, by finansować coraz wyższe wydatki budżetowe. Jeśli duża część aktywów tych funduszy będzie ulokowana w papierach skarbowych, to emerytury z tego programu będą tak samo zależne od państwa jak emerytury z ZUS. Będzie można je wypłacić w przyszłości tylko wtedy, gdy państwo będzie w stanie wykupić obligacje, a przedtem regularnie przekazywać odsetki od nich na rachunki PPK. Odsetki od obligacji to wielki ciężar dla budżetu państwa, ale zwiększą wartość aktywów PPK, a zarządzający nimi będą się chwalić, jak to pomnażają emerytury Polaków. Ten irracjonalny mechanizm jest jednym z filarów PPK, ale dzięki niemu instytucje finansowe przez dziesiątki lat mogą ciągnąć dodatkowe zyski. A na koniec i tak trzeba będzie podnieść podatki, by wykupić obligacje znajdujące się w portfelach PPK.

Mając świadomość, że społeczeństwo krytycznie odnosi się do wiązania emerytury z ryzykiem na rynku finansowym, twórcy PPK zastosowali zasadę automatycznego zapisu pracowników do tego programu. Na ogół bowiem niewiele osób samodzielnie podejmuje kroki, by do czegoś takiego się zapisać. Jeśli natomiast wszyscy zostaną do takiego programu włączeni automatycznie, większość w nim pozostanie. Automatyczny zapis służy przezwyciężeniu inercji i niechęci ludzi do podejmowania jakichkolwiek działań. Jest jednak rodzajem przymusu zastosowanego wobec człowieka, który w normalnych warunkach sam nie zapisałby się do danego programu, m.in. dlatego, że nie akceptuje związanego z nim ryzyka ani kosztów. To, że taki automatyczny zapis

DOŚWIADCZENIA INNYCH KRAJÓW

Nieuczciwe jest prezentowanie systemów rynkowych jako jakiejś akceptowalnej alternatywy dla publicznego systemu emerytalnego. Z badań dotyczących różnych krajów wynika, że im wyższy udział dochodu z aktywów finansowych w ogólnym dochodzie emeryta, tym dłużej musi on pracować przed przejściem na emeryturę i tym większe jest ryzyko, że na starość będzie żył w ubóstwie. W **Wielkiej Brytanii** wraz ze wzrostem roli emerytur rynkowych i ograniczaniem emerytur publicznych wzrasta od kilkudziesięciu lat ubóstwo wśród emerytów. I przeciwnie – kraje takie jak **Finlandia** czy **Belgia**, w których dochody emerytów niemal w całości pochodzą z publicznego systemu emerytalnego, są też krajami o najniższych wskaźnikach ubóstwa w tej grupie społecznej.

Z dużą nieufnością do emerytur pochodzących z inwestowania na rynku finansowym odnoszą się **Niemcy**. Wynika to głównie z traumatycznych doświadczeń związanych z hiperinflacją, która w XX w. dwukrotnie dotknęła niemieckie społeczeństwo. Obawy przed drastycznym spadkiem wartości pieniądza powodują przywiązanie tego społeczeństwa do publicznego systemu emerytalnego jako podstawy bezpieczeństwa finansowego w okresie starości i brak poparcia dla jakichkolwiek projektów dotyczących nawet częściowej prywatyzacji tego systemu bądź przekształcenia go w system emerytur kapitałowych. Funkcjonujące w Niemczech różne dobrowolne formy inwestowania na rynku finansowym na cele emerytalne traktowane są przez dużą część społeczeństwa z rezerwą, a często z niechęcią, nie tylko z uwagi na wysokie na ogół koszty administracyjne, ale głównie z powodu związanego z nimi ryzyka.

Odpowiednikiem PPK w **USA** jest system gromadzenia oszczędności emerytalnych określany jako 401(k). Jak niedawno wskazał prof. Jacob S. Hacker z Uniwersytetu Yale, 40-letni eksperyment z systemem 401(k), czyli z korzystających z preferencji podatkowych rachunków emerytalnych sponsorowanych przez pracodawców, to ogromne marnotrawstwo pieniędzy podatników, realizowane, by wzmocnić bezpieczeństwo emerytalne bogatych. Oczywistym rozwiązaniem w tej sytuacji jest zdaniem Hackera wzmocnienie systemu zabezpieczenia społecznego (Social Security).

Najgorsze doświadczenia ma **Chile**, gdzie w 1981 r. sprywatyzowano cały system emerytalny. Już wiele lat temu było widać, że ten sprywatyzowany system nie jest w stanie zapewnić nawet minimalnych emerytur większości swoich członków. Trwające niedawno w całym Chile masowe protesty przeciw przeprowadzonym kilkadziesiąt lat temu neoliberalnym reformom dotyczyły też prywatyzacji emerytur. Ludzie żądają całkowitej likwidacji funduszy emerytalnych AFP i przywrócenia publicznego systemu emerytalnego.

eprasa.pl af54f16303

zastosowano w niektórych krajach, wskazuje przede wszystkim na ogromną siłę lobby finansowego i słabość demokracji. Wielka grupa ludzi zostaje bowiem potraktowana przedmiotowo, wstawiona jak rzecz do systemu, którego faktycznym celem jest zapewnienie zysków niewielkiej grupie społecznej powiązanej z instytucjami finansowymi. W tej sytuacji wszelkie oficjalne, górnolotne uzasadnianie potrzeby tworzenia dodatkowych oszczędności, rozwoju inwestycji i gospodarki stanowi jedynie przykrywkę dla rzeczywistych celów, związanych z przechwytywaniem dochodu przez najbogatszą część społeczeństwa kosztem wielkich grup pracowniczych.

Państwo traci, kapitał zarabia

PPK stworzą nowe obciążenia dla finansów publicznych, przede wszystkim dlatego, że z pieniędzy publicznych będą finansowane składki powitalne i dopłaty roczne, a także składki, które od 2021 r. będą pobierane od wynagrodzeń pracowników zatrudnionych w jednostkach sektora finansów publicznych. W przedstawionej przez rząd 8 lutego 2018 r. ocenie skutków ustanowienia PPK wskazano, że w ciągu 10 lat wpływ PPK na sektor finansów publicznych będzie ujemny i wyniesie ponad 29 mld zł (w cenach stałych z 2017 r.). Mimo że część wydatków publicznych na PPK (składki powitalne, dopłaty roczne) sfinansuje się z Funduszu Pracy, nie zmienia to faktu, że nowe wydatki publiczne związane z PPK, a także niższe wpływy podatkowe do budżetu, przyczynią się do wzrostu zadłużenia publicznego Polski, choć nie na taką skalę, jak to miało miejsce w przypadku OFE. W sytuacji gdy w budżecie państwa jest ciągle deficyt, każdy nowy wydatek powoduje wzrost tego zadłużenia. Oznacza to, że część oszczędności gromadzonych poprzez PPK na przyszłe emerytury jest w istocie finansowana długiem publicznym, co również podważa racjonalność programu.

Doświadczenia wielu krajów świata pokazują, że tylko publiczny system emerytalny jest w stanie zapewnić bezpieczeństwo finansowe starszemu pokoleniu. Nie mogą tego dać programy rynkowe. Nie rozwiązują one żadnych problemów systemu emerytalnego, co więcej – przyczyniają się do wzrostu nierówności społecznych. Kontynuacja prywatyzacji emerytur w Polsce prowadzi do tego samego. Jak wiele czasu musi upłynąć, by ludzie zrozumieli, że emerytury rynkowe to droga donikąd? To kosztowna ucieczka od podjęcia decyzji o takim podziale dochodu narodowego, który starym ludziom zapewni godne emerytury, a nie rzuci ich na pastwę rynku finansowego, tworząc iluzje typu PPK.

Emerytury rynkowe nie dają zabezpieczenia na starość, tworzą tylko jego złudzenie.

Prof. dr hab. Leokadia Oręziak jest kierownikiem Katedry Finansów Międzynarodowych Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie

eprasa.pl af54f16303

Pałac Przebendowskich/Radziwiłłów po renowacji.

Odbudowany z ruin pałac – siedziba Związku Zawodowego Pracowników Kultury.
Leonard Jabrzemski, Książka i Wiedza; 1949 r.

Pałac Przebendowskich/Radziwiłłów
Kim byli jego właściciele?

Pałac Przebendowskich/Radziwiłłów, czyli główna Siedziba Muzeum Niepodległości w Warszawie, już wkrótce wypełni się eksponatami i po remoncie będzie otwarty dla zwiedzających. Dzięki unijnym funduszom oraz dofinansowaniu z Urzędu Marszałkowskiego Województwa Mazowieckiego został odnowiony i dostosowany do potrzeb osób niepełnosprawnych.

Historia pałacu jest długa i barwna. Jego właścicielami byli najważniejsi ludzie epoki królów i 20-lecia międzywojennego, a wśród mieszkańców tej rezydencji można znaleźć np. hiszpańskiego ambasadora.

Pierwszym właścicielem pałacu był Jan Jerzy Przebendowski, jeden z najważniejszych ludzi swojej epoki, znakomity polityk, który sprytnie lawirował wśród dworskich intryg za czasów czterech królów elekcyjnych: Jana Kazimierza, Jana III Sobieskiego, Stanisława Leszczyńskiego oraz Augusta II. Przebendowski miał ogromny wpływ na wybór tego ostatniego, a nawet został jego głównym współpracownikiem i doradcą, dzięki czemu zyskiwał kolejne stanowiska, takie jak wojewoda malborski i podskarbi wielki koronny.

Jan Jerzy Przebendowski prawdopodobnie wybudował swoją warszawską siedzibę pod koniec lat 20. XVIII stulecia. W 1768 roku pałac stał się własnością Rocha Kossowskiego, który zapisał się w historii jako ostatni wielki podskarbi królewski i człowiek, który pożyczał pieniądze królowi Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu.

Kolejnym słynnym właścicielem pałacu został w 1863 roku Jan Kazimierz Zawisza. Był on prekursorem polskiej archeologii, znanym społecznikiem i kolekcjonerem. To dzięki niemu rezydencja została poddana renowacji w latach 1863-1868. W tym czasie pałac nabrał nowego blasku dzięki kopiom antycznych rzeźb. Warto wspomnieć też o tym, że na zlecenie właściciela w westybulu pojawił się iluzjonistyczny plafon autorstwa Henryka Siemiradzkiego.

W latach 1912-1947 pałac należał do rodziny Radziwiłłów dzięki małżeństwu Michała Piotra Radziwiłła z córką Jana Kazimierza Zawiszy, Marią Ewą. Podtrzymali oni tradycję udziału w licznych akcjach społecznych. Obydwoje należeli do Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Ich największym marzeniem była budowa bazyliki przy Kawęczyńskiej, które pani Radziwiłłowa realizowała po śmierci męża. Nie mieli dzieci, więc po ich śmierci pałac trafił w ręce krewnego księcia Radziwiłła i pozostał w nich do 1947 roku, gdy zgodził się on zamienić niegdyś wspaniałą rezydencję na dwupokojowe mieszkanie.

W późniejszym okresie pałac Przebendowskich/Radziwiłłów stał się siedzibą Muzeum Lenina, Muzeum Historii Polskich Ruchów Niepodległościowych, a w 1991 roku Muzeum Niepodległości w Warszawie.

Już wkrótce, po trwającym od 2017 roku remoncie, ponownie otworzy się dla zwiedzających, którzy będą mogli m.in. poznać dokładniej losy tego miejsca oraz jego właścicieli i mieszkańców.

Działanie w ramach projektu „Dostosowanie pałacu Przebendowskich/Radziwiłłów do nowych funkcji kulturalnych i edukacyjnych, w tym dla osób niepełnosprawnych".

Fundusze Europejskie Infrastruktura i Środowisko
Mazowsze. serce Polski
Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

eprasa.pl af54f16303

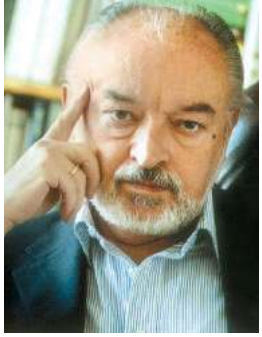

Bez uprzedzeń

Bronisław Łagowski

Podsłuchane u Arystotelesa

Panu Michałowi Strąkowi,
autorowi książki „I jak tu Polską rządzić”, poświęcam

Polityka według Arystotelesa, nauczyciela naszych przodków i w pewnym sensie naszego, jest dziedziną względności, kryteria, jakich dostarcza, nie mogą służyć do rozróżniania czystego dobra od czystego zła.

Zasadnicza linia podziału przebiega między ustrojami, w których panuje prawo – z definicji należą do nich: monarchia, arystokracja i politeja – a taką lub inną formą tyranii.

Istnieje tyle rodzajów demokracji, ile rodzajów ludu – powiada Arystoteles. „Najlepszą ludnością jest mianowicie rolnicza, toteż tam, gdzie masy żyją z uprawy roli lub hodowli bydła, daje się zaprowadzić najlepsza demokracja” (cytaty pochodzą z „Polityki”). Na czym polega ta wyższość ludu rolniczego, zawsze i wszędzie lekceważonego przez mieszkańców miast? Czy podlega on mistycznie umoralniającemu wpływowi ziemi, którą uprawia? To prawda, że według niektórych autorów rolników mają cechować lepsze obyczaje, ale nie o ten czynnik chodzi. „Ponieważ nie posiadają wielkiego majątku, nie mają czasu na odbywanie częstych zgromadzeń, a że brak im rzeczy potrzebnych do życia, oddają się gorliwie swym pracom, nie zajmują się obcymi sprawami i więcej mają przyjemności ze swej pracy aniżeli z politykowania i piastowania urzędów, chyba że jakieś urzędy wielkie zyski przynoszą”. Krótko mówiąc, polityczną zaletą rolników jest ich małe zainteresowanie polityką. Mogą być zadowoleni z każdej władzy, nawet z tyranii i oligarchii, o ile pozostawia ich w spokoju, nie przeszkadza w pracy i niczego nie zabiera. Jeśli chodzi o politykę, w zupełności wystarcza im prawo wybierania władz i pociągania urzędników do odpowiedzialności. Najlepszą formę demokracji można wprowadzić tam, gdzie lud nie chce władzy. Znacznie gorsze są perspektywy, gdy masy całą duszą garną się do rządzenia, a okoliczności, na domiar złego, wydatnie im to ułatwiają. W takim położeniu znajdują się niezamożni, rozpolitykowani mieszkańcy miast, którzy niewiele tracą, zaniedbując swoje mało opłacalne zajęcia, a ponieważ kręcą się po ulicach, „z łatwością zjawiają się na zgromadzeniach ludowych”. Trzeba pohamować ich rozpolitykowanie i ważność zgromadzeń ludowych uzależnić od daleko mieszkających i użytecznie zajętych rolników, a ponieważ oni przeważnie się nie zjawią, więc dobro ogólne będzie uchronione przed kolejną uchwałą ludu.

> Najlepszą formę demokracji można wprowadzić tam, gdzie lud nie chce władzy.

Najważniejsze zagadnienie, jakie według Arystotelesa pojawia się w ustroju demokratycznym, polega na tym, jak ograniczyć wolę ludu, nie stawiając nad nią innej woli. Nie stanowi rozwiązania postawienie ponad ludem króla lub arystokratów, bo wola, niezależnie od tego, czyją jest wolą, zawsze wnosi ryzyko bezprawia. Trzeba więc szukać rozwiązania na drodze swoistej depolityzacji społeczeństwa i przekształcenia ludu z podmiotu władzy w strażnika praw. W świetle tego ideału należałoby widzieć też Arystotelesowską pochwałę klasy średniej. Pozytywna rola tej klasy wiąże się z jej apolitycznością, małym zainteresowaniem walkami o władzę, niechęcią do zajmowania się cudzymi sprawami (skoro żyje się w kręgu ciekawych spraw własnych…) oraz takim usytuowaniem społecznym, które organicznie skłania do obrony prawa przed woluntarną władzą zarówno masowej, jak i jednostkowej tyranii.

Dla Greków demokracja oznaczała bezpośrednią władzę obywateli, demokracja nowoczesna ma charakter przedstawicielski. Ustroje te się różnią, lecz mają ze sobą coś wspólnego poza nazwą. Wspólny jest ideał „władzy ludu, dla ludu, przez lud”. To, co dla starożytnych było oczywiste, dziś jest czymś w rodzaju ideologicznego błędnego ognika. Żyjemy w czasach, gdy elektroniczne środki komunikacji zbliżają ludzi do siebie pod pewnymi względami bardziej, niż mogli się zbliżyć na ateńskim czy tebańskim placu zgromadzeń ludowych. Nie wychodząc z domu, nie wstając z fotela, lepiej widzę i słyszę dzisiejszego wybrańca ludu niż Ateńczyk mimo swojej demokracji bezpośredniej.

Pochlebcy ludu starają się jak największą ilość spraw skierować pod obrady zgromadzeń ludowych, wskutek czego utrwalone prawa i odwieczne zwyczaje są unieważniane przez uchwały. „Słusznie więc (…) można podnieść zarzut, że taka demokracja w ogóle nie jest ustrojem, bo gdzie prawa nie rządzą, tam nie ma ustroju”.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl af54f16303

Czekając na śmierć dziecka

Hospicja perinatalne opiekują się rodzicami, którzy spodziewają się dziecka z wadami uniemożliwiającymi przeżycie

Ewa Smolińska-Borecka

Prawie trzy lata temu Sabina Sokołowska usłyszała od lekarza, że dziecko, którego się spodziewa, praktycznie nie ma szans na przeżycie, bo stwierdzono u niego wady mózgowia. Wtedy jeszcze mogła zdecydować, czy będzie kontynuowała ciążę. Postanowiła urodzić. Dziś mówi: – Gdybym była znowu w takiej samej sytuacji, a nie wiedziałabym, jak to będzie po urodzeniu dziecka, to pewnie podjęłabym taką samą decyzję – nie usunęłabym ciąży. Ale po tym wszystkim, co przeszłam, poważnie bym się zastanawiała.

Czasem wydaje się jej, że choroba córki jest ponad jej siły. Wtedy płacze i mówi do matki, że nie wyobraża sobie tej chwili, kiedy będzie musiała położyć Izę do trumny. Iza ma dwa lata. Wygląda jak zwyczajne dziecko. Leży w łóżeczku w T-shircie i tiulowej spódniczce, włosy ma upięte w dwa kucyki, spływają z nich kaskady anglezów z kolorowych wstążek. W jej pokoju na różowych ścianach galopują jednorożce, a króliki unoszone przez balony szybują między chmurami. Nad głową dziewczynki wiszą kolorowe tygrysy, krówki i misie, na tyle blisko, by sięgnęła ręką. Iza nie chodzi, nie wydaje żadnych dźwięków. Ale kiedy mama weźmie ją na ręce, trzyma główkę prosto i buzię ma otwartą w uśmiechu, który chyba jest tylko grymasem. Ten różowy pokoik zaludniony przez zwierzątka to hospicjum domowe.

Ostatnio zdiagnozowano u dziewczynki postępujący zanik mózgu oraz torbiele w mózgu. Kiedy Sabina spytała lekarza, jak będzie wyglądać rozwój córki, stwierdził, że nie jest wróżką. Teraz Sabina już wie, że Iza ma przed sobą zaledwie kilka miesięcy, ale nie chce się z tym pogodzić. Liczy na cud. Albo na to, że naukowcy gdzieś na świecie właśnie znaleźli terapię skuteczną w takich przypadkach jak jej córki. Dlatego Sabina wysłała niezliczone mejle do różnych stacji telewizyjnych. Odpowiedziała tylko Elżbieta Jaworowicz. Znany neurochirurg, poproszony przez dziennikarkę o diagnozę i ocenę możliwości zastosowania terapii genowej, nad którą pracuje, nie dał rodzinie nadziei. Powiedział, że Iza ma zespół wad wrodzonych, którego nie można wyleczyć na obecnym poziomie medycyny ani prawdopodobnie w najbliższej przyszłości. Jednak widzowie programu, na prośbę matki, zbierają fundusze na rehabilitację dziewczynki.

Kiedy USG budzi niepokój

Medycyna perinatalna łączy w pewnym sensie położnictwo, neonatologię i pediatrię. Perinatalna opieka paliatywna obejmuje rodzinę, w której pojawił się problem wady letalnej, czyli takiej wady płodu, która uniemożliwia jego przeżycie. Opieką tą otacza się rodzinę od momentu stwierdzenia wady letalnej aż do śmierci dziecka. W 1999 r. narodził się polski model hospicjum perinatalnego. Jego autorami są dr hab. n. med. Tomasz Dangel, który w 1994 r. zorganizował pierwszą w Polsce placówkę zajmującą się domową paliatywną opieką nad dziećmi – Warszawskie Hospicjum dla Dzieci, i jego żona, prof. Joanna Szymkiewicz-Dangel, pediatra i kardiolog.

Wydawało się nam, że do tego momentu można było się przygotować. Ale to tylko pozór.

O poważnych wadach płodu rodzice dowiadują się najczęściej w 20. tygodniu ciąży, w czasie połówkowego badania USG.

– Hospicjum perinatalne jest mariażem, w sensie przenośnym, ale w moim wypadku także dosłownym, dwóch zupełnie osobnych dziedzin pediatrii – opowiada dr Tomasz Dangel. – Ja reprezentuję hospicjum dziecięce, natomiast moja żona prenatalną diagnostykę wad serca u dzieci. Sądzę, że właśnie nasz mariaż doprowadził do połączenia tych dwóch nurtów medycyny i w ten sposób w latach 90. rozpoczęliśmy współpracę, którą w tej chwili nazywamy hospicjum perinatalnym.

W Warszawskim Hospicjum dla Dzieci działa poradnia USG, w której są diagnozowane wady występujące u nienarodzonych dzieci. – W przypadku potwierdzenia wady zagrażającej życiu dziecka bądź wady, która może kwalifikować do przerwania ciąży, nasz psycholog przeprowadza rozmowę z matką i ojcem – wyjaśnia dr Tomasz Dangel. – W czasie tej rozmowy przedstawia się rodzicom dwa scenariusze. Pierwszy dotyczy ewentualnej decyzji o przerwaniu ciąży. Psycholog informuje m.in. o zespole poaborcyjnym. Omawiany jest też drugi scenariusz, który dotyczy kontynuacji ciąży. Wtedy może dojść do naturalnego poronienia, ale może się urodzić żywe dziecko. Jeśli tak się stanie, będzie ono przez jakiś czas przebywało na oddziale neonatologii i w tym czasie może umrzeć. A jeśli przeżyje, może być wypisane

eprasa.pl af54f16303

do domu. Wtedy opiekę nad rodziną rozpoczyna hospicjum domowe.

Z psychologiem z hospicjum perinatalnego może się spotkać każda kobieta, która dowiedziała się o wadzie letalnej płodu i zastanawia się, jaką decyzję ma podjąć. Musi wziąć pod uwagę, że odbije się to na życiu całej rodziny, również dzieci. Nie każdy mąż czy partner podoła takiej sytuacji, kiedy w domu pojawi się dziecko, które będzie wymagać całkowitego poświęcenia od obojga rodziców. A dziecko lub dzieci, które już są w rodzinie, będą żyły w atmosferze oczekiwania na nieuchronną śmierć brata czy siostry. One same i ich potrzeby zejdą na drugi plan, bo cała energia rodziców będzie skierowana na chorą siostrę lub brata.

Jechali na zabieg

Blanka miała rozszczep podniebienia i wargi oraz nieprawidłowo położone serce. Renata i Emil dowiedzieli się o tym w 20. tygodniu ciąży, w czasie połówkowego badania USG. Byli zszokowani. Kamil, ich syn, był zupełnie zdrowym dzieckiem, więc skąd nagle takie problemy? Nie wiadomo. Tak się zdarza. – Początkowo nie dopuszczaliśmy myśli, że to może być ciężki przypadek, że będziemy musieli podjąć decyzję, czy kontynuować ciążę, czy nie – mówi Renata. – Kiedy to nas nie dotyczyło, nigdy nie rozważałam, w jakich sytuacjach można zdecydować się na usunięcie ciąży.

Lekarz wykonujący USG odesłał Renatę i Emila do ośrodka referencyjnego, żeby tam potwierdzono lub nie jego podejrzenia. Renata uważa, że to było wielkie szczęście, że polecił im doc. Joannę Dangel (teraz profesor). Lekarka potwierdziła nieprawidłowości i zaproponowała przeprowadzenie badań prenatalnych. Od razu też skierowała ich do pani psycholog, która miała im przedstawić, na czym polega pomoc hospicjum perinatalnego.

– Nie mogę powiedzieć, że nie rozważaliśmy dokonania aborcji, chociaż jesteśmy katolikami i wiemy, że to nie jest dobre – przyznaje Emil.

– Może się wydawać, że jeśli ktoś wierzy w Boga i jest katolikiem, sprawa powinna być oczywista – wyznaje Renata. – Ale tak nie jest. Człowiek rozważa różne rzeczy. Mamy jakieś życie i nagle okazuje się, że ono legnie w gruzach. Dlatego zaczyna się myśleć, jak to życie w przyszłości będzie wyglądać.

Na decyzję małżonkowie mieli zaledwie dwa dni. W tym Boże Ciało. Byli na procesji w rodzinnej miejscowości, modlili się, długo rozmawiali między sobą, z rodzicami. W końcu zdecydowali: aborcja. W piątek rano wyruszyli do szpitala. Po drodze zadzwonili do hospicjum perinatalnego, które się nimi opiekowało. Usłyszeli: „Przyjeżdżajcie". Przyjechali. Długo rozmawiali z panią psycholog, którą wcześniej poznali. Do szpitala nie pojechali. Kilkanaście tygodni później Kinga przyszła na świat. – Moment porodu to był kolejny z tych najpiękniejszych momentów w życiu, wzniosły – mówi Renata. A potem obdarowywała córkę miłością przez trzy miesiące.

Renata i Emil są zapewne jedynym polskim małżeństwem, które zdecydowało się opowiedzieć przed kamerą o tym, jak zareagowali na wieść, że córka ma wadę letalną. Zazwyczaj rodziny nie chcą rozmawiać ani na ten temat, ani o tym, jak wyglądała opieka nad chorym dzieckiem. – Zdarza się, że w pierwszym momencie po śmierci dziecka niektóre rodziny zgadzają się na publikację wspomnień czy zdjęć – mówi Aleksandra Marciniak z Fundacji Gajusz prowadzącej hospicjum perinatalne w Łodzi. – Kiedy te rodziny przeżywają żałobę, takie opowiedzenie o przeżyciach może mieć znaczenie terapeutyczne. Gdy jednak kończą terapię i czują uspokojenie, nie chcą już wracać do tych przeżyć.

Niektóre rodziny w ogóle nie odbierają ze szpitala dzieci, które urodziły się martwe. 15 października ogłoszono Dniem Dziecka Utraconego. Wówczas odbywają się pochówki pozostawionych w szpitalach dzieci – kładzie się je w mogiłach zbiorczych.

Na pewno pomyłka

Kiedy rodzice dowiadują się o wadzie letalnej płodu, najpierw pojawia się zaprzeczenie – to na pewno pomyłka. Potem jest gniew, negocjacje z panem Bogiem albo z losem, depresja i w końcu akceptacja. Tak było też w przypadku Renaty i Emila. Ale oni, jeszcze zanim urodziła się Blanka, mieli wsparcie hospicjum perinatalnego. Mogli liczyć na rozmowę z psychologiem, na spotkania z rodzinami, które wcześniej przechodziły to, co oni.

– Jeśli chodzi o przeżywanie ciąży, na pewno nie była ona radosna – uważa Renata. – Miałam świadomość, że noszę w sobie dziecko, które nie wiadomo, czy dożyje do porodu. Ale o tym nie myślałam. Bardziej bałam się tego, jak zareaguję, kiedy zobaczę córeczkę z tymi defektami. Bardzo się obawiałam, czy będę w stanie ją pokochać. Ale wszystkie obawy prysły, gdy ją przytuliłam.

Blanka przez dwa tygodnie była w szpitalu, potem ją wypisano. W domu zostało zorganizowane hospicjum perinatalne. Przychodzili lekarz, pielęgniarki, wolontariusze, ksiądz. Od wypisu ze szpitala dziewczynka żyła ponad dwa miesiące. Rodzice robili jej zdjęcia. Widać na nich rozszczep wargi i prowadzącą do nosa sondę, przez którą dziecko było karmione. – To był bardzo krótki czas, ale bardzo rodzinny – wspomina Renata. – Wiedzieliśmy, że nasze dziecko może odejść w każdej chwili. Przez miesiąc nie działo się nic niepokojącego. Ale potem pojawiły się problemy z oddychaniem, z jedzeniem.

Blanka odchodziła dwa razy. Za pierwszym razem miała tak poważny bezdech, że jego konsekwencją powinna być śmierć. Dzieci z wadami letalnymi nie reanimuje się. Rodzice, oddając się pod opiekę hospicjum perinatalnego, podpisują zobowiąza-

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl af54f16303

nie, że nie będą wykonywać żadnych czynności, które można by nazwać uporczywą terapią. I że nie będą wzywać karetki pogotowia.

– Dwa tygodnie później sami rozpoznaliśmy ten moment, kiedy ona zdecydowała się odejść – wspomina Emil. – Wszyscy byliśmy przy niej, także Kamil i wolontariuszki z hospicjum. Odeszła w atmosferze rodzinnej, była pogodna. Wydawało nam się, że do tego momentu można było się przygotować. Ale to tylko pozór.

Wyścig z życiem

W kraju funkcjonuje 15 hospicjów perinatalnych. Są tylko w dużych miastach, w kilku województwach nie ma ich w ogóle. W Krakowie są trzy, w Gdańsku dwa, w Warszawie jedno. Przez lata hospicja perinatalne, które zazwyczaj funkcjonują jako fundacje, były finansowane przez darczyńców. Od 2017 r. dostają środki z budżetu Ministerstwa Zdrowia.

Między 18. a 22. tygodniem ciąży wykonuje się trzecie badanie USG. Wówczas lekarz może ocenić narządy płodu. Przygląda się budowie czaszki, kręgosłupa, nerek i serca, by stwierdzić, czy wszystko przebiega prawidłowo i czy nie ma wady wrodzonej. Zapewne rodziny, które dowiadują się o wadzie letalnej płodu, sięgają do internetu, żeby więcej się o niej dowiedzieć. Jeśli artykuł jest opatrzony zdjęciami, zazwyczaj są one zasłonięte, z ostrzeżeniem, że są drastyczne. Przy każdym trzeba zdecydować, czy jest się gotowym na obejrzenie płodu uszkodzonego z powodu wad letalnych. Niektóre płody na zdjęciach mają niewyobrażalne uszkodzenia. Czy ktoś ma prawo zmusić kobietę do kontynuowania ciąży w takim przypadku?

Arkadiusz opisał swoją historię w trzech odcinkach zamieszczonych w hospicyjnym kwartalniku. On i Monika byli parą od czasów szkolnych, a od kilku lat małżeństwem. On przystojny, świetnie zbudowany, wysportowany, startujący w wyścigach motocyklowych. Ona piękna, o cudownym uśmiechu, też wysportowana, uosobienie kobiecości. Modelowa para, która mogła się spodziewać modelowych dzieci. Kiedy w lipcu 2016 r. dowiedzieli się, że Monika zaszła w ciążę, ucieszyli się.

We wrześniu w czasie badania USG okazało się, że na szyi płodu są torbiele, które mogą świadczyć o chorobie genetycznej. Płakali, ale nie poszli na żadne badania prenatalne. Miesiąc później, w czasie USG połówkowego, lekarz stwierdził, że torbiele zniknęły, za to móżdżek i komory boczne mózgu są zbyt małe. Wtedy zgłosili się na badanie. Dowiedzieli się, że córka, której postanowili dać na imię Kasia, ma nieodwracalne zmiany genetyczne i podejrzenie wady serca. Trafili do hospicjum perinatalnego przy Warszawskim Hospicjum dla Dzieci. I wtedy po raz pierwszy o swojej sytuacji rozmawiali także z psychologiem – o tym, czego się boją i jak mają się przygotować do przyjścia na świat córki.

Kasia urodziła się trzy tygodnie przed terminem, w lutym 2017 r. Arkadiusz pamięta, jak czekał w szpitalu na zakończenie porodu: – Z nerwów chodziłem w kółko. Nie wiem czemu, ale strasznie się bałem. A może bałem się... mojej córki? Może bałem się tego, jak Kasia będzie wyglądała, jak wpłyną na nią uszkodzenia genów? Bałem się, czy podołam. Nigdy nie miałem dziecka, a co dopiero dziecka bardzo chorego. Masa myśli. Setki obaw. I wtedy po jakimś czasie otworzyły się drzwi sali i zobaczyłem moją córkę, maluteńką, 1900-gramową. Zrozumiałem, że moją nową życiową misją jest opiekować się nią.

Trzy tygodnie w szpitalu, przyjazd do domu i wkrótce znów szpital. Rodzice codziennie spędzali czas z Kasią. – Powoli docierało do nas, że Kasia miała swój świat – wspomina Arkadiusz. – Nie skupiała na nas wzroku, nie uśmiechała się. Widać było, że jej rozwój był opóźniony i że inaczej reaguje na wiele bodźców, a na niektóre nie reaguje wcale. „Dajmy dziecku czas", słyszeliśmy od neurologa. Nie ma problemu, myśleliśmy, bo kochaliśmy Kasię bezwarunkowo i wiedzieliśmy, że dostanie od nas tyle opieki, miłości i czasu, ile tylko będzie potrzeba.

Podział ról był taki: rano Monika jechała do Kasi, a Arkadiusz do pracy. Około godz. 17 on przyjeżdżał do szpitala, a ona jechała do domu. Arkadiusz mył Kasię, ważył. O godz. 22 wychodził ze szpitala. Kiedy wieczorem spotykali się w domu, czasem śmiali się, czasem płakali.

Kasia miała pięć miesięcy, kiedy opiekę nad nią i jej rodzicami roztoczyło hospicjum perinatalne przy Warszawskim Hospicjum dla Dzieci. Przede wszystkim musieli zrozumieć filozofię hospicjum. Że nie wolno za wszelką cenę walczyć o podtrzymanie życia, że należy dziecku zapewnić godne warunki życia i odejścia. Musieli zaakceptować to, że córka ma bardzo poważne wady genetyczne. I że medycyna nie uleczy jej pnia mózgu. Każdy dzień traktowali jak ostatni. Każdy bezdech, a było ich coraz więcej, jako koniec.

Oddając się pod opiekę hospicjum perinatalnego, rodzice podpisują zobowiązanie, że nie będą wzywać do dziecka karetki pogotowia.

Dawki leków były zwiększane. Ale z czasem nawet maksymalne nie pomagały. We wrześniu 2018 r., kiedy Kasia miała rok i siedem miesięcy, hospicjum zdecydowało się na podłączenie morfiny. – Zrozumiałem, że moja córka dostała najsilniejszy możliwy lek przeciwbólowy i wkracza w ostatni etap swojego ziemskiego życia – opowiada Arkadiusz. Umieranie trwało prawie siedem tygodni. 12 listopada, kiedy rodzice byli obok niej, gładzili jej włosy i trzymali za rączki, Kasia przestała oddychać.

Aż do śmierci Kasi Arkadiusz prowadził swoje konta na Facebooku i na Instagramie oraz blog. Zamieszczał informacje na temat wyścigów motocyklowych, które były jego pasją, publikował zdjęcia z wypadów na motocyklu za miasto. Od czasu odejścia Kasi konta są martwe. Arkadiusz nie chce o tym mówić. Nie chce się zgodzić na spotkanie ani na rozmowę przez telefon. Mejlem informuje, że on i Monika nie chcą rozmawiać na temat tego, co przeżyli w czasie 626 dni – bo tyle żyła Kasia – ani po jej odejściu. Uważają, że wszystko, co mieli do powiedzenia na temat życia z dzieckiem z wadami letalnymi, przekazali. Nie chcą też mówić o swoim obecnym życiu, w którym pojawił się syn.

eprasa.pl af54f16303

Pożegnanie o świcie

Potencjalne zapotrzebowanie na opiekę perinatalną można określić jako sumę zgonów niemowląt, zgonów wewnątrzmacicznych i aborcji wykonanych po stwierdzeniu w badaniach prenatalnych, że płód ma wadę letalną. W 2018 r. ta liczba wyniosła ok. 4,4 tys. Teoretycznie wszystkie matki czy pary, które dowiedziały się przed 24. tygodniem ciąży, że płód jest dotknięty wadą letalną, powinny trafić pod opiekę hospicjum perinatalnego. Ale tak się nie dzieje.

Agata została skierowana przez lekarza, który wykonywał USG, do hospicjum perinatalnego prowadzonego w Łodzi przez Fundację Gajusz, bo badanie wykazało wady letalne płodu. Zdecydowała się kontynuować ciążę. Urodziła Mieszka przez cesarskie cięcie. Adam był obok, trzymał ją za rękę. Modliła się, żeby syn urodził się żywy. Zobaczyła w rękach lekarza małą istotkę, ale nie usłyszała płaczu. Przestraszyła się. Jednak po chwili rozległo się ciche kwilenie. I pokazano jej przez chwilę syna. Czekała, kiedy będzie mogła go przytulić. W końcu do sali wjechał inkubator, a położna położyła noworodka na ramieniu Agaty. Fotograf współpracujący z hospicjum perinatalnym zrobił zdjęcia rodziny z nowo narodzonym synem, okutanym w kocyk w żyrafy, w za dużej czapeczce na głowie. Mieszko wyglądał na zdjęciach jak zwyczajny noworodek. Nikt by się nie domyślił, że w każdej chwili może umrzeć.

Kiedy Agata i Adam postanowili, że będą ciążę kontynuować, nie sądzili, że tak trudno jest czekać na urodzenie dziecka, które wkrótce umrze i nic na to nie można poradzić. Można co najwyżej – jak to określiła Agata – delektować się każdym dniem ciąży, a potem życia dziecka. Dzięki hospicjum mieli spotkania z psychologiem i innymi rodzicami w podobnej sytuacji. Wiedzieli, że kiedy syn się urodzi, kapelan współpracujący z fundacją przyjdzie do szpitala, żeby go ochrzcić. A potem przyjdzie na pogrzeb.

Agata pamięta ten poranek. Od cesarskiego cięcia minęło zaledwie kilka dni, a ona wciąż była na sali pooperacyjnej. Nad ranem pielęgniarka obudziła ją. Domyśliła się, dlaczego. Zaprowadzono ją do Mieszka. Zdążyła go ucałować i pożegnać się. Potem mówiła, że miała piękny sen, który trwał 40 tygodni i cztery dni. A Mieszka nazywała swoim małym rodzinnym świętym.

Ustawa

Pod koniec października prezydent Andrzej Duda w katolickiej telewizji powiedział, że jeśli trafi do niego ustawa, która likwiduje eugeniczną przesłankę do wykonania zabiegu usunięcia ciąży, to on taką ustawę podpisze. Pan prezydent w ramach swojej kampanii podróżuje po kraju, otacza się kobietami w ludowych strojach, uśmiecha się, obiecuje podać rękę każdemu. Nie odwiedza miejsc, gdzie kumulują się nieszczęścia i choroby. Nie był w hospicjum. Nie odwiedził żadnej rodziny, która zdecydowała, że ich dziecko z wadą letalną przyjdzie na świat, po to by wkrótce umrzeć. Nie wie, jak to jest nosić w łonie płód bez mózgu. Ale ustawę podpisze.

Ewa Smolińska-Borecka

eprasa.pl af54f16303

Trzy tomy felietonów prof. Bronisława Łagowskiego o III Rzeczypospolitej. Polsce, która nie uznając PRL i odwołując się do II RP, całkowicie zniszczonej wskutek wojny, jest państwem znikąd. Polsce, która kłamstwa o swojej przeszłości uznaje za politykę historyczną i z niej wywodzi zafałszowaną politykę we wszystkich jej aspektach. Polsce, której polityka zagraniczna doprowadziła do chorobliwego stosunku do Rosji.

3 KSIĄŻKI – 120 zł

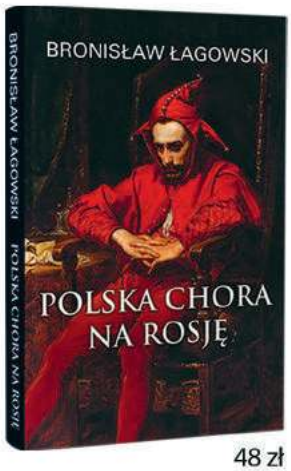

48 zł

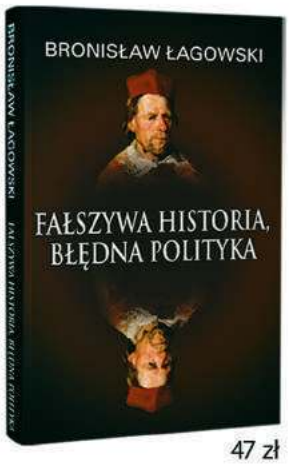

47 zł

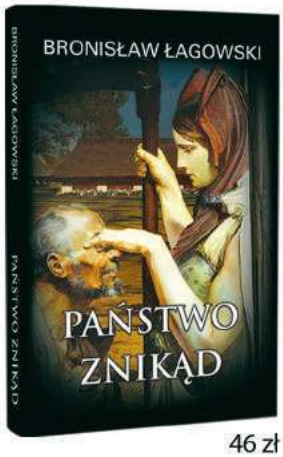

46 zł

KSIĄŻKI **PRZEGLĄDU** NA PREZENT

WARTO KUPIĆ **NAJBLIŻSZYM**

35 zł

Kim naprawdę jest Viktor Orbán? Populistą czy mężem opatrznościowym? Książka pokazuje jego drogę życiową, polityczne porażki i sukcesy.

Zbiór prac prof. Andrzeja Walickiego. Swoista summa przemyśleń na temat filozofii, historii i polityki Rosji dawnej, XIX- i XX-wiecznej, ale i dzisiejszej – Rosji Putina, oraz stosunków polsko-rosyjskich.

67 zł

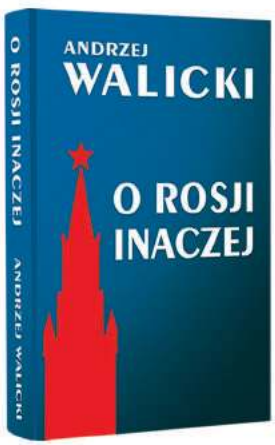

43 zł

42 zł

Pokazanie przeszłości – jednocześnie bliskiej i dalekiej – w całej jej złożoności. Jest wyrazem niezgody na czarny obraz PRL, w której propagandyści prawicy widzą jedynie zło.

2 KSIĄŻKI – 70 zł

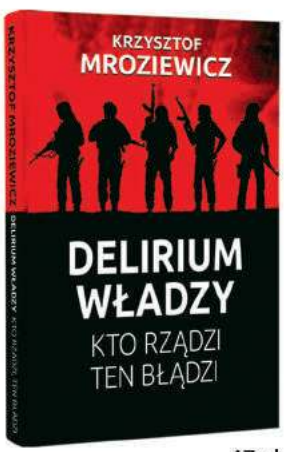

47 zł

Czy jesteśmy skazani na rządy psychopatów? Co musimy zrobić, by wyjść z zaklętego kręgu dyktatur i terroru?

eprasa.pl af54f16303

41 zł

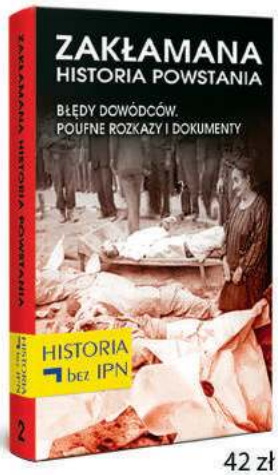

42 zł

Pomijane fakty na temat powstania warszawskiego. Niewygodne dla propagatorów oficjalnej polityki historycznej. Gdy Warszawa ginęła, dowódcy opracowywali plany powstań w kolejnych polskich miastach.

4 KSIĄŻKI – 130 zł

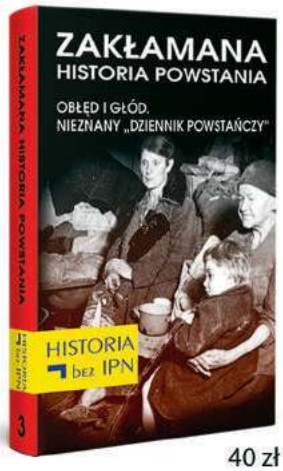

40 zł

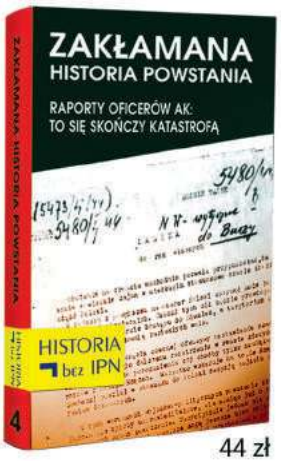

44 zł

Nie wszyscy „żołnierze wyklęci" są godni pomników, bo wielu z nich jest splamionych krwią Polaków, Żydów, Białorusinów, Słowaków. Wielu dopuściło się okrutnych zbrodni, gwałtów, napadów, rabunków.

3 KSIĄŻKI – 115 zł

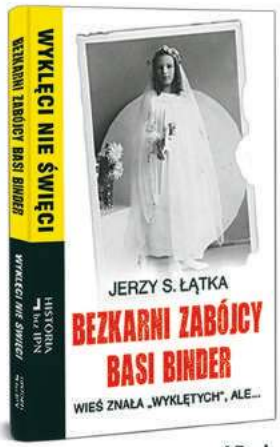

45 zł

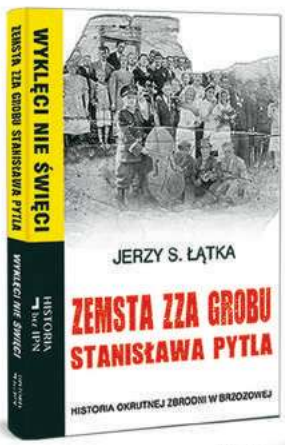

43 zł

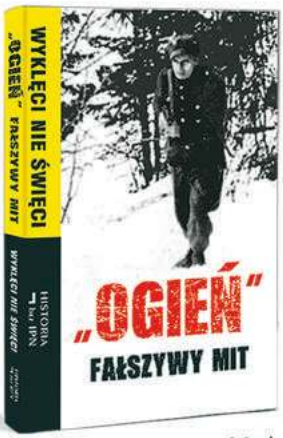

46 zł

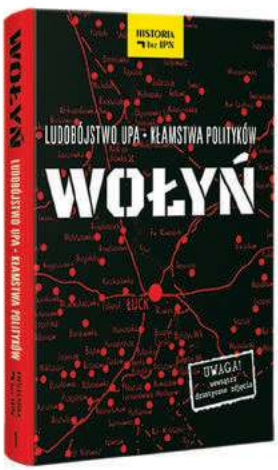

Zbrodnie banderowców opisane przez tych, którym udało się je przeżyć, teksty publicystów i dokumentacja zdjęciowa muszą przerażać.

44 zł

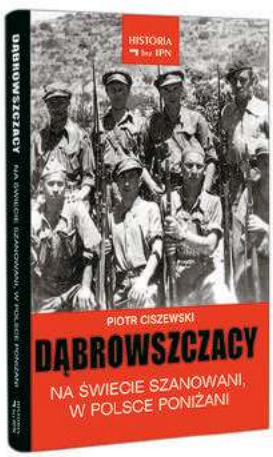

Książka demaskuje uproszczenia i fałszerstwa prawicowej propagandy kierowanej przeciwko dąbrowszczakom. Pokazuje motywacje i tragiczne nieraz drogi życiowe ochotników i ochotniczek walczących w Brygadach Międzynarodowych w Hiszpanii.

49 zł

52 zł

Jakimi zakładami dysponowała Polska Ludowa w 1988 r.? Dlaczego jesteśmy coraz bardziej uzależnieni od importu? Słowem, czy III rewolucja przemysłowa znów nas ominie?

Wpłat prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. Książki można też zamówić na **www.sklep.tygodnikprzeglad.pl**. W cenę książki wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł lub dostawy kurierem InPost +14,90 zł.

Zamówienia można składać do 8 grudnia 2019 r. lub do wyczerpania zapasów.
Więcej informacji tel.: 22 635 84 10 wew. 111, e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl af54116303

Polska w genach

Bardzo byłem dumny, gdy dostałem radziecki paszport, w którym była wpisana narodowość Polak

Rozmawia
Roman Wojciechowski

IGOR JANOWSKI
– prezes Filii Krasnodarskiej Organizacji Regionalnej Polskie Centrum Narodowo-Kulturalne „Jedność" w Soczi

Gdyby zapytać przeciętnego Polaka, z czym kojarzy mu się Soczi, na pierwszych miejscach byłyby prawdopodobnie odpowiedzi: olimpiada zimowa, mundial i baza polskich piłkarzy, wielki kurort nadmorski. Ale na pewno zaskoczyłaby go informacja, że działa tu organizacja polonijna.

– Dlaczego? Nikogo chyba nie dziwi, że w najróżniejszych zakątkach Rosji żyją Polacy, a na dodatek ich korzenie często są podobne.

Jakie są pańskie?

– Myślę, że dość typowe. Pradziadek mieszkał na dalekim wschodzie carskiego imperium, trafił tam – zapewne jak większość Polaków – na zesłanie. W 1938 r. – na fali stalinowskich represji – został aresztowany i rozstrzelany. W tym samym roku mój dziadek też został aresztowany i przesiedział 10 lat w jednym z więzień obwodu magadańskiego.

Za co trafili do więzienia?

– Po prostu dlatego, że byli Polakami. Trzeba pamiętać, że był to okres tzw. wielkiego terroru. Mój ojciec urodził się w obwodzie magadańskim, gdy dziadek siedział w więzieniu. Historia moich rodziców też wydaje się typowa, ojciec ożenił się z Rosjanką i zamieszkali na drugim końcu Rosji, w Kraju Krasnodarskim. Niestety, rodzice wcześnie się rozwiedli i ojca nie pamiętam, ale dziadka tak, chociaż tylko z wczesnego dzieciństwa. Być może dzięki niemu chociaż trochę mówię po polsku.

Ojca pan nie pamięta, dziadka słabo, matka Rosjanka…

– Domyślam się, do czego pan zmierza: czy to wystarczy, żeby czuć się Polakiem? W takim razie pana zaskoczę, od najmłodszych lat nie zapominałem, że jestem Polakiem. Pamiętam, jak bardzo byłem dumny, gdy – jeszcze jako uczeń – dostałem radziecki paszport, w którym była wpisana narodowość Polak! Pokazywałem go, komu tylko mogłem! Od dzieciństwa marzyłem, aby do Polski przyjechać.

Kiedy po raz pierwszy udało się spełnić te marzenia?

– Gdy miałem 15 lat, uprosiłem matkę, żeby wysłała mnie do Polski. Nie miałem wtedy jeszcze paszportu, jedynie zaświadczenie, że ojciec jest Polakiem. Przez tydzień jeździliśmy po Polsce autobusem.

To trochę trwało…

– Owszem, ale doskonale pamiętam moment, gdy przekroczyliśmy granicę… Wjechaliśmy do Polski i zobaczyliśmy rozświetlone kioski, w których sprzedawano czekoladę, marsy, snickersy. To był rok 1989 i takich rzeczy w naszych sklepach nie było. Mieliśmy kartki i pamiętam, jak kupowaliśmy na nie cukier, proszek do prania. Wtedy w Polsce był bardzo zimny listopad, ale dla mnie wspomnienia wciąż są bardzo gorące, każdy dzień pobytu widzę bardzo ostro. Całą wycieczkę opowiedziałem mamie, mówiłem, jak bardzo podoba mi się Polska, że mógłbym tam mieszkać. Nie była tym zmartwiona.

I co dalej z młodzieżowymi marzeniami o Polsce?

– Życie pisze scenariusze, które często zaskakują bardziej niż marzenia. Przez wiele lat od tej pamiętnej wycieczki chciałem przyjechać do Polski. Skończyłem szkołę, rozpocząłem pracę jako marynarz na statkach handlowych, ożeniłem się, przyszły na świat dzieci. W czasie przemian gospodarczych zaczęliśmy z żoną prowadzić w Soczi sklep odzieżowy, potem następny. Lata leciały, interes się rozkręcał, dziś współpracujemy z włoskimi firmami odzieżowymi. Obecnie przygotowujemy otwarcie naszego sklepu w Warszawie. W zeszłym roku starsza córka skończyła szkołę, zdała egzamin państwowy, który można porównać z polską maturą. Powstało pytanie, co dalej, jakie studia. I zrodziła się idea: może w Polsce? Córka na to: „Pojadę, zobaczę, jeśli mi się spodoba – to dlaczego nie?".

A więc wycieczka do Polski jak przed laty?

– To już inne czasy. Przylecieliśmy w sierpniu zeszłego roku. Wypożyczyliśmy samochód, z Warszawy pojechaliśmy do Gdańska, Sopotu, zwiedziliśmy Mazury, Kraków. Było super! I córka zaczęła studiować najpierw na Uniwersytecie Medycznym w Warszawie na roku zerowym.

eprasa.pl af54f16303

Bardzo dobrze zna angielski, ale polski słabo, więc rok poświęciła na jego szlifowanie. W październiku rozpoczęła studia na Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych. Tak jej się spodobało, że oświadczyła, że nie wróci do Soczi…

Trochę żal?

– Nie podchodzę do tego w ten sposób. Zaskoczę pana – młodsza córka też uczy się w Warszawie, w Międzynarodowej Szkole Meridian. Zaczęła w ósmej klasie podstawówki, teraz jest w pierwszej liceum. Przyjeżdża na wakacje do starych przyjaciół w Soczi, ale mieszka w Polsce, w Warszawie. Jest bardzo zadowolona.

Zupełnie jakby odziedziczyły jakiś gen polskości.

– Kto wie? Ale mówiąc poważnie, może to, że chcą tu mieszkać i uczyć się, po prostu wynika z moich tradycji rodzinnych? Ja mam Kartę Polaka, córki też, a starsza zezwolenie na pobyt stały. Polska zawsze była mi bliska; gdy tylko była możliwość, jeździliśmy z żoną i córkami na różne imprezy organizowane przez Polonię w Krasnodarze.

Jakie były początki organizacji polonijnej w Soczi?

– Zaprzyjaźniliśmy się z ludźmi, z kierownictwem organizacji w Krasnodarze i jakoś tak, w sposób naturalny, zrodził się pomysł, aby w Soczi otworzyć filię. Przecież tu też żyją Polacy. 16 września 2018 r. odbyło się uroczyste otwarcie naszej filii, był koncert, przyjechały grupy polonijne z różnych miast: z Rostowa, Krasnodaru, Noworosyjska, Moskwy, uczestniczył były konsul generalny w Kaliningradzie Marcin Nosal. Władze miasta udostępniły wspaniałą salę koncertową i muszę podkreślić, że ta współpraca dobrze się układa. Zresztą administracja miasta pomaga różnym organizacjom narodowym, których w Soczi jest wiele.

Czy można was w Soczi odnaleźć?

– Oczywiście, chociażby korzystając z internetu. Muszę jednak podkreślić, że to dopiero nasze początki i Polonia jest nieliczna w porównaniu z innymi grupami narodowymi, takimi jak Armeńczycy czy Gruzini. W ciągu roku zebraliśmy 40 osób, najbardziej aktywnych jest 15. Chodzimy na różne uroczystości do Kazachów, Osetyjczyków, Gruzinów, Rosjan, Ukraińców, do innych narodowości. A oni przychodzą na nasze imprezy. I chociaż – jak to się mówi – na Kaukazie ludzie gorący, nie ma konfliktów. To, co zachodzi między rządami, politykami – to jedno, a ludzie chcą żyć w pokoju.

Jakie zorganizowaliście przedsięwzięcia?

– Dopiero się rozkręcamy, działamy ledwie od roku. Bardzo pomaga nam pan Aleksander Sielicki, przewodniczący Krasnodarskiej Organizacji Regionalnej Polskie Centrum Narodowo-Kulturalne „Jedność", który zachęcił nas do założenia filii w Soczi. Był współinicjatorem wszystkich festiwali. Ostatnio z jego pomocą od 8 do 10 listopada zorganizowaliśmy w Soczi Festiwal Filmów Polskich „Wisła". Wcześniej, od 26 do 28 kwietnia, zorganizowaliśmy Dni Kultury Polskiej w Soczi, przybyło bardzo dużo gości z całej Rosji – od Kaliningradu po Syberię, oczywiście także z Polski. Przez trzy dni odbywały się różne imprezy kulturalne, koncerty, m.in. przedstawiciele Polonii z Rostowa pokazali spektakl na podstawie powieści „Ogniem i mieczem". Urządziliśmy wystawę „Historia chrztu Polski", bardzo dużym zainteresowaniem cieszył się wykład prof. Hieronima Grali z Uniwersytetu Warszawskiego. Były też ciekawostki – pan Malinowski z Czelabińska przywiózł ekspozycję „Polskie naparstki". Kupuje je w całej Polsce, a także produkuje na zamówienie z nazwami polskich miast i znanych miejsc. Te wydarzenia edukacyjne były bardzo potrzebne, młodzi mają małą wiedzę o Polsce, o jej historii.

Trudno się dziwić, młodzi żyją teraźniejszością, nie przeszłością.

– Jest jednak powiedzenie: kto nie zna swojej przeszłości, ten nie ma przyszłości. Dlatego zawsze było dla mnie ważne, aby dzieci znały historię swoich dziadków, pradziadków, żeby wiedziały, jakie są nasze korzenie. Dom, rodzina odgrywają ważną rolę – w szkole uczono nas historii, czasy się zmieniły i okazało się, że historia jest inna. Oprócz tego informacja o naszej historii w internecie, w mediach nie zawsze jest obiektywna.

Jakie plany na przyszłość? Co będzie najważniejsze?

– Bardzo bym chciał, żeby powstała szkoła języka polskiego – potrzebne są podręczniki, materiały audiowizualne. Mało jest w Soczi rodzin z polskimi korzeniami, w których dziadek, babcia lub rodzice znają język polski. A język to podstawa, jeśli ktoś chce poznawać historię, tradycję lub kulturę kraju przodków. Znajomość języka jest również ważna, jeżeli chcemy zaistnieć jako polska społeczność w Soczi i np. podczas występów na różnych miejskich imprezach śpiewać polskie pieśni. Potrzebne są także polskie stroje, ambasada obiecała nam je uszyć – czekamy z niecierpliwością. I oczywiście staramy się zdobyć jakieś pomieszczenie na naszą siedzibę, żebyśmy mogli prowadzić lekcje, spotykać się, porozmawiać po polsku, posłuchać polskiej muzyki, obejrzeć jakieś filmy. Niestety, teraz spotykamy się w kawiarni, na szczęście mamy obiecany budżet od przyszłego roku i już rozglądam się za lokalem. Zwłaszcza że odwiedza nas sporo gości, także z Polski. Chcielibyśmy zorganizować wymianę młodzieży, żeby studenci z Polski mogli do nas przyjechać, a nasza młodzież do Polski. Jednak to niełatwa sprawa, potrzebne jest finansowanie, ale pracuję nad tym. I oczywiście pomagam wszystkim, którzy przygotowują się do otrzymania Karty Polaka, daję im publikacje, książki.

> My, organizacja polonijna w Soczi, będziemy robić swoje.

Jakie motywy kierują osobami starającymi się o Kartę Polaka?

– Różne. Jedni chcą potwierdzić, że mają polskie korzenie. Drudzy – wyjeżdżać do Polski na wakacje. Również w tej motywacji nie widzę nic złego. Polska jest piękna, zwiedziłem wiele europejskich krajów, także podróżując biznesowo, i wszystkim mówię, że warto tu przyjeżdżać. Niektórzy patrzą z niedowierzaniem, ponieważ u nas można spotkać się z opinią, że Polacy źle odnoszą się do Rosjan. Bywa, że mnie o to pytają, a ja odpowiadam: „Moje dwie córki uczą się w Polsce. Czy wysłałbym je tam, gdyby było tak źle?".

Wielka polityka przeszkadza?

– Chciałbym, żeby było lepiej, żeby więcej Polaków mogło do Rosji przyjeżdżać i więcej Rosjan jeździć do Polski. Ale zostawmy wielką politykę wielkim politykom. My, organizacja polonijna w Soczi, będziemy robić swoje. ■

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl af54f16303

Podejrzany agent Tomek

Były agent CBA i poseł PiS z prokuratorskimi zarzutami

Marek Książek

Życie Tomasza K. to gotowy scenariusz na film sensacyjno-obyczajowy, tyle że z finałem w więziennej celi. Po wielu przygodach słynny agent Tomek z Centralnego Biura Antykorupcyjnego oraz poseł Prawa i Sprawiedliwości dostał właśnie sześć zarzutów prokuratorskich. Organa ścigania zarzucają mu m.in. udział w zorganizowanej grupie przestępczej i pranie brudnych pieniędzy.

Miłośnik luksusowych aut

Przez kilka lat agent Tomek brylował na łamach prasy jako miłośnik eleganckich ubrań, wykwintnych trunków, drogich aut i pięknych kobiet. Zwłaszcza jednej, szefowej stowarzyszenia Europejskie Centrum Wsparcia Społecznego Helper w Olsztynie, prowadzącego domy pomocy dla chorych i starszych osób. Jednak największe wrażenie zrobił na nim samochód Katarzyny Sz. – porsche cayenne za 300 tys. zł. Tomasz K. zauroczył panią prezes do tego stopnia, że oddała mu kierownicę, a niebawem i serce. W czerwcu 2013 r. doszło do skandalu towarzyskiego. Podczas imprezy imieninowej posłanki PiS Iwony Arent Tomasz K. zagroził mężowi swojej nowej partnerki, że go pobije. Gdy awantura stała się głośna, klub parlamentarny PiS zawiesił agenta w prawach posła, a ten wkrótce sam zrezygnował z członkostwa w klubie. W lutym 2015 r., kilka miesięcy przed końcem kadencji, zrzekł się mandatu, uzasadniając to względami rodzinnymi. Był już wtedy mężem Katarzyny Sz. i ojcem ich córki.

Pojawiły się jednak sugestie, że nie sprawy rodzinne, ale kłopoty z prawem stały się powodem odejścia z polityki. Prokuratura Okręgowa Warszawa-Praga prowadziła wobec niego śledztwo w sprawie ujawnienia tajemnicy służbowej oraz bezprawnego wykorzystania i rozpowszechniania wiadomości z postępowań, w których Tomasz K. jako agent CBA brał czynny udział. A on w wywiadzie rzece przechwalał się, jak to zastawił pułapkę korupcyjną na posłankę PO Beatę Sawicką, jak wrobił w przyjęcie łapówki Weronikę Marczuk, aktorkę i prawniczkę, która miała pomóc w prywatyzacji Wydawnictw Naukowo-Technicznych, wreszcie jakie działania podejmował w sprawie willi w Kazimierzu Dolnym, rzekomo nielegalnie kupionej przez Jolantę i Aleksandra Kwaśniewskich. Wszystkie te akcje zakończyły się fiaskiem, a w dwóch ostatnich Tomasz K. został oskarżony o przekroczenie uprawnień. W październiku 2016 r. przejęta przez PiS prokuratura śledztwo wobec niego umorzyła.

Biznesmen charytatywny

W tym czasie Tomasz K. zamieszkał z rodziną na ekskluzywnym olsztyńskim osiedlu i udzielał się w stowarzyszeniu Helper, które prowadziło domy opieki społecznej w Olsztynie i kilku okolicznych gminach. Były agent zastąpił nawet żonę na funkcji prezesa Helpera. Stowarzyszenie otrzymywało pokaźną pomoc z samorządów i funduszy unijnych. Z tych dotacji należało się rozliczyć, ale z tym Helper miał problemy. W maju 2014 r. generalny inspektor informacji finansowej Ministerstwa Finansów powiadomił Urząd Kontroli Skarbowej o podejrzanych transakcjach na rachunkach Helpera. Chodziło o zawyżanie kosztów budowy i remontów obiektów stowarzyszenia. Potem kontrole zaczęły prowadzić jednostki samorządów i Urzędu Wojewódzkiego w Olsztynie. Okazało się, że za publiczne pieniądze kupowano m.in. luksusową bieliznę, markowe perfumy, wysokiej klasy sprzęt RTV, elektryczną deskorolkę i dron oraz odzież... narciarską. Tomasz K. tłumaczył, że dzięki perfumom podopieczni poczują odrobinę luksusu, a dron będzie filmował imprezy organizowane przez stowarzyszenie. Jeden z byłych pracowników Helpera wyjawił nam, że agent Tomek, mimo zwracania mu uwagi na niestosowność takich zakupów, nie miał żadnych zahamowań.

Coraz szerszy krąg podejrzanych

Pod wpływem tych podejrzeń Tomasz K. zrezygnował z funkcji prezesa. W styczniu br. Prokuratura Regionalna w Białymstoku postawiła jego żonie 12 zarzutów, w tym kierowania grupą przestępczą, przywłaszczenia prawie 33 mln zł, oszustw przy dotacjach na 71 mln zł na szkodę samorządów w Olsztynie i okolicznych gminach oraz podrabiania dokumentów. Katarzyna K. nie została jednak aresztowana, wystarczyło poręczenie majątkowe na 1 mln zł. W dalszej kolejności podobne zarzuty prokuratorzy postawili ponad 30 osobom związanym z Helperem, przy czym aresztowano tylko Arkadiusza Sz., byłego męża pani prezes. Teraz sześć zarzutów usłyszał Tomasz K. Dotyczą one udziału w zorganizowanej grupie przestępczej, przywłaszczenia z innymi osobami mienia o wartości 10 mln zł oraz oszustwa związanego z nienależnym przyznaniem dotacji na 2 mln zł, a także prania brudnych pieniędzy.

Prokuratorskie zarzuty usłyszeli również prezydent Olsztyna Piotr Grzymowicz (prosił o podanie nazwiska) oraz burmistrzowie i wójtowie gmin, w których funkcjonowały ośrodki Helpera. Prokuratura zarzuciła samorządowcom niedopełnienie obowiązków i działanie na szkodę interesu publicznego. Mieli oni dopuścić do nadużyć związanych z przyznanymi dotacjami i z remontami obiektów publicznych. I tak agentowi Tomkowi nie udało się wciągnąć w bagno prezydenta RP, ale powiodło mu się z prezydentem średniego miasta wojewódzkiego. ■

FOT. WITOLD ROZBICKI/REPORTER

eprasa.pl af54f16303

Z Galicji

Jan Widacki

Mój życiowy błąd

Teraz mogę się przyznać. Był rok 1996. Byłem ambasadorem w Wilnie. Po ogłoszeniu wyników wyborów prezydenckich byłem załamany. Wałęsa przegrał! Wygrał Kwaśniewski. Szedłem akurat na przyjęcie wydane z okazji wizyty sekretarza obrony USA, Williama Perry'ego. Najpierw pojechałem do ambasady. Wysłałem depeszę do ministra Bartoszewskiego i oddałem się do jego dyspozycji.

Poszedłem na przyjęcie w minorowym nastroju. Tam okazało się, że jestem na nim prawie tak samo ważny jak William Perry. On sam i wszyscy dyplomaci zachodni chcieli dowiedzieć się ode mnie, kto to jest ten Kwaśniewski, a przede wszystkim, co ten wynik polskich wyborów będzie znaczył dla polskiej polityki zagranicznej. W szczególności zaś, czy Polska nadal będzie aspirować do NATO i Unii Europejskiej. Tu nie miałem wątpliwości. Na pewno tak, w tej sprawie nic się nie zmieni. To w porządku, ucieszyli się moi rozmówcy. Gratulujemy nowego prezydenta! No to może rzeczywiście zareagowałem zbyt emocjonalnie, może wybór Kwaśniewskiego nie jest taką tragedią, jak sądziłem?

Następnego dnia dostałem depeszę od ministra Bartoszewskiego. Napisał coś w tym stylu, abym się nie wygłupiał, tylko siedział w Wilnie. Wprawdzie on i minister Milczanowski podali się do dymisji, ale to co innego. Oni byli bezpośrednio związani z Wałęsą. A ja mam siedzieć w Wilnie i kontynuować swoją misję. No to kontynuowałem. Niedługo później prezydent Kwaśniewski składał oficjalną wizytę w Wilnie. Chyba obaj z początku patrzyliśmy na siebie trochę nieufnie. Ale już wtedy zrozumiałem swój błąd. Aleksander Kwaśniewski zrobił w Wilnie jak najlepsze wrażenie.

To, co w pierwszej chwili wydawało mi się niemal tragedią narodową, było – jak się okazało – początkiem najlepszej prezydentury w dziejach III Rzeczypospolitej. Początkiem dwóch znakomitych kadencji. Właśnie za prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego Polska stała się członkiem NATO i Unii Europejskiej. Za jego prezydentury uchwalono konstytucję. Aleksander Kwaśniewski pokazał, że można być prezydentem wszystkich Polaków. Także tych, którzy okazywali mu jawną niechęć i początkowo nie szczędzili afrontów. Gdy po raz drugi stawał do wyborów, nie miałem wątpliwości. To był także mój kandydat. Przeżywałem, byłem wściekły, gdy tuż przed wyborami rozpoczęto przeciw niemu oszczerczą kampanię i zorganizowano ohydną prowokację, fałszując esbeckie papiery. Na szczęście nieskutecznie. Wybory wygrał już w pierwszej turze. Przekonał do siebie większość Polaków. Przez kolejnych pięć lat znakomicie sprawował urząd Prezydenta RP, wyznaczając standard piastowania tej najwyższej funkcji w państwie. To dzięki temu standardowi możemy dziś ocenić, jak marna jest prezydentura Andrzeja Dudy.

Kwaśniewski zdobył sobie szacunek polityków Zachodu. W polityce wschodniej był wiernym uczniem Giedroycia. Za jego prezydentury i z jego osobistym udziałem udało się doprowadzić do ułożenia znakomitych stosunków z Litwą i Ukrainą. Teraz, gdy polityka wschodnia leży w gruzach, gdy udało się zepsuć stosunki z Ukrainą i jeszcze pogorszyć stosunki z Rosją, gdy popsute zostały stosunki z Niemcami, z Francją i z całą Unią Europejską, gdy zapowiadane „wstawanie z kolan" okazało się kucaniem przed kantem biurka prezydenta Trumpa, widać, jak bardzo go dziś w polityce zagranicznej brakuje. Bo w polityce zagranicznej rola prezydenta może być ogromna. Prezydent powinien Polsce służyć w stolicach mocarstw, nie na powiatowych czy gminnych festynach.

Prezydent powinien Polsce służyć w stolicach mocarstw, nie na powiatowych czy gminnych festynach.

Aleksander Kwaśniewski od kilkunastu już lat nie jest prezydentem. Ale wciąż jest obecny w polityce. Jest powszechnie szanowany w świecie, a gdy zabiera głos w sprawach polskich czy międzynarodowych, zawsze jest to głos rozsądku.

Piszę ten felieton w dniu 65. urodzin Aleksandra Kwaśniewskiego. Panie Prezydencie, Drogi Aleksandrze, *ad multos annos*! Dziękujemy Ci za lata Twojej prezydentury. Dziękujemy za Twoją obecność w polskiej polityce. Bądź z nami jak najdłużej.

A tak prywatnie, wybacz mi, że kiedyś Cię nie doceniłem.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl af54f16303

Annalena Baerbock i Robert Habeck doskonale się uzupełniają.

Radykalni pragmatycy

Ostatnia konwencja Zielonych pokazała, że ekodziałacze w następnych wyborach parlamentarnych chcą iść po władzę

Wojciech Osiński
Korespondencja z Niemiec

Szef Zielonych Robert Habeck rozpoczął ubiegłotygodniowy zjazd partyjny w Bielefeldzie z przytupem. – Epoka pani Angeli Merkel dobiega niewątpliwie końca i nasuwa się pytanie, kto wytyczy odpowiedni kierunek na drodze ku przyszłości. Nie musimy już skromnie ukrywać, że Zieloni chcą współtworzyć tę przyszłość. To jest nasz czas! – krzyczał przewodniczący Die Grünen. Poza tym był jednak niezwykle merytoryczny, a jego wystąpienie koleżanki i koledzy nagrodzili owacją na stojąco. Habeck mówił o gospodarce i klimacie, Europie i Iranie, nienawiści w internecie i neofaszyzmie, o rolnictwie, pomocy dla uchodźców, a także zaostrzającym się w niemieckich miastach kryzysie mieszkaniowym. Innymi słowy, o wszystkim. W każdym zdaniu pobrzmiewała optymistyczna nuta, która miała nadać zjazdowi znaczenie przełomowe. Kontrapunktem do tego entuzjazmu była jedynie złość, jaką Habeck okazał później „natrętnym" dziennikarzom. – Poruszyliśmy dzisiaj tyle tematów, a was interesuje tylko to, kto z nas będzie kandydatem na kanclerza – oburzał się lider Zielonych na pytanie, czy szefem przyszłego rządu zostanie on, czy jego zastępczyni Annalena Baerbock. – Mówi to jednak coś o poziomie naszych mediów, że w tak szczególnym dla nas dniu próbujecie zantagonizować zwarty tandem – dorzucił.

Kwestia kanclerska

Kłopot polega na tym, że wraz ze zbliżaniem się kolejnych wyborów do Bundestagu podobne pytania będą coraz częstsze. Zwłaszcza że pozycja Habecka nie jest już bezdyskusyjna. Wprawdzie na konwencji partyjnej w Bielefeldzie 50-letni przewodniczący utrzymał stanowisko, uzyskawszy znakomite 90,4% poparcia, ale młodsza od niego o 11 lat Annalena Baerbock zapisała się w historii, otrzymując 97,1% głosów. Zainteresowanie dziennikarzy kwestią kanclerską jest zrozumiałe, podobnie jak to, że dwa lata przed wyborami Habeck i Baerbock jeszcze nie chcą szczególnie się nad nią pochylać. No bo dlaczego? Wystarczy poczekać. Ostatnie sondaże na fali emocji wywołanych manifestacjami Fridays for Future i popularnością szwedzkiej ekodziałaczki Grety Thunberg dają Zielonym nadzieje na współtworzenie następnego rządu federalnego. Już wiele miesięcy temu wyprzedzili w nich SPD, a teraz depczą po piętach chadekom.

Te trendy nie muszą jednak wiecznie się utrzymywać. Jeśli teraz liderzy Die Grünen wskazaliby głównego kandydata do wyborów w 2021 r., musiałby on przez pozostałe 24 miesiące tłumaczyć się z każdego *faux pas* kolegów partyjnych. Habeck na razie do tego się nie kwapi, tym bardziej że sam czasami zalicza gafy. Niekiedy wręcz rażące, gdy np. krytykując ostatnio rządowy pakiet klimatyczny, nie był w stanie wymienić

eprasa.pl af54f16303

kilku jego punktów. Zresztą lawina pytań dotyczących kandydata na kanclerza z ramienia Die Grünen może nawet być dla szefów ugrupowania całkiem wygodna, ponieważ nie zostawia miejsca na znacznie istotniejsze spory, którymi rozbrzmiewa centrala partyjna w berlińskim Invalidenparku. Jako że Habeck jest zdeterminowany sięgnąć za dwa lata choćby po tekę ministra, musi doprowadzić do kompromisów między różnymi skrzydłami swojej partii.

Ostatnie sondaże dają Zielonym nadzieje na współtworzenie następnego rządu federalnego.

Przy tak znakomitych sondażach Zieloni nie chcą na razie rozstrzygać tych sporów przed kamerami bądź na zjazdach partyjnych (gdzie też ich nie brakuje). To zrozumiałe, acz niepozbawione ryzyka. Wypierane walki frakcyjne mogą stopniowo zniszczyć zwartość ugrupowania oraz klubu parlamentarnego.

Gotowi na wszystko

Pod pewnym względem przewodniczący ma jednak rację – Zielonych stać na więcej niż bycie opozycją punktującą błędy większych partii ludowych. Nastroje społeczne i reakcje na zmiany klimatyczne przyniosły w ostatnich latach Die Grünen zauważalne zyski sondażowe, a następne wybory mogą im dać faktyczną władzę. Rzadko można było poczuć tak zdecydowaną wolę rządzenia jak na ostatnim zjeździe w Nadrenii Północnej-Westfalii. Co bowiem znamienne, mniej dyskutowano na nim o ekologii i antyfaszyzmie, które są u Zielonych niemal na porządku dziennym, a więcej o kwestiach związanych z gospodarką, które niekoniecznie kojarzą się z ich główną agendą, ale które są niezbędne, jeśli Habeck chce naprawdę rządzić.

Na dzisiejszym niemieckim rynku politycznym etykietka centrum nie jest już najbardziej pożądana. Współrządzący chadecy i socjaldemokraci zauważyli, że zabieganie o wyborców centrowych pozbawiło ich wiarygodności w oczach tradycyjnych zwolenników, którzy w rezultacie powędrowali do Alternatywy dla Niemiec (AfD) lub do Die Linke. Dzisiaj CDU i SPD są zajęte głównie ich odzyskiwaniem, dokonując rozpaczliwych prób powrotu do konserwatywnych względnie lewicowych wartości. Natomiast Die Grünen zachowują się wręcz odwrotnie – przez wiele lat skupiali się na dopieszczaniu żelaznego elektoratu, aż wreszcie dostrzegli, że do rządzenia potrzebne jest szeroko rozumiane centrum, kojarzące się z umiarem i przyznawaniem racji wszystkim przy jednoczesnym dystansowaniu się od skrajności. Wśród tych umiarkowanych wyborców nie brakuje także ludzi, którzy nie są entuzjastami CDU ani SPD, ale nie doczekali się atrakcyjnej alternatywy dla nich. Zieloni wydają się beneficjentami tych zmian. Habeck i Baerbock dążą ku centrum, choć oczywiście nigdy by tego słowa nie użyli, gdyż wiedzą, że ich wierny elektorat lubi pewien powiew radykalizmu. Szefowie tej partii wolą więc nazywać siebie radykalnymi pragmatykami, będącymi w stanie rządzić z każdym ugrupowaniem. W przyszłości może to być zarówno czarno-zielony sojusz z CDU, jak i czerwono-czerwono-zielona koalicja z SPD i Die Linke, przy czym z punktu widzenia Habecka obie opcje mają na razie pozostać otwarte.

Tyle że właśnie takie czekanie na polityczne niewiadome niejedną już partię doprowadziło do erozji. A zbyt częste używanie słowa radykalizm może odstręczyć umiarkowanych wyborców. Tymczasem u Zielonych nie brakuje zdeklarowanych neokomunistów, którym nie podoba się ani scenariusz jamajskiego sojuszu z CDU i FDP, ani kapitalistyczny pragmatyzm Roberta Habecka.

Kryzys mieszkaniowy

Konwencja w Bielefeldzie miała być momentem przełomowym, ale niekiedy można było odnieść wrażenie, że próbowano podtrzymać entuzjazm za wszelką cenę, aby tylko nie doszło do jakichkolwiek sporów. Niektóre dyskusje ujawniły już pewne rysy na spójnym wizerunku Zielonych, choćby sprawa katastrofalnej sytuacji mieszkaniowej w Niemczech. Die Grünen od lat chcieli przyjąć program blokujący rosnące czynsze i zmniejszający brak mieszkań. Ich odpowiedzią na ten kryzys, obserwowany zwłaszcza w aglomeracjach, ma być zagwarantowane konstytucyjnie prawo do dachu nad głową. „Odpowiedni zapis w niemieckiej konstytucji ma zapewnić każdemu obywatelowi prawo do mieszkania i ograniczyć podwyżki czynszów do 3% rocznie", głosi postanowienie przyjęte na zjeździe. Najemcy mają również mieć prawo do wymiany między sobą umów najmu. Na przykład osoby żyjące samotnie w większym mieszkaniu powinny mieć możliwość zamiany go na mniejsze, w którym żyje duża rodzina. Zdaniem Zielonych mogłoby to się odbywać bez zawierania nowej i droższej umowy najmu. Partia Habecka opowiedziała się też za zamrożeniem czynszów na trzy lata. Obecny lub przyszły rząd powinien jej zdaniem przyjąć również program budowy mieszkań socjalnych, przeznaczając na to co najmniej 3 mld euro rocznie. Inwestycje te miałyby zrekompensować rezygnację z innych (dotąd mało popularnych) dofinansowań na budowę lub kupno nieruchomości.

Wymownym przykładem rozmijania się przekonań członków Zielonych co do przyszłej linii partii była wprowadzona do obrad kwestia wywłaszczania przedsiębiorstw mieszkaniowych. Zarząd zgodnie odrzucił te postulaty. – Uspołecznienie jest ekstremalną ingerencją w stosunki własnościowe i wymaga ogromnej rozwagi – przekonywał Habeck. Większość członków zgodziła się co prawda z jego stanowiskiem, uznawszy je za kolejny rozsądny krok ku centrum, lecz widać było, że szefowie ugrupowania nie byli przygotowani na ostrą krytykę ze strony lewego skrzydła we własnym obozie. Aby w 2021 r. rzeczywiście zasiąść w ławach rządowych, Habeck i Baerbock będą w następnych miesiącach musieli prowadzić politykę nader elastyczną, co uwidoczniły także żywe dyskusje na temat klimatu.

Spory klimatyczne

Kolejne różnice poglądów ujawniły się bowiem w sprawie ceny emisji dwutlenku węgla. Wielu członków Zielonych uznało propozycje przewodniczących za zbyt umiarkowane. Tymczasem Habeck i Baerbock nie chcą zbyt szybkiego podnoszenia

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl af54f16303

ceny emisji, by pozostawić sobie większe pole manewru w ewentualnych negocjacjach koalicyjnych w 2021 r. Gwałtownym sprzeciwem zareagowała choćby młodzieżówka partyjna Grüne Jugend. Koniec końców spór udało się zażegnać.

Obecnie szefowie Die Grünen nie mają większych problemów z młodymi wilkami. Wyniki wyborcze w ostatnich dwóch latach zamknęły usta najzacieklejszym krytykom: 17,6% w Bawarii, 19,8% w Hesji, 20,5% w wyborach do Parlamentu Europejskiego oraz 17,4% w Bremie. Nawet we wschodnich krajach związkowych, gdzie z reguły pokłady niechęci i nieufności wobec Zielonych są duże, partia Habecka odnotowuje zyski sondażowe. Choć trzeba przyznać, że dotychczas w niemałym stopniu czerpała ona z wszechobecnego zainteresowania kwestiami klimatycznymi, które jednak powoli maleje. – To na pewno nie przypadek, że popularność niemieckich Zielonych zaczęła rosnąć pod koniec 2018 r., gdy na całym świecie dyskutowano namiętnie o globalnym ociepleniu. Jednak ostatnie badania wskazują, że wyborcy coraz mniej interesują się klimatem, uważając, że jest w tym także dużo przesady, a ich dzieci powinny chodzić raczej do szkoły niż na manifestacje – twierdzi Werner Patzelt, politolog z Uniwersytetu Technicznego w Dreźnie. Pierwsze sygnały niezadowolenia zaobserwowano pod koniec października, kiedy to w lokalnych wyborach w Turyngii Zieloni ledwo przekroczyli próg wyborczy. – Jeszcze kilka podobnych wyników i krytycy Habecka i Baerbock będą się robić coraz głośniejsi i pozostawiać coraz mniej miejsca na pożądany pragmatyzm – wróży Patzelt. Szefowie Die Grünen doskonale wiedzą, że wyborca bywa kapryśny. – Najwybitniejsi ojcowie naszej republiki nigdy nie zaszliby tak daleko, gdyby nieustannie spoglądali na sondaże i przejmowali się drobnymi wobec wielkich celów bolączkami w swoich partiach – głosił Habeck w Bielefeldzie.

Im bliżej kolejnych wyborów do Bundestagu, tym częstsze będą pytania, który z liderów Zielonych zostanie kandydatem na kanclerza.

Zielony filozof

Szczerze mówiąc, nie należę do wyznawców tezy, że obecny sukces Zielonych to efekt wyłącznie zainteresowania kwestiami klimatycznymi. Partia zawdzięcza go również swoim przewodniczącym. W przeciwieństwie do Wielkiej Koalicji, której ministrowie walczą dziś o polityczne przetrwanie, nieznani przed 2017 r. szefowie Die Grünen cieszą się w Niemczech rosnącą akceptacją. Doskonale się uzupełniają, i to w takim stopniu, że aż trudno uwierzyć, że zanim zostali wybrani na przewodniczących partii, prawie w ogóle się nie znali.

Warto jednak zauważyć pewne różnice między nimi. O ile Annalena Baerbock cieszy się uznaniem szczególnie we własnym ugrupowaniu (w mediach wypada różnie), o tyle Robert Habeck stał się już rozpoznawalny i lubiany w całym kraju, plasując się w indywidualnych sondażach przed Angelą Merkel i Olafem Scholzem. Ale właśnie to może być dla niego pewnym kłopotem. Jeszcze nie tak dawno bowiem był nieznanym działaczem ze Szlezwika-Holsztynu, który wygryzł wcześniejszego lidera Zielonych Cema Özdemira. I trzeba przyznać, że w tej roli odnajdywał się znakomicie. Ale odkąd nawet bawarscy milionerzy (łącznie z prezesem Siemensa Joem Kaeserem) zachęcają niemieckich wyborców do głosowania na Zielonych, Habeck stał się nagle w oczach wielu kimś ważnym i godnym fotela kanclerskiego, a wraz z rosnącą popularnością powiększa się także grono jego krytyków. Sekretarz generalny CDU Paul Ziemiak ostrzega przed kanclerzem Habeckiem, a premier Bawarii Markus Söder (CSU) dostrzega w nim głównego konkurenta w batalii o elektorat klimatyczny. Lider populistycznej AfD Alexander Gauland widzi zaś w Habecku zagrożenie dla Niemiec i całej Europy. W istocie, po swojej ostatniej wycieczce po UE szef Zielonych jest już znany na brukselskich i paryskich salonach. Uchodzi tam za dość nietypowego Niemca, gdyż jako szef lub minister nowego rządu federalnego byłby skory do większych wydatków Niemiec na Unię i rezygnacji ze zrównoważonego budżetu, który dla koalicji CDU-SPD urósł wręcz do rangi racji stanu.

Mimo wszystko należy zapytać, czy Habeck – gdyby rzeczywiście znalazł się w rządzie federalnym – nadal mógłby sobie pozwolić na bycie politykiem niekonwencjonalnym. Dotąd bowiem ceniono go jako jednego z niewielu, którzy chcą w polityce zachować szczyptę naiwności. Jednak gdy nie wykazał się wiedzą na temat pakietu klimatycznego koalicji rządzącej, oburzenie w mediach było ogromne. Na spotkaniach z wyborcami szef Zielonych chętnie się droczy, że większość Niemców widzi w nim jedynie pisarza (którym faktycznie jest), nie zaś polityka. Dlatego dziś wystąpienia zaczyna zwykle od zdania: „Kiedy byłem ministrem energii i środowiska w lokalnym rządzie w Szlezwiku-Holsztynie...". Co nie znaczy, że chciałby zrezygnować z ról filozofa i powieściopisarza, bo dobrze wie, że dają mu rozpoznawalność w politycznym krajobrazie Berlina. Ale jak Habeck sprawdzi się przy jednym stole z ministrami z CDU, z których niejeden na słowo dekarbonizacja reaguje alergicznie? Dotąd szef Die Grünen potrafił zręcznie lawirować pomiędzy przypisywanymi mu cechami i przekonaniami. Niebawem jednak będzie musiał odnieść się do nich nieco bardziej szczegółowo.

Wojciech Osiński

Najnowszy numer tygodnika „NIE":
Amerykańscy żołnierze w Polsce – siekiery zamiast tomahawków.

eprasa.pl af54f16303

Lewomyślniej Roman Kurkiewicz

Normalnie nienormalne

Normalność z *exposé* premiera Morawieckiego jest dokładnym zaprzeczeniem tego, co ja sam i miliony Polaków za normalność uważamy. Przedstawianie jako normalności wizji Polski skrajnie konserwatywnej, zamkniętej, nieczułej i nieotwartej na wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób nie pasują do wzorca katolika i heteronormatywnego członka rodziny rozumianej tak, jak zarządza Kościół katolicki, jest uzurpacją. Ale Morawiecki, podobnie jak całe PiS, uważa, że mandat do takich uzurpacji ma dzięki zwycięskiemu mandatowi w wyborach. To jest właśnie kwintesencja nienormalności, i to nienormalności demokratycznej. Demokracja nie polega na tym, żeby poprawnie policzyć głosy i potem niepodzielnie, nie oglądając się na nikogo i na nic, rządzić twardo i po swojemu, nie bacząc, co wokół. To inny, odmienny pomysł. Ale PiS tak nie umie, nie lubi, nie chce i nie robi.

Przypadek łamania kręgosłupów przeszedł przez nowy Sejm już pierwszego tygodnia, kiedy marszałek Witek, nie radząc sobie z nowym systemem głosowania, po prostu nie podała wyników przegranego głosowania, tylko zarządziła nowe. To jest technika rozmawiania polegająca na tym, że najpierw pięścią w nos, a dopiero potem przechodzimy do słów. I to nie jest normalne, chociaż do takiej normalności PiS nas przyzwyczaiło. Miejmy nadzieję, że nie uda się przyzwyczaić nowego parlamentu.

PiS musiało też odreagować słowno-wizualną, wizerunkową, totalną porażkę, właściwie nokaut, jaki zaliczył po sejmowym *exposé* Mateusz Morawiecki, kiedy tylko na sejmowej mównicy stanął Adrian Zandberg i rozniósł w pył kłamstwa, ściemnienia i manipulacje premiera. Zandberg zrobił coś dużo poważniejszego – zadał partii Kaczyńskiego cios tam, gdzie jest ona najmocniejsza, uderzył w całą retorykę społeczną popartą tak naprawdę niemal wyłącznie programem 500+. I jakby jeszcze było mało, nowy poseł Lewicy wyprowadził mocną kontrę w postaci zapowiedzi propozycji ustaw i wyrażenia oczekiwania, że PiS takie prospołeczne pomysły poprze. Z technologii sprawowania władzy tego obozu wynikało, że zareagować trzeba natychmiast, i to tam, gdzie wzrok większości Polaków nie dociera – podczas nocnych obrad Sejmu, znaku rozpoznawczego tej ekipy. To, co dla nich jest normalne, nie jest normalne dla innych.

Decyzje Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości oznaczające konieczność zmiany tego, co Prawo i Sprawiedliwość przeforsowało w poprzedniej kadencji w sprawie nowych izb Sądu Najwyższego, PiS przyjęło lekceważeniem i procedowaniem, jakby nigdy nic. To nienormalne i nieakceptowalne. W konsekwencji możemy mieć całkowitą zapaść systemu sądownictwa, podważanie setek, tysięcy wyroków wydanych przez sędziów, których droga mianowania była wątpliwa formalnie. I to jest nienormalne.

Prawie nie ma co się zatrzymywać nad tym fragmentem, kiedy Zandberg wspomina o istnieniu na równych prawach w Polsce ludzi i obywateli innej wiary albo niewiary niż katolicy, których większość powoli zanika, jest wykreowanym obrazem. Tylko niespełna 40% Polaków systematycznie uczęszcza na msze. A w retoryce króluje wciąż 95% katolików. I to jest normalne, że maleje ich liczba, natomiast nienormalne – że rośnie niewidoczna, przepotężna władza hierarchów i środowisk skrajnie integrystycznych.

PiS w pierwszych dniach obrad Sejmu pokazało, że istnieje dla nich wyłącznie jedna normalność i jest to ich nienormalność. Pytanie rodzi się tylko takie, czy te nienormalne wizje normalności będziemy oglądać teraz przez kolejne cztery lata. Dzień po dniu, posiedzenie po posiedzeniu. To byłoby nienormalne.

Normalność z exposé premiera jest dokładnym zaprzeczeniem tego, co ja sam i miliony Polaków za normalność uważamy.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl af54f16303

Stamtąd nie wraca się żywym

Po wielu dniach tortur syryjski aktywista był pewien, że już nie wyjdzie z więzienia

Dalia Mikulska

Leżał na podłodze i powoli odzyskiwał przytomność. W głowie wciąż mu huczało. Strażnicy wyszli, a na talerzu blisko niego zostawili kilka oliwek i szklankę wody. Ale on po trzech dniach tortur nie miał już siły się podnieść.

Wtedy czyjaś ręka podała mu wodę.

Źródło życia

Firas świetnie znał wartość wody, bo zawodowo zajmował się wierceniem studni. Lubił ten moment, gdy woda wypływała na powierzchnię. Wprawdzie pierwszy jej strumień nie jest zdatny do picia, ale już kolejnego dnia woda ze studni nadaje się zarówno do spożycia, jak i do nawadniania pól bawełny i gajów oliwkowych.

Zajęcie to od młodych lat dawało mu chleb, a w jego rodzinie się nie przelewało. Wcześnie więc zakończył edukację i zaczął pracować, a po kilku latach pojawiły się przed nim i jego braćmi możliwości wyjazdów zarobkowych za granicę. Było to w czasach, gdy rządzący Libią płk Kaddafi, poszukując złóż ropy, dokopał się do warstw wodonośnych pod piaskami Sahary. Zainicjowany przez Kaddafiego projekt hydrotechniczny potrzebował wielu pracowitych rąk, a takie były ręce Firasa i jego braci.

Pieniądze przywiezione z Libii pozwoliły nie tylko na zaspokojenie potrzeb rodziny, lecz także na zakup maszyn wiertniczych. Młodzi mężczyźni wrócili też bogatsi o doświadczenie i znajomości, które pomogły im rozwinąć własny biznes w Syrii. 30-letni Firas i jego bracia stali się właścicielami trzech posiadłości oraz farmy za miastem i szanowanymi członkami lokalnej społeczności.

Ich firma prosperowała całkiem nieźle. Firas przyjmował zlecenia od ludzi o zasobnych portfelach, często będących przedstawicielami reżimu, choć rządzących nie popierał. Układ był czysty: dokonywał odwiertów w ich ogrodach i instalował pompy, a oni mu za to płacili.

Tylko jednemu odmówił.

Źródło buntu

Robił, co do niego należało, i nie zaprzątał sobie głowy uciążliwymi myślami. Czy mógł przewidzieć, że jego kraj nawiedzi susza? Dopiero później mądrzy ludzie stwierdzili, że to ona wygnała wielu mieszkańców wsi do miast, powodując tam przeludnienie i wzrost bezrobocia, co przyczyniło się do wybuchu niezadowolenia społecznego na początku 2011 r. Po latach konflikt w Syrii nazwano wojną klimatyczną.

Nie minęły dwa tygodnie od pierwszych strzałów oddanych w położonej na południu kraju Daraii, kiedy w mieście Firasa, a później także w innych miastach, zaczęto organizować demonstracje solidarnościowe. Dołączył do protestujących, bo nie chciał już dłużej żyć w państwie policyjnym. Zamiast karabinu złapał jednak kamerę, bo chciał, aby świat usłyszał o ich walce i zobaczył okrucieństwo reżimu, który strzelał do obywateli.

Z początku jego kamera uchwyciła niewielkie, spontaniczne zgromadzenia, w których brało udział zaledwie kilka osób. Stopniowo twarzy na jego nagraniach było coraz więcej. Coraz większa malowała się na nich determinacja, a coraz mniej widać było strachu. „Chcemy wolności!", krzyczeli ludzie, niezrażeni tym, że groziły im surowe represje. Amatorskie nagrania z protestów trafiały do Mahmuda, który był informatykiem, a potem na ekrany komputerów i telefonów ludzi w całym kraju. Wysyłali je także redakcjom stacji nadających z Półwyspu Arabskiego, takich jak Al-Dżazira czy Orient News, założona przez rodzimego biznesmena i opozycjonistę, którego służby wywiadu wygnały za granicę. Ich przekaz nie pasował jednak do narracji forsowanej przez te stacje.

Firas zauważył, że media, które opowiedziały się po stronie rewolucji – a więc te, które funkcjonowały dzięki hojności rządów krajów sunnickich – przekonywały swoich odbiorców, że stanowiący w Syrii większość sunnici są zwalczani przez rząd ze względu na przynależność religijną. W prorządowych mediach słyszał natomiast, że protestujący są sunnickimi terrorystami, którzy dążą do wprowadzenia w kraju porządków religijnych naruszających prawa jednostki. A przecież w jego mieście, które było domem dla wielu mniejszości, mówiło się, że religia jest dla Boga, a ojczyzna dla wszystkich. Mieszkańcy miasta co piątek oddawali Bogu co boskie w różnych meczetach, modląc się na różne sposoby. Ale cesarzowi co cesarskie oddawać już nie chcieli. Firas nie był sunnitą ani alawitą, tak jak członkowie rządzącego klanu. I nie o religii myślał, gdy malował na transparentach hasła o wolności. Z alawickim prezydentem łączyło go tylko jedno: on także, jako izmailita, należał do mniejszości religijnej. Te dwa niewielkie fragmenty syryjskiej mozaiki – alawizm i izmailizm – stanowiły części i tak już będącego w tym kraju w mniejszości szyizmu. Jednak w tamtym czasie demonstranci krzyczeli, że naród jest jeden i nie pozwoli się podzielić. Bo wtedy jeszcze rzeczywiście tak się czuli.

> W mieście Firasa, które było domem dla wielu mniejszości, mówiło się, że religia jest dla Boga, a ojczyzna dla wszystkich.

Gdy jednak w stronę demonstrantów coraz częściej padały strzały, niektórzy uznali, że nie pozwolą strzelać do siebie jak do kaczek, i postanowili

eprasa.pl af54f16303

Do więzienia mógł trafić każdy, kto protestował przeciwko rządowi.

także chwycić za broń. Wkrótce wielu młodych mężczyzn powołano do wojska, a oni, nie chcąc strzelać do braci i sąsiadów, dezerterowali, zabierając ze sobą karabiny. Jak grzyby po deszczu wyrastały zbrojne ugrupowania. Z czasem rewolucja przekształciła się w konflikt zbrojny, a w mieście Firasa, wówczas dość spokojnym, schronili się ci, którzy uciekli przed spadającymi na ich domy bombami. Latem, podczas świętego miesiąca postu, na ulicach zrobiło się tłoczno za sprawą nędzarzy z tobołkami. Uciekinierów zwykle łatwo można było rozpoznać – szczególnie kobiety, które częściej niż tutejsze chodziły szczelnie okryte czarnymi abajami.

Firas nie pytał o religię ludzi, których przyjął w swoich posiadłościach. W Hims, skąd pochodzili, spotkać można było także alawitów, również tych, będących zwolennikami prezydenta. Jednak bomby beczkowe nie odróżniały wyznania. Gdy uchodźcy przybyli do ich miasta, bracia Firasa przenieśli się do większego domu, w którym zamieszkali całą rodziną, a dwa pozostałe oddali do użytkowania przybyszom. Trudno już nawet powiedzieć, ile osób tam się schroniło – dla części był to tylko przystanek na trasie dalszej ucieczki, niektórzy zatrzymali się jedynie do czasu, aż wynajęli jakiś garaż czy barak. Jeszcze inni zagościli na dłużej, a rodzina Firasa dostarczała im jedzenie i olej opałowy, którym w zimne noce uciekinierzy mogli nagrzać w piecykach. Sama dobrze pamiętała, jak potrafi doskwierać głód, i uważała, że w trudnych czasach dostatkiem trzeba się dzielić. Prędzej czy później może bowiem nadejść moment, gdy to Firas i jego bliscy będą potrzebować pomocy.

Nadal angażował się po stronie rewolucji, choć powoli zaczynał się bać. Wiedział, że waży się nie tylko jego życie, ale także los jego najbliższych. Za jego działania mogły przecież zostać aresztowane matka lub siostra, a wiele słyszał o tym, jak w aresztach traktowano kobiety.

W tamtym czasie nie wiadomo było do końca, kto po jakiej stronie się opowiada i komu można zaufać. Niektórzy demonstranci pojawiali się na protestach tylko po to, by donosić tajnym służbom. Ale byli i tacy, którzy, choć mieli powiązania z władzą, ukrywali, gdy zaszła potrzeba, osoby zagrożone aresztowaniem. Jemu także pomogło kilku przedstawicieli reżimu, którzy dobrze go znali, bo przed laty zlecali mu wywiercenie studni.

Coraz częściej dochodziło do zatrzymań aktywistów i osób podejrzanych o działania na szkodę władzy. Wielu demonstrantów trafiało do rozsianych po całym kraju więzień i aresztów na długie miesiące, a gdy wracali, nie byli już tymi samymi ludźmi. Niektórzy zaś nie wracali wcale. Firas wprawdzie był kilkakrotnie zatrzymywany, zabrali mu wtedy telefon i laptop, na których przechowywał nagrania wideo, zwykle jednak po kilku godzinach puszczano go wolno.

Wielu zastanawiało się, dlaczego nadal jest na wolności. Czyżby na nich donosił? Niektórym przeszkadzało też to, że głośno krytykował tych rebeliantów, którzy niszczyli publiczną własność i palili opony. W zadymionych kafejkach wdawał się w kłótnie z tymi, którzy mówili, że skoro wolność odebrano im przemocą, to tylko przemocą można ją odzyskać, i powoli przestawał identyfikować się z ruchem, w którym uczestniczył na początku.

Źródło przemocy

Po dwóch latach ukrywania się i strachu stało się. Drzwi do domu Firasa z hukiem wyłamano, a jego samego, dwóch braci i kuzyna wepchnięto do samochodu, zasłonięto im oczy i wywieziono w nieznanym kierunku.

Będąc już na miejscu, Firas zaczął poruszać brwiami, by unieść nieco opaskę, i wśród tajniaków zobaczył

FOT. BEW PHOTO

eprasa.pl af54f16303

jednego, którego twarz wyglądała znajomo. Dwa lata przed rewolucją mężczyzna ten zjawił się w domu Firasa i od progu przedstawił się jako funkcjonariusz wywiadu sił powietrznych. Takim jak on wydawało się, że zajmowane stanowisko i broń, którą noszą, dają im mandat do tego, by resztę społeczeństwa traktować jak służących. Zażądał więc, by Firas i jego bracia wywiercili w jego ogrodzie studnię, i założył, że za zlecaną usługę nie musi płacić.

Tajniakom się nie odmawia – wiedzieli to wszyscy w ich kraju od dawna, a na pewno od czasu, gdy ojciec obecnego prezydenta doszedł do władzy. Funkcjonariuszy wywiadu należało się bać. Firas jednak nie miał zwyczaju klękać przed przedstawicielami reżimu. Pokazał oficerowi drzwi. Ten, zanim nimi trzasnął, wycedził jeszcze: „Pożałujesz tego".

Istotnie, Firas pożałował, że nie poszukał wody w ziemi należącej do funkcjonariusza, kiedy ten rozkazał przywiesić go za skrępowane dłonie pod sufitem, a później bił z całej siły po obnażonych plecach. Stopy Firasa ledwo dotykały ziemi, barki wyginały się nienaturalnie, a po twarzy spływała mu krew z rozciętego łuku brwiowego.

Zanim jednak do tego doszło, mężczyźni spotkali się raz jeszcze, na początku rewolucji, gdy elitom powoli zaczynał się palić grunt pod nogami. Miało to miejsce przed budynkiem instytucji kredytowej w centrum miasta, gdzie brat Firasa zaparkował swojego nowego pick-upa. Firas siedział wtedy na pace, skąd dostrzegł oficera wywiadu i usłyszał strzępki jego rozmowy telefonicznej. Był przekonany, że oficer zadzwonił do kogoś, kiedy ich zauważył. „Są pod instytucją kredytową, sprowadźcie posiłki", powiedział – jak mu się zdawało – tajniak. Był pewny, że usłyszał swoje nazwisko. Nie zastanawiając się długo, zeskoczył z samochodu, podbiegł do oficera i wyrwał mu z ręki telefon.

Być może właśnie tę scenę, w której po raz pierwszy tak bezczelnie zakwestionowana została jego władza, oficer miał przed oczami, gdy tłukł Firasa kablem.

Przesłuchujący zarzucali Firasowi, że wspierał rebeliantów, dostarczając im broń. Chcieli go obarczyć odpowiedzialnością za zorganizowanie nieudanego zamachu na jednego z oficerów. Kopniakami próbowali wymusić przyznanie się do winy.

Gdy skończyli z pytaniami, zostawili go, wiszącego niczym duch – bo tak w ich slangu określano tę torturę. Trudność sprawiało mu nawet oddychanie, bo wymagało uniesienia klatki piersiowej. Był spragniony, bo nieustannie się pocił. Tracił przytomność, a oni cucili go kopniakami i zimną wodą. Zdawało mu się, że wisiał tak dwie doby, jednak czas w takich sytuacjach bywa zdradliwy.

Czas potrafi przejść na stronę oprawców i płynąć nieubłaganie wolno.

Potrafi przejść na stronę oprawców i płynąć nieubłaganie wolno, a wskazówki zegara potrafią się cofać, drwiąc z torturowanego.

Kolejni żołnierze, którzy przychodzili go pilnować, od czasu do czasu bili go dla zabawy. Uderzeniem karabinu złamali mu nos, kopali po kręgosłupie i miejscach intymnych, w końcu jednak odczepili go, bo rozkaz jego aresztowania przyszedł z Hamy i mieli go tam dostarczyć żywego.

Po kilku dniach Firasa oraz jego braci przewieziono na lotnisko wojskowe, będące siedzibą wywiadu sił powietrznych w Hamie. Gdy strażnicy zorientowali się, że kilku zatrzymanych nosi to samo nazwisko, umieścili ich w osobnych celach. Firas znalazł się w niewielkim pomieszczeniu, w którym musiało się zmieścić jakieś 50 osób i mnóstwo robactwa. Wokół unosił się smród uryny, krwi i strachu. Uszy Firasa dręczył hałas nadlatujących i odlatujących z lotniska samolotów oraz wystrzeliwanych rakiet i pocisków moździerzowych. Najgorsze jednak były krzyki jego torturowanych braci.

Gdy skończyli z pytaniami, zostawili go, wiszącego niczym duch.

Po kilku godzinach po niego także przyszedł człowiek w mundurze, kazał mu się rozebrać i nagiego zaprowadził do sali tortur.

Jakiś czas wcześniej przed siedzibą wywiadu w jego mieście wybuchł samochód pułapka. Po zamachu pojawiło się w internecie nagranie, na którym do jego dokonania przyznała się jedna z grup dżihadystów. Teraz jednak przyznanie się próbowano wymusić na Firasie. To on miał załatwić samochód i wysłać na miejsce zamachowca. Potwierdził, że uczestniczył w demonstracjach, że wymyślał hasła, które skandował tłum, i nagrywał filmy umieszczane potem w sieci. Ale nie przyznał się do ataku czy udzielenia wsparcia grupom zbrojnym. Zresztą, czy wtedy jego męki by ustały?

Trzeciego dnia tortur był już na skraju wyczerpania. Nie spał, od kiedy wyprowadzono go z celi, bo zawsze gdy zasypiał, bili go lub polewali wodą. Był półprzytomny z bólu i wycieńczenia. W końcu strażnicy przynieśli kawałek chleba i parę oliwek oraz szklankę wody i zostawili go na podłodze, by jadł. Po kilku kęsach osunął się na nią, bo zabrakło mu sił. Wtedy jednak ktoś podszedł do niego, by mu pomóc. Kim był ten człowiek? Czy innym więźniem? Pamięta to jak przez mgłę, zdaje mu się jednak, że wymamrotał jakieś podziękowanie. Pech chciał, że w tej samej chwili w drzwiach stanął jeden ze strażników i usłyszał to. Za karę chwycił Firasa za gardło i uniósł do góry, przyciskając do ściany. Być może by go udusił, ale do sali wkroczył strażnik starszy stopniem i uderzył tamtego, rozkazując, by zostawił więźnia. Pozwolił Firasowi przemyć twarz i kazał odprowadzić do celi, by mógł odpocząć.

Zdarzały się chwile, gdy Firas mógł się porozumiewać ze współwięźniem. Na przykład wtedy, gdy torturowano trzeciego, a jego krzyk zagłuszał ich szepty. Albo w nocy, gdy w pobliżu nie było strażników. Nawet wtedy jednak ściszali głosy, w obawie, że ktoś ich usłyszy.

Którejś nocy jeden z oficerów wezwał go do siebie i powiedział: „Polecili nam wysłać cię do Al-Mazzy, widocznie uznano cię za groźnego terrorystę. Szkoda mi ciebie. Stamtąd nie wraca się żywym". Po tej informacji wyraźnie zmienił ton. Firasowi zdawało się, że tamten rzeczywiście mu współczuł. Dodał, że na lotnisku wojskowym Al-Mazza w Damaszku pełni służbę jego przyjaciel z akademii wojskowej, i poradził mu, by się

eprasa.pl af54f16303

nie martwił. Tylko jak Firas miał mu zaufać? Ten sam człowiek parę dni wcześniej go torturował.

Do Damaszku przetransportowano go helikopterem, wysoko nad terenami opanowanymi przez rebeliantów. Gdy zbliżali się do lądowania, oficerowie zażartowali sobie, pytając, czy umie latać – i wypchnęli go na zewnątrz. Oczy miał zasłonięte opaską, więc o bliskości ziemi dowiedział się, dopiero upadając na nią. Leżał tak przez chwilę odurzony smrodem benzyny i zastanawiał się, jak długo jeszcze pożyje, aż strażnicy zawlekli go do celi.

Kiedy został sam, czuł, jakby się unosił i oglądał siebie samego z góry. Widział swoje pokiereszowane ciało, a w głowie szumiały mu współczujące słowa oficera: „Mój przyjaciel się tobą zajmie". Nie wierzył w to.

W Damaszku nadano mu numer 36 i tak od tej pory zwracano się do niego. „Tylko ja i oficer, który będzie cię przesłuchiwał, może znać twoje prawdziwe imię", poinstruował go ten, który go tam zarejestrował.

Po paru dniach zabrano go do pokoju, w którym naprzeciwko krzesła, na którym go posadzono, znajdowała się kamera. Zapytano, czy jest spragniony, a on przytaknął, choć bał się, że poczęstują go moczem albo trucizną. Ale bał się też, że jeśli zaprzeczy, zaczną go bić. Ktoś podał mu jednak szklankę wody i pomógł mu się napić. Dzień w dzień sadzano go przed kamerą i zadawano pytania, aż w końcu, z braku dowodów obciążających, zdecydowano się go wypuścić. Wkrótce wypuszczono także jego braci i kuzyna.

Postawiono mu jednak warunek: miał jak najszybciej opuścić kraj. Dali mu dwa dni na pożegnanie z matką i siostrami. Wiedział, że nie żartują. Na każdym posterunku kontrolnym serce podchodziło mu do gardła. Przekroczył granicę i choć znalazł się wreszcie tam, gdzie nie mieli nad nim władzy, to przebywając przez kilka miesięcy w Libanie, a później w Turcji, wciąż oglądał się za siebie w obawie, że i tu go dosięgną. Postanowił wyruszyć w dalszą podróż.

Źródło strachu

Dziś w Berlinie Firas czeka na operację nosa, złamanego uderzeniem kałasznikowa. Urazy pleców i ramion spowodowane długotrwałym podwieszaniem pomaga mu leczyć fizjoterapeuta. Ale urazy fizyczne to nie wszystko. W jego pamięci powoli zacierają się już wszystkie cele pełne brudu i strachu, wszyscy tajniacy i członkowie szwadronów śmierci, wszystkie przesłuchania i tortury. O tym trzeba zapomnieć, żeby przetrwać. Czasem w nocy budzą go koszmary – wydaje mu się, że sufit zbliża się do niego, z trudem łapie powietrze. Lekarze mówią, że operacja nosa ułatwi mu oddychanie. A może problem leży głębiej?

Kiedyś lubił pływać, teraz ogarnia go strach, gdy zanurza się w basenie. To nie przez tortury, nigdy go nie podtapiano. Przypomina mu się ucieczka przez morze, gdy woda, jako ostatnia, próbowała odebrać mu życie, nim dopłynął na bezpieczny ląd.

Dalia Mikulska

Imię bohatera zostało zmienione

eprasa.pl af54f16303

Losy z krwi i kości

Historie Ślązaków, którzy walczyli w obronie republikańskiej Hiszpanii

Dariusz Zalega

„Jestem dumny, że mogę tu zmyć z tylu innymi synami Polski hańbę dzisiejszych rządów", pisał Paweł Kleczka do rodzinnego Wirka, dzisiejszej dzielnicy Rudy Śląskiej, w październiku 1938 r. Był jednym z prawie stu ochotników z polskiej części Górnego Śląska walczących w wojnie hiszpańskiej.

Robotnicze wspomnienia

Czasami statystyki mówią same za siebie – wśród ochotników z polskiego Śląska zawód górnika deklarowały 33 osoby, jako robotnicy innych gałęzi przemysłu określało się 18 osób. Oprócz nich było trzech robotników rolnych, dwóch rzemieślników, rzeźnik, radiotechnik, kucharz i marynarz. Zawodu 34 innych osób nie udało się ustalić, pracowali oni na stanowiskach robotniczych już na emigracji (niektórzy byli młodociani w chwili wyjazdu z rodziną za chlebem do Francji). W przeciwieństwie do ochotników z niemieckiej części Górnego Śląska nie było w tym gronie przedstawicieli inteligencji.

Paweł Kleczka prosił, by policja nie nachodziła jego starego ojca za to, że syn wyjechał za Pireneje.

W sumie była to nieliczna grupa wśród 4-5 tys. dąbrowszczaków pochodzących z Polski, co wiąże się z tym, że stanowili niewielką część emigracji do Francji, skąd rekrutowała się większość ochotników. Śląsk odgrywał jednak główną rolę przy przerzucie ochotników do Hiszpanii – punkty przerzutowe zlokalizowane były zarówno w Beskidach, jak i nad Olzą. Jeszcze przed decyzją o organizacji Brygad Międzynarodowych powstał w Szopienicach Antyfaszystowski Komitet wyjazdu ochotników do Hiszpanii, który zorganizował demonstrację przed konsulatem Hiszpanii w Katowicach. Związki zawodowe związane z Polską Partią Socjalistyczną prowadziły także na Śląsku akcję zbierania datków na rzecz republiki hiszpańskiej, a podobną organizowali nielegalnie komuniści.

Wśród śląskich ochotników nie było takich, którzy czy to w Hiszpanii, czy już po wojnie weszli na karty „wielkiej historii". Ale może tym bardziej ciekawe są ich świadectwa. W Brygadach byli co najwyżej dowódcami kompanii, tak jak Otton Jarzyna, lub komisarzami politycznymi – to przypadek Karola Suchanka z Wirka.

Śląsk odgrywał główną rolę przy przerzucie ochotników na trasie do Hiszpanii.

Pozostały po nich wspomnienia spisane w latach 60., życiorysy kreślone jeszcze za Pirenejami (a potem przewiezione z archiwum Brygad Międzynarodowych do Moskwy), korespondencje w prasie lewicowej, np. w komunistycznym „Głosie Robotniczym" na Zaolziu, a także listy przechwycone przez śląską policję. Zostały też zeznania składane na policji przez tych nielicznych, którzy po upadku Madrytu, a przed wybuchem kolejnej wojny, wrócili na Śląsk – gdy ich świat się zawalił. Przytoczmy kilka takich historii.

„Pochodzenie moje Pan zna dostatecznie, od najmłodszych lat borykałem się z twardym i niesprawiedliwym losem. Byłem dzieckiem, gdy wybuchła wojna światowa. Ojca zabrano w pierwszym dniu. Matka musiała ciężko pracować na chleb dla nas dzieci. Ta ciężka praca, wieczny strach i łzy zabiły ją, umarła, zabiła ją wojna. Twardo byłem wychowany, bez czułych i ciepłych słów, zawsze podarty, w szkole nikt nie chciał siedzieć ze mną w ławce. To było smutne, ale prawdziwe", tak pisał Paweł Kleczka. Adresatem listu był kolega policjanta nachodzącego jego starego ojca, bo syn wyjechał za Pireneje.

„Napisałem pokrótce, jak rosną ci, których Pan uważa za swych wrogów. Chciałbym wiedzieć, czy Pan byłby inny, gdyby był tak wyrósł i żył jak ja. A teraz mam jedną prośbę, choć nigdy nie proszę, bo i teraz nie proszę dla mnie, lecz dla człowieka, który jest bardzo nieszczęśliwy, a którego mam zaszczyt nazywać swoim ojcem. Niech Pan wpłynie na swojego kolegę Lesz. i niech on nie prześladuje tego starego człowieka, niech na starość nie ma prześladowań, bo on zasłużył na coś innego. Paweł Kleczka, Plaza Alfazano 44, Albacete".

List przechwyciła katowicka policja (podobnie jak wcześniejszy, skierowany przez Kleczkę do ojca).

Sam Paweł Kleczka urodził się w 1909 r. w Wirku, w rodzinie górniczej. Latem 1937 r. trafił do Hiszpanii, gdzie walczył w szeregach 13. Brygady im. Jarosława Dąbrowskiego. Przyjechał tam, według dokumentów, *luchar contra el fascismo* (walczyć z faszyzmem). Został ranny, potem był internowany we Francji. Po wojnie wrócił do Polski.

Niczym Franek Dolas

Kolejny ochotnik urodził się w 1893 r. – jeszcze jako Richard Mendrok – w podbielskich Aleksandrowicach, gdzie do 1945 r. większość mieszkańców stanowili Niemcy. Ojciec był stolarzem, ale młody Richard wyuczył się na rzeźnika. W 1914 r. trafił do 2. Pułku Artylerii Ciężkiej armii austro-węgierskiej w Krakowie. Rok później znalazł się

eprasa.pl af54f16303

Polskie korzenie miało ok. 4-5 tys. dąbrowszczaków, w tym ok. 100 pochodziło z polskiego Śląska.

w rosyjskiej niewoli i wywieziono go do obozu jenieckiego w Samarze. Uwolniła go rewolucja rosyjska w 1917 r. i znów trafił na front – tym razem w szeregach Czerwonej Gwardii. „Będąc w baterii w Pogożelcach, zostałem przyłapany przez patrol niemiecki, skąd odstawiono mnie do mego pułku do Krakowa". W austro-węgierskim mundurze wrócił na front – tym razem włoski, gdzie przebywał do października 1918 r.

Po powrocie do Aleksandrowic pracował w zawodzie, nim ruszył za robotą do Francji. W październiku 1936 r. przyjechał do Hiszpanii, gdzie został przydzielony do baterii przeciwlotniczej. Powód przyjazdu podał w oficjalnym życiorysie: *defender la República* (bronić Republiki). Walczył jako podoficer do jej końca – Madryt, Guadalajara, Brunete, Aragonia, choć z racji wieku i umiejętności zajmował się głównie zaopatrzeniem. Po upadku republiki trafił do obozu internowania we Francji, lecz w 1941 r. reżim Vichy wydał go Niemcom jako obywatela Rzeszy, a ci skierowali go do prac przy budowie baz dla łodzi podwodnych w La Rochelle. Z powodu problemów zdrowotnych został jednak zwolniony, ale zaangażował się we francuski ruch oporu. W czerwcu 1943 r. aresztowała go żandarmeria francuska. W lutym 1944 r. wraz ze współwięźniami wywołał bunt w więzieniu Eysses. I znów znalazł się w rękach hitlerowców. „Załadowano nas do wagonu celem wywiezienia do Niemiec, w drodze próbowałem wraz z innymi zbiec, co nam się nie udało, a wtedy zostałem ciężko ranny". Na szczęście udało mu się doczekać w obozie pod Paryżem wyzwolenia przez Amerykanów. Schorowany wrócił do Polski w grudniu 1948 r. Richard stał się Ryszardem – w PRL nie było miejsca na „niedookreślenie narodowe".

Książeczka Jerzego Pilcha.

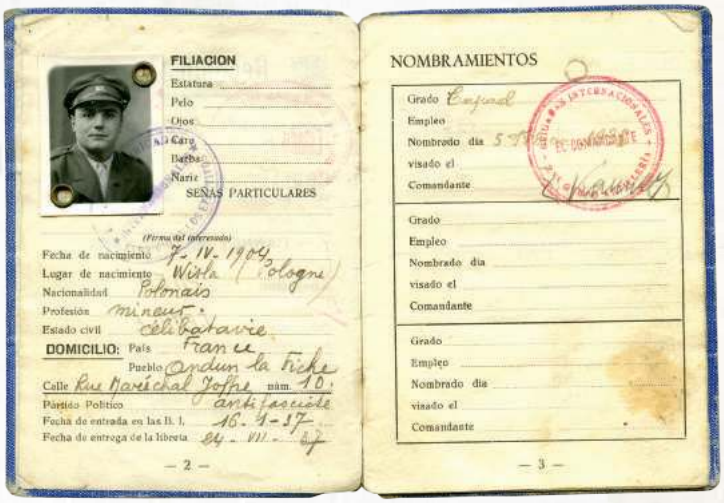

Trzech braci Pilchów

Było trzech braci: Jan (ur. 1901), Jerzy (1904) i Józef (1906). Pochodzili z chłopskiej rodziny w beskidzkiej Wiśle, toteż od najmłodszych lat musieli pracować na polu rodzinnym, ale też dorabiać u bogatszych gospodarzy. Pola było zbyt mało, żeby wszystkich wyżywić.

Jan już w 1918 r. wyjechał do pracy w kopalni pod Ostrawą. Tam, jak wspominał, wstąpił „do zawodowych organizacyj zaras w pierwszych dniach jako członek, później stąpiłem tagrze do Partyji Komunistycznej". Wyleciał za tę działalność z roboty i w 1925 r. wyemigrował do Francji. Tam 12 lat przepracował w kopalni rudy, działał w związkach zawodowych (w komórce CGT był skarbnikiem), ale także we Francuskiej Partii Komunistycznej (pseudonim partyjny „Pajor" – imigranci oficjalnie nie mogli należeć do partii, gdyż groziła im za to deportacja).

Jerzy Pilch również początkowo trafił do Czechosłowacji, ale już w 1923 r. wyjechał do Francji, gdzie pracował w górnictwie. Został członkiem partii komunistycznej. Najmłodszy, Józef, za braćmi od razu wybrał się do francuskich kopalń. I jak bracia zaangażował się w działalność lewicową.

Kolejnym przystankiem tej rodzinnej epopei była Hiszpania. Przystankiem tragicznym. Józef w listopadzie 1936 r. wyjechał do Hiszpanii, w jednym z pierwszych transportów antyfaszystowskich ochotników, a już w styczniu następnego roku został ciężko ranny na froncie pod Guadalajarą. W tym samym miesiącu do Hiszpanii przyjechał Jerzy – *luchar por la libertad*, by walczyć o wolność, jak wpisano w jego *dossier*. Jerzy walczył wpierw w Batalionie im. José Palafoxa Brygady im. Dąbrowskiego, potem trafił do grupy artylerii ciężkiej Brygad Międzynarodowych jako intendent. Przeniesienie mogło być związane

eprasa.pl af54f16303

Śląscy ochotnicy nie osiągali w Brygadach wysokich szarż. Byli co najwyżej dowódcami kompanii lub komisarzami politycznymi.

z raną, jaką odniósł na froncie pod Kordobą w kwietniu 1937 r. Spędził wówczas pięć miesięcy w szpitalu. Kierownictwo grupy artylerii bardzo dobrze oceniało jego służbę.

Najstarszy, Jan, przyjechał jako ostatni – w styczniu 1938 r. Niestety, niedługo powalczył. W szeregach dąbrowszczaków zginął podczas walk w Estremadurze.

Jerzy po ewakuacji z Hiszpanii został internowany na terenie Francji, a potem wywieziono go do obozu internowania we francuskiej Algierii. Zmarł tam w przeddzień wyzwolenia w 1942 r.

Okaleczony najmłodszy Józef spędził resztę wojny w Związku Radzieckim. Wrócił do kraju w 1945 r. i zamieszkał we Wrocławiu. 19 lipca 1945 r. został odznaczony krzyżem V klasy Orderu Virtuti Militari.

Wyścigi ze śmiercią

Czasem jedno zdanie wystarczy za całą historię. Zacznijmy jednak od niej: August Grzonka urodził się w Rudzie w 1904 r. Już jako 19-latek wyjechał za robotą do Francji. Od 1924 do 1931 r. był żołnierzem Legii Cudzoziemskiej, w szeregach której przemierzył Maroko, Algierię i Syrię. Po zakończeniu kontraktu wrócił do pracy we francuskiej kopalni.

Grzonka ani w Polsce, ani we Francji nie należał do żadnej organizacji. Nie wiemy więc, co go przekonało do wyjazdu do Hiszpanii. Przyjechał tam w styczniu 1937 r. i trafił do jednostek polskich ochotników. Ledwie trzy miesiące później, 19 kwietnia, został ciężko ranny pod Pozoblanco, niedaleko Kordoby. Amputowano mu obydwie nogi aż po pośladki. Po długim pobycie w szpitalu, w lipcu 1938 r., na wniosek komisji lekarskiej skierowano go do Francji. Na stosownym dokumencie ktoś dopisał ołówkiem: „Brak rodziców. Ciężko okaleczony. Spokojny". Jego późniejsze losy są nieznane.

August Grzonka w kwietniu 1937 r. został ciężko ranny pod Pozoblanco. Amputowano mu obydwie nogi aż po pośladki.

Byli jednak i tacy, co nieraz wywinęli się śmierci. Do takich należał Rudolf Larysz, urodzony w Ustroniu, w rodzinie robotniczej o socjalistycznych tradycjach. Jako młody chłopak brał udział w wojnie o Śląsk Cieszyński w 1919 r. i w późniejszych walkach na wschodzie, w szeregach 10. Pułku Piechoty. Za robotą ruszył do Czechosłowacji, gdzie został jednak aresztowany za „działalność wywrotową", a potem do Francji, gdzie pracował jako górnik i mocno zaangażował się w ruch związkowy i lewicowy.

W marcu 1938 r. znalazł się w szeregach Brygady im. Dąbrowskiego. Brał udział w bitwie nad Ebro. „Był wzorem dla innych", „obowiązki wypełniał sumiennie", czytamy w opinii o nim.

Po zwycięstwie frankistów wrócił do Francji, gdzie po 1940 r. był jednym z organizatorów lewicowego ruchu oporu w północnej części kraju. Po wielkim strajku górników wiosną 1941 r. został zaocznie skazany na karę śmierci przez hitlerowców, lecz udało mu się przenieść do nieokupowanej części Francji. Aresztowany brał udział w słynnym buncie więźniów w ośrodku Eysses w lutym 1944 r., po którym trafił do obozu koncentracyjnego w Dachau. Dzięki temu, że uwięziono go pod fałszywym nazwiskiem, udało się Laryszowi doczekać wyzwolenia.

W 1946 r. z delegacją emigracji polskiej z Francji przywiózł do Warszawy urnę z prochami z pól bitewnych Francji. Pełnił funkcję konsula w Lille i Lyonie, pracował w dyplomacji. Zmarł w 1968 r. Został pochowany na Powązkach.

Czas pokoju

Wyznawane ideały, ale także niemal 10 lat życia w czasach wojny, sprzyjały zaangażowaniu śląskich ochotników – tych, którzy przeżyli – w budowę nowego systemu w Polsce. Nie mieli poza tym dobrych wspomnień z międzywojennej Rzeczypospolitej. Co dziwi, w nowej Polsce trafiali zazwyczaj na niższe szczeble władzy – choć nawet ich zdolności językowe były nieprzeciętne (polski, niemiecki, często – choćby w stopniu podstawowym – francuski, czeski, hiszpański...). Jakoś nie do końca pasowali?

Dariusz Zalega

Więcej historii śląskich ochotników w Hiszpanii można znaleźć w książce Dariusza Zalegi „Śląsk zbuntowany" (Wydawnictwo Czarne), dostępnej w dobrych księgarniach.

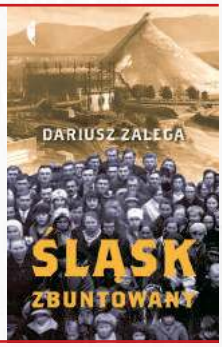

FOT. ARCHIWUM PAŃSTWOWE W KATOWICACH (2), ARCHIWUM WŁASNE, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl af54f16303

Oko w oko

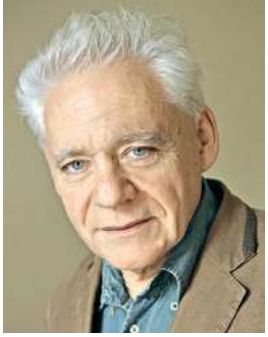

Tomasz Jastrun

Szukanie prezydenta

„Polska będzie krajem szczęśliwych ludzi", obwieszcza Morawiecki. „Żyje się lepiej, żyje się weselej", oznajmił ludziom radzieckim Stalin. Dwie jakże różne sytuacje i postacie, tyran i kukiełka z długim nosem, a mechanizm jakoś podobny. Komunistyczny optymizm i przekonanie, że tylko my mamy receptę na szczęście poddanych. A potem w *exposé* premier ostrzegał, że z zachodniej Europy pełznie ku Polsce seksualizacja dzieci, ale PiS nie pozwoli: „Dzieci są nietykalne, kto podniesie na nie rękę, tę ideologiczną rękę, ten podnosi rękę na całą wspólnotę". Że partia tę rękę odrąbie, nie musiał dodawać, bo to przecież już znamy.

•

Nagle widzę siebie na okładce miesięcznika „Zakazana Historia", jak robię żółwika z Targalskim. To ten pisowski potwór, a na okładce jesteśmy w dobrej komitywie. Jest jeszcze na tej okładce kilka innych osób, choćby Dorn na czworakach, napis głosi: „Dzieci Sorosa". Człowiek czasami ciekawych rzeczy o sobie się dowiaduje. Pismo jest z kolei dzieckiem „Gazety Warszawskiej", antysemickiej, brukowej, brunatnej. Okazuje się, że Soros, miliarder, oczywiście Żyd, który manipuluje światem, dawał nam stypendia. Ludziom stojącym obecnie po różnych stronach barykady, a kiedyś związanym z opozycją. Zupełnie mi nie przeszkadza, że jestem wedle nich Żydem, straszna obelga, a mój ojciec był oprawcą stalinowskim. Im bardziej bredzą, tym lepiej. Ale skąd ten pomysł z Sorosem? Nawet paranoicy do swoich majaczeń potrzebują jakiegoś pretekstu. Sprawdzam w internecie i dowiaduję się, że Irena Lasota (ona też jakimś cudem pisówka) ujawniła listę osób, którym, mieszkając w Paryżu, z kieszeni Sorosa przydzielała pewne kwoty pieniężne, głównie na działalność opozycyjną, to lata po stanie wojennym. To nie były duże sumy, przynajmniej w moim przypadku, ale dzięki nim mogłem redagować podziemne pismo „Wezwanie". Co wtedy robili redaktorzy wojującej teraz tak dzielnie z wrogiem „Gazety Warszawskiej"?

Soros wspierał i nadal wspiera prodemokratyczne instytucje i ludzi walczących o demokrację wszędzie na świecie. Stał się wrogiem Orbána na Węgrzech, bo każdy populizm potrzebuje wroga. W Polsce też Sorosem czasami się straszy, ale u nas to mało nośne, więc mamy LGBT. Dostępna jest „Warszawska" w całej Polsce, spotykam to pismo nawet w małych miastach, widzę, jak ludzie czytają gazetę ze zjeżoną sierścią, bo Żydzi, bo spiski. Jak to możliwe, że kolportuje się takie pismo legalnie w kraju, gdzie są sankcje prawne za sianie nienawiści rasowej?

•

Lecę do Szczecina na Festiwal Czytania. Mały samolot, małe lotnisko w Goleniowie, tylko to, co małe, może mieć wdzięk. W Książnicy Pomorskiej świetna publiczność, wielka sala, ludzi tłum. Po spotkaniu przez ponad godzinę podpisuję książki, czytelnicy musieli czekać w kolejce, jak w latach 80. po mięso, głupio mi było, głupio i miło zarazem. Na festiwalu też Maja Komorowska oraz Barbara i Wojciech Pszoniakowie. Maja zawsze mnie sobą zdumiewa, cała jest zrobiona z serdeczności, empatii i troski o ludzi. W wielkiej z nią szczerości i przyjaźni. Pszoniakowie też kochani. On w takim towarzyskim kontakcie nic nie gra, co rzadkie u aktora, opowiada o zawale, który przeszedł dopiero co, jakby to była rola, którą dobrze zagrał, na szczęście nieostatnia. Pyszna kolacja w indyjskiej restauracji Bombaj. Są samorządowcy, oczywiście bardzo antypisowscy. Wszystkie rozmowy prędzej czy później schodzą na PiS, jakbyśmy byli w stanie okupacji, która nam ciąży jak głaz.

Dramatycznie brakuje ludzi, którzy mogliby stanąć przeciwko Dudzie.

•

Tomasz Grodzki, nowy marszałek Senatu, miał orędzie w telewizji. I nieszczęsna telewizja publiczna musiała to nadać, chociaż miała z tego powodu mdłości. Ten chirurg mówił językiem, którego już nie używają politycy, jakby był spoza tej skażonej sfery. I bez agresji powiedział wszystko. Od razu rzucono się debatować, że może on na prezydenta. To pokazuje, jak dramatycznie brakuje ludzi, którzy mogliby stanąć przeciwko Dudzie.

•

Rozmawiam ze znanym politykiem PO. Mogę więc zobaczyć partię od środka. Żadnych zaskoczeń. Pogubienie, brak pomysłu na siebie i bieda, kto ma być kandydatem na prezydenta. Widzą słabości Kidawy-Błońskiej – miła, rozumna, świetne drzewo genealogiczne, ale czegoś jej brakuje. To brak energii. A ja uważam, że to też sposób mówienia, który nie budzi ciekawości, jakie będzie następne słowo. Michnik okrutnie się jąka, ale chce się wiedzieć, co za chwilę powie. Cała liberalna Polska teraz debatuje, kto na prezydenta. Ma to już wymiar tragikomiczny. Chciałoby się powiedzieć: szukajcie, a znajdziecie, ale przecież czasu nie ma.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl af54f16303

Jak będzie się pracowało w Unii?

Rada UE po raz drugi zaleciła Polsce poprawienie jakości konsultacji społecznych

Katarzyna Pietrzak

W 2020 r. Unia Europejska skończy realizować dziesięcioletnią strategię Europa 2020. Horyzontalnym celem strategii jest zrównoważony wzrost gospodarczy sprzyjający włączeniu społecznemu. Mimo że jest ona częścią unijnego systemu zarządzania gospodarczego, zwanego Semestrem Europejskim, postępy w osiągnięciu głównych celów strategii w poszczególnych państwach są zróżnicowane.

Ważne zatem, aby Komisja Europejska wskazała odpowiednie priorytety dla polityk państw członkowskich UE na kolejny rok w ramach Semestru Europejskiego. Ze społecznego punktu widzenia takimi priorytetami powinny być działania na rzecz godnej pracy dla wszystkich pracowników, wzrostu inwestycji publicznych i prywatnych oraz sprawiedliwej transformacji gospodarki. Dodatkowo Komisja powinna rozpocząć prace nad dyrektywą w sprawie europejskiej płacy minimalnej i uruchomić

Wskaźnik aktywności zawodowej w Polsce należy do najniższych w Unii Europejskiej.

inicjatywę zwiększającą rolę rokowań zbiorowych. To optymalne narzędzie wzrostu dynamiki płac w UE, które powinno zostać zarekomendowane państwom przez Komisję. Wszystko to może pozwolić w następnych latach na podniesienie płac i ograniczenie zjawiska dumpingu socjalnego w UE.

W Polsce osiągnięcie wszystkich celów Strategii Europa 2020 jest nadal wyzwaniem. Gospodarka wymaga bowiem przekształcenia jej w innowacyjną i konkurującą produktami oraz usługami o wysokiej wartości dodanej. Przeszkodą jest choćby wskaźnik aktywności zawodowej, który w Polsce należy do najniższych w Unii Europejskiej. Aktywność zawodowa może wzrosnąć, jeśli poprawi się jakość zatrudnienia. Niezbędne są jednak w tym celu zmiany prawa oraz zwiększenie kompetencji prawnych, finansowych i kontrolnych Państwowej Inspekcji Pracy, a także sankcji za naruszenie praw pracowniczych. Należy też dążyć do zaprzestania naruszania w gospodarce zasady równej płacy za tę samą pracę w tym samym miejscu. Ułatwi to redukcję luki płacowej między kobietami i mężczyznami, choć w tym obszarze potrzebne są też nowe rozwiązania legislacyjne. Skupienie się na jakości zatrudnienia ma kluczowe znaczenie dla zmniejszenia skali ubóstwa pracujących, co jest kolejnym wyzwaniem rynku pracy. Często bowiem praca nie chroni przed biedą. Sprzyja temu segmentacja rynku pracy, będąca efektem nieuczciwej konkurencji w gospodarce opartej na niskiej płacy i jakości zatrudnienia.

Inwestycje w technologie i innowacje to bodziec do szybszego wzrostu płac. W Polsce wysokość nakładów na badania i rozwój jest jednak niewystarczająca. Potrzebne są większe inwestycje i nakłady na badania i rozwój w sektorze prywatnym oraz znaczący wzrost wydatków państwa na ten cel. Jednocześnie należy stworzyć warunki do wzrostu wynagrodzeń w gospodarce. Płace powinny rosnąć wraz ze wzrostem wydajności pracy i poziomem inflacji, ale też w wyniku partycypacji pracowników w podziale zysku przedsiębiorstwa. Odpowiednim narzędziem kształtowania płac w gospodarce są rokowania zbiorowe, dlatego ich zasięg w naszym kraju powinien znacząco wzrosnąć.

Wyzwania klimatyczne spowodują zmianę funkcjonowania gospodarek państw członkowskich UE. Powinny temu towarzyszyć odpowiednie inwestycje i usługi publiczne. Także unijny budżet powinien przewidywać odpowiednie środki finansowe na sprawiedliwą transformację, a ich wysokość powinna być dostosowana do zakresu wyzwań poszczególnych państw członkowskich w obszarze środowiska. Unijna strategia ekologiczna powinna jednocześnie uwzględnić konieczność utrzymania konkurencyjności sektorów przemysłowych w UE. Należy przeciwdziałać transferom emisji np. dwutlenku węgla i zapewnić, aby wytworzone produkty były weryfikowane pod kątem śladu węglowego. Wobec nieuczciwej konkurencji ze strony państw trzecich Unia powinna ustanowić tzw. węglowy środek wyrównawczy i transgraniczny podatek od emisji dwutlenku węgla.

Mimo że strategia Europa 2020 przestanie obowiązywać w przyszłym roku, Semestr Europejski, jako mechanizm konwergencji polityki gospodarczej, nadal będzie funkcjonował. Istotne jest zatem określenie nowej horyzontalnej strategii UE. Za uzasadniony cel działania Unii w kolejnych latach uznaję wypełnienie 17 Celów Zrównoważonego Rozwoju zawartych w Agendzie 2030

Często praca nie chroni przed biedą.

Organizacji Narodów Zjednoczonych oraz wdrożenie Europejskiego Filara Praw Socjalnych. Dokumenty te zawierają cele, w ramach których można budować politykę gospodarczą i społeczną UE. Efektywność tego procesu wymaga pogłębienia dialogu społecznego, na poziomie zarówno unijnym, jak i krajowym. Wzmocnienie potencjału partnerów społecznych i ustanowienie obowiązku efektywnego prowadzenia dialogu społecznego w semestrze to zasadny kierunek. Tym bardziej że Rada UE po raz drugi zaleciła Polsce działania podnoszące jakość konsultacji społecznych, które są elementem dialogu społecznego.

Katarzyna Pietrzak jest głównym specjalistą w Wydziale Polityki Gospodarczej i Funduszy Strukturalnych OPZZ

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl af54f16303

Emerytalna obłuda

Dyskusja nad zmianami w emeryturach weryfikuje slogany głoszone w kampanii wyborczej

Wiesław Żółtkowski

Zgłoszony przez PiS projekt rezygnacji z limitu 30-krotności dochodów zwalniającego z płacenia składek na ZUS wywołał dyskusję, która ujawnia charakter naszego ustroju społecznego. Chodzi o wyznawane wartości i pokazanie ich na tle haseł Solidarności, nauczania Kościoła, a także historycznego kontekstu lewicowości PRL. Przypomnijmy, jak było przed 1999 r. Wtedy płaciło się składki od całych dochodów, a przy wyliczaniu wysokości emerytury brano pod uwagę dochody tylko do 250% średniego wynagrodzenia. W ten sposób najlepiej zarabiający płacili częściowo na emerytury najbiedniejszych. Tak było w PRL, która realizowała zasadę solidarności pokoleń. Uznawano też, że zróżnicowanie emerytur powinno być mniejsze niż zróżnicowanie dochodów.

Reforma emerytalna Akcji Wyborczej Solidarność rezygnowała z solidarności społecznej – emerytura ma być taka, jaką każdy sobie wypracuje. Żadnej solidarności. I to zostało uchwalone przez partie zaliczające się do jądra Solidarności. A także związane z Kościołem, który opowiada się za chrześcijańskim „jeden drugiego brzemiona noście". Okazało się, że pieniądze są ważniejsze od wartości. Obłuda w pełni zatriumfowała.

Dodatkowo mamy teraz propozycję finansowania tzw. 13. emerytury z funduszu tworzonego na rzecz osób niepełnosprawnych. Wypłata dodatkowych pieniędzy emerytom przed wyborami prezydenckimi jest ważniejsza od losu osób niepełnosprawnych. Cóż, w końcu jest ich mniej niż 10 mln emerytów.

Dyskusja nad zmianami w emeryturach obnaża prawdziwe oblicza partii. Weryfikuje slogany głoszone w kampanii wyborczej. Pokazuje, kto jest lewicą, a kto prawicą. Opowiadając się za likwidacją limitu 30-krotności dochodów zwalniającego z płacenia składek na ZUS, obciążamy składkami najlepiej zarabiających, których pozycja teraz jest uprzywilejowana w stosunku do tych, którzy zarabiają mniej. Można więc powiedzieć, że wyrównujemy obciążenia. Ale równocześnie szykujemy w przyszłości bardzo wysokie emerytury dla wąskiej grupy emerytów. Emerytury, za które będą musieli płacić wówczas pracujący. Po pierwsze, za kilkanaście lat systemu emerytalnego pewnie nie będzie na to stać, a po drugie – wielkie zróżnicowanie emerytur spowoduje protesty społeczne. W tej sytuacji sensowne jest wprowadzenie limitu wysokości emerytur. Pozwoli to również na zgromadzenie środków na realizację minimalnej emerytury w godnej wysokości. To jest solidarnościowe, chrześcijańskie i lewicowe. ■

eprasa.pl af54f16303

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca

Diabły

Inspirowane motywami z Matki Joanny od Aniołów J. Iwaszkiewicza

Adamczyk, Bednarek, Bielawka, Błońska, Bożek, Brykalski, Chyżna, Czerkaszyna, Łągiewczyk, Robaszkiewicz, Rumas, Sienicki, Ślesiński, Wichowska
premiera 7.12.2019
kolejne pokazy:
8 grudnia, 23–26 stycznia

Opowieść o opętanych i egzorcyzmowanych mniszkach jest pretekstem do badań długich dziejów kolonizacji kobiecego ciała, represjonowania seksualności, piętnowania odmienności i narzucania sztywnych ról płciowych. W spektaklu wypowiedzą się między innymi: Ojcowie Kościoła, Matki Joanny oraz diabły, które podobno zamieszkały w ich ciałach i mózgach. A przede wszystkim: współczesne kobiety i mężczyźni, którzy – chcąc albo i nie chcąc – biorą udział w rzekomo obronnej wojnie kulturowej przetaczającej się przez Polskę i Europę; wojnie zadeklarowanej przez Kościół i polityków.

Festiwal Miasto Szczęśliwe · na_prawa Warszawa · Patronat medialny · wyborcza · wyborcza.pl WARSZAWA · cojestgrane24 · AKTIVIST

eprasa.pl af54f16303

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Jak nie pokochałem ludu

Spotkałem ładną, długonogą, lewicującą, inteligencką młodzież warszawską. Nie umiem z nią jednakowoż się zaprzyjaźnić, bo już w tym pierwszym zdaniu wytknęłaby mi co najmniej potrójną kompromitację. Słowo młodzież jest dyskryminujące i patronizujące (ageizm), jakim prawem tak się do niej zwracam? Piękno to nie cnota; czy studentom bezzębnym, bo niemającym pieniędzy na stomatologa, powiedziałbym, że są brzydcy (seksizm/klasizm)? Nawet milczące zwracanie uwagi na przymioty płci jest już *passé*, dziadersko-obleśne komplementy („twoje nogi chodzą mi po głowie") to już przedpiekle gwałtu (*pure* seksizm). A nade wszystko wyprasza sobie nazywanie jej inteligencką; inteligencja nie istnieje, mogę sobie doczytać jej historyczną definicję, używanie tego słowa jest zupełnie *démodé* (zatem historyczny analfabetyzm, ale też klasizm).

W ramach pokuty podniosłem wzrok na wysokość oczu młodzieży i napomknąłem, że mam wolny bilet na premierę baletu narodowego, na co usłyszałem uprzejmą odmowę okraszoną poradą, że powinienem raczej pójść do muzeum etnograficznego na wystawę o disco polo. Może to mnie wyleczy z pogardy do ludu. Tę muszę mieć wypisaną na czole, bo nie zdążyłem z niej się zwierzyć, choć mówiąc ściślej, gardzę ochlokracją, a już najbardziej fetyszyzowaniem „zwykłego człowieka", tą najnieznośniejszą cechą wszelkich populizmów. Równie uprzejmie podziękowałem, tłumacząc, że nie chcę być molestowany przez masowe bezguście, przerabiałem to w PKS przez całe najntisy (ageizm, klasizm). Całkiem zaś nieuprzejmie nie oparłem się przed dodaniem na odchodnym, że poza tym jestem za przywróceniem pańszczyzny, dybów i prawa pierwszej nocy. Brak emotikonu tłumaczącego żarcik załatwił sprawę, młodzież zaczęła łapać powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg.

Tyle więc zostało z mojego flirtu na barykadach, że w drodze na balet poddałem się introspekcji i jąłem szukać w pamięci genezy uporczywego braku empatii dla mas niewykształconych. Przypomniałem sobie, jak to przed czterema laty zasugerowałem, że skoro statystyczny Polak pije dziesięć litrów czystego alkoholu rocznie, a dwie trzecie populacji wcale nie czyta książek, można przyjąć, że nasz przeciętny rodak za to, co mu z 500+ zostanie, raczej pójdzie do nocnego niż do księgarni. Kaczyzm jest wielki, bo jest zwyczajny. W tym sensie mamy do czynienia z restartem PRL – rzeczypospolitej ludowej. Im prostszy lud będzie, tym lepiej; lud ma się poddawać emocjom, nie refleksjom. Potępienie nadeszło natychmiast z prawa i z lewa, od Gowina do Zandberga, obraziłem Polaków, nie ma przebaczenia.

Gryźć się w język nie zamierzam, skądinąd tę cechę mam po ojcu (t a k ż e tę, bo nade wszystko odziedziczyłem po nim umiłowanie do przeciągających się sjest. Kiedy ksiądz odmawiał modlitwę pogrzebową, matka szepnęła do mnie: „Wiecznie to on odpoczywał już za życia. Niech mu Pan lepiej raczy dać jakąś robotę w tym niebie"). Słowo wyprzedzało u ojca myśl; u mnie też tak się dzieje, czasem chlapnę coś bezwiednie, zaraz potem żałuję, że się wygadałem, chwilę później dochodzę do wniosku, że właściwie nie to chciałem powiedzieć. Nierzadko zgubna cecha, ale nie tym razem. Nie cierpię narowistego antyelitaryzmu mas ludowych, podłechtanych obecnie przez rząd kaczystowski, nic na to nie poradzę.

Ta niechęć trwa, od kiedy sięgam pamięcią, a sięgam jak najdalej, np. bez mała 40 lat wstecz, kiedy usłyszałem po raz pierwszy zdanie: „Po co wam tyle książek?". Wypowiedziała je sąsiadka z drugiej strony chorzowskiej ulicy, dziewięciolatka, w której zamierzałem się zakochać, po tym jak zaskoczyła moje usta swoimi. Nie nazwałbym tego pierwszym pocałunkiem, albowiem usta miałem tak szczelnie zamknięte, że nawet cmoknąć się nie udało, ale dla trzecioklasisty było to jednak wydarzenie. Była nader wonna – pachniała wszystkim tym, co zaczynało się poza granicami posesji rodziców, za płotem, którego długo nie wolno mi było samodzielnie przekraczać: podwórkiem, grą w klasy, klatką schodową wielkiej płyty, autobusem, którym dojeżdżała do szkoły, by ostatecznie nie dojechać – ponad wszystko pachniała wagarami. Dotyk zaciśniętych ust miał miejsce u przedproża naszego domu; scenkę przyuważyła przez okno mama i wytłumaczyła mi, że to chłopiec powinien dziewczynę odprowadzać, a skoro już dotarliśmy pod nasze drzwi, grzecznie będzie, jeśli zaproszę ją do domu. I tak następnym razem sąsiadka przybyła w gości do naszego mieszkania. Och, czegóż to nie planowałem na tę okoliczność – i wszystko oklapło jak przekłuty balon, gdy zobaczyła bibliotekę domową i zapytała, po co nam tyle książek. Uczyniła to z wyraźnym zdumieniem, by nie rzec z wyrzutem.

W idealnym świecie lewicowych wartości ta historia potoczyłaby się inaczej: powinienem podzielić się z koleżanką tajemnicą swoich upodobań lekturowych, delikatnie, nieopresywnie zasugerować jakiś tytuł i natychmiast go jej pożyczyć, oczywiście podkreślając nieustannie, że w żaden sposób nie potępiam. Tymczasem ja wzruszyłem ramionami, powiedziałem zgodnie z prawdą, że „po prostu lubię czytać", i to nas do siebie rozczarowało. „Mój tata mówi, że czytają tylko darmozjady. Ludzie pracy nie mają czasu na książki". W dorosłym życiu jąłem więc uważać na to, by nie usłyszeć przypadkiem od nikogo: „Czytasz? Nie idę z tobą do łóżka".

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl af54f16303

Jesteśmy tu dla naszych fanów

W Kulcie nikt nie wychodzi przed szereg. Nawet jeśli za cichego lidera uznamy Kazika, na plan pierwszy wysuwa się praca zbiorowa

OLGA BIENIEK
– producentka, kierowniczka produkcji i reżyserka

Rozmawia Mateusz Demski

Nie potrafię się nie uśmiechnąć na wspomnienie mojego pierwszego koncertu Kultu, jakieś 10 lat temu, był to finał Pomarańczowej Trasy w katowickim Spodku. Od razu zrozumiałem, że uczestniczę w czymś wyjątkowym. W moim domu te coroczne koncerty szybko stały się tradycją podobną do Gwiazdki.

– Pewnie pana zawiodę, ale nie mam podobnych wspomnień. Za młodu nie należałam do zagorzałych fanów Kultu. Oczywiście kojarzyłam ich wybrane szlagiery, ale to nie była do końca moja bajka. Dopiero kiedy osobiście poznałam Kazika i resztę zespołu, zaczęłam się zagłębiać w ich muzykę. Wtedy też zaczęłam rozumieć, na czym polega ich „kultowa kultowość", i bez reszty zakochałam się w Pomarańczowej Trasie. Teraz, kiedy skończyłam zdjęcia do filmu, martwię się o jedno – że nie mam już pretekstu, by w tę trasę znowu z nimi wyruszyć.

To kiedy poznała pani Kazika?

– Jakieś 15, może 17 lat temu. Poznaliśmy się w bardzo przyjemnych okolicznościach, które nie miały nic wspólnego z jego aktywnością na scenie, a dokładnie na Teneryfie, gdzie Kazik odpoczywał, a ja mieszkałam i byłam świeżo upieczoną mamą. Spotkaliśmy się u wspólnych znajomych. Wymieniliśmy kilka zdań, ale szczerze mówiąc, nie zorientowałam się od razu, z kim mam przyjemność. Kazik nie jest osobą, która w sytuacjach prywatnych podkreśla swój sukces i karierę. Skromny, spokojny, miły gość.

Kazik to Kazik. Nie musi zgrywać nikogo innego.

W którym momencie pojawił się pomysł realizacji filmu o fenomenie zespołu?

– Pierwszy raz rozmawialiśmy o tym kilka miesięcy po poznaniu się, ale żadne z nas nie pamięta, z czyich ust padło hasło. Jednak na tym się skończyło. Nie chcieliśmy niczego sobie obiecywać ani podejmować pochopnych decyzji. Kazik koncertował i rozwijał swoje projekty, a ja byłam zajęta swoimi obowiązkami. Temat wrócił po latach pewnie dlatego, że był to moment, kiedy osiągnęliśmy gotowość w tej sprawie. Pierwsze nieśmiałe nagrania odbywały się podczas koncertów w 2013 r. Natomiast w pierwszą trasę koncertową z zespołem ruszyliśmy w roku 2014.

No właśnie – „Kult. Film" to swoista relacja z trasy koncertowej oraz wejście z kamerą w życie prywatne muzyków. Nie skupia się pani na opowiedzeniu o początkach kariery zespołu czy przełomowych momentach, w których Kult zdobył największą popularność. Dlaczego?

– Nie byłabym w stanie zamknąć niemal 40-letniej kariery tak ikonicznego zespołu w 90 minutach. Podjęcie się tego byłoby tupetem z mojej strony. Nie czuję się ani na tyle silna, ani mocna, by porywać się na opisywanie ich legendy. Poza tym powstało wiele fantastycznych książek, które wyczerpująco opisują historię Kultu. Wystarczy wspomnieć „Kult Kazika" Leszka Gnoińskiego czy „Kult. Biała księga" Wiesława Weissa. Każdy z nas ma do nich dostęp, dlatego myślę, że fani chcą się dowiedzieć czegoś więcej o tym zespole. Jako producentka często spotykam się z ludźmi, którzy marzą o tym, aby zajrzeć na plan filmowy i zobaczyć, jak na co dzień zachowuje się Janusz Gajos lub Borys Szyc. Kieruje nimi potrzeba zbliżenia się nie tyle do twarzy, które znają z ekranu, ile do ludzi z krwi i kości. A przy tym ciekawość, która każe im odrobinę naruszyć prywatność idoli.

Pani tę ciekawość fanów Kultu udało się zaspokoić.

– Na początku muszę zaznaczyć, że wiele scen nie znalazło się w filmie.

eprasa.pl af54f16303

Zdjęcia powstawały w latach 2013--2019. W sumie mieliśmy ponad 270 godzin materiału. Selekcja wiązała się z wieloma trudnymi decyzjami. W niewiele ponad półtoragodzinnej formie chcieliśmy pokazać przede wszystkim jak najszczerszy obraz zespołu. A zarazem – jak to kiedyś nazwaliśmy z Kazikiem – nie wchodzić nikomu do rozporka. Ten film to głównie portret relacji, jaka przez te 37 lat działalności Kultu wytworzyła się między zespołem a jego fanami, a także prawdziwej męskiej przyjaźni w szerokim tego słowa znaczeniu.

Mówi pani, że nie chciała naruszać prywatności członków zespołu. Dla niektórych może to zabrzmieć jak ostrożna i zachowawcza strategia. Mogą pomyśleć, że film to laurka lub pomnik postawiony Kazikowi za życia.

– Niech myślą, co chcą. Laurka wyglądałaby zgoła inaczej, zaręczam. Mogę zapewnić, że to, co widzowie zobaczą na ekranie, jest portretem pełnym, kompletnym, a przede wszystkim uczciwym i prawdziwym. Tu nie ma manipulacji ani zdarzeniem, ani słowem. Film dokumentalny różni się od fabuły tym, że nie zawsze można podążać za zapisanym na papierze scenariuszem. Nie da się realizować założonych scen. Nie zgadzałam się na żadne inscenizacje, duble, ustawiane sytuacje. Wszystko było obserwowane i podglądane. Nie chcieliśmy nad nikim panować ani wprowadzać w życie sztucznych, ustawionych strategii. Byliśmy tylko biernymi obserwatorami życia muzyków. Zarówno na scenie i za kulisami, jak i w domach, hotelach, zespołowym busie. A to, że w naszym filmie nie ma sensacji, skandali lub wewnątrzzespołowych konfliktów, to inna kwestia. Stoję na stanowisku, że wartość człowieka poznaje się nie po tym, na co jest chory albo jaki ma kredyt, tylko po tym, jaki ma stosunek do innych ludzi.

No właśnie – pani pokazuje, że motorem tego zespołu jest atmosfera przyjaźni i wzajemnego zrozumienia. Faktycznie, nie przypominam sobie w filmie choćby jednego nieporozumienia, które pojawiło się w tym dziewięcioosobowym składzie.

– To dlatego, że w tym zespole nikt nie wychodzi przed szereg. Nawet jeśli za cichego lidera Kultu uznamy Kazika, na plan pierwszy wysuwa się praca zbiorowa oparta na zasadzie wierności, szacunku i oddania względem każdego członka zespołu. W obecnych czasach każdy, kto w jakikolwiek sposób przedostaje się do sfery publicznej, ma parcie na firmowanie swojej twórczości i nazwiska własnym ego. Kult to nie bufonada, ale szczerość, pokora i uczciwość. Zwróćmy uwagę, że ci ludzie są 37 lat razem na scenie i żaden z nich nie potrzebuje do szczęścia pawich piór albo limuzyny ze złotymi klamkami. Nie muszą się ustawiać na ściankach w satynowych marynarkach od projektantów ani brać udziału w wielkich kampaniach reklamowych, aby zyskać status gwiazdy. Im więcej wizerunkowej pokory, tym lepiej dla wszystkich.

Ta pokora i zerwanie z celebryckością sprawiają, że zdobyli powszechny szacunek. Niewielu jest artystów, którzy mogą się cieszyć tak liczną, a przede wszystkim wierną grupą fanów.

– Rzeczywiście jest to efekt ujmującego szacunku dla fanów. Proszę mi pokazać drugi zespół w tym kraju, który gra trzygodzinne koncerty, daje sześć bisów, a na dodatek zatrudnia ochronę, która nie szarpie widzów pod sceną, tylko dba o ich bezpieczeństwo. Kult Ochrona ma chronić nie zespół, ale uczestników koncertów. Zresztą Kazik przed każdym wyjściem na scenę mówi: „Jesteśmy tu dla nich. Dla naszych fanów". A po koncercie pada na kolana i składa pokłony w ich kierunku. Dzięki takiej postawie fenomen Kultu się nie kończy, przybiera nawet coraz większy wymiar. W tym roku październikowa trasa zespołu została wyprzedana niemal do zera na etapie planowania. W sierpniu byłam świadkiem ich koncertu na Festiwalu Pol'and'Rock, w którym udział wzięło ponad milion ludzi! Myślę, że jako artyści nie mogli sobie niczego lepszego wymarzyć.

W filmie pojawia się również wątek Didiego – fana, który od lat jeździł na koncerty Kultu, mimo że mieszkał za granicą. Potrafił jechać stopem z Madrytu do Polski, do Berlina, Amsterdamu. Spędził też wiele nocy na klatkach i w aresztach.

– Tak naprawdę jest wiele podobnych osób, które podróżują za Kultem po całej Europie. Od lat działa nieformalny fanklub Kult-turyści. To

Olga Bieniek – absolwentka Wydziału Produkcji Filmowej i Telewizyjnej Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi. Nagrodzona przez Krajową Izbę Producentów Audiowizualnych za najlepszy debiut producencki za „Układ zamknięty" (2013). Laureatka Srebrnych Lwów na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni za „Kamerdynera" (2018), nominowana do nagrody Polskie Orły 2019 m.in. za najlepszy film. „Kult. Film" to jej debiut reżyserski.

„Kult. Film"

FOT. ADAM STĘPIEŃ, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl af54f16303

Wolfram von Eschenbach
Parsifal
Aspra, Warszawa 2019

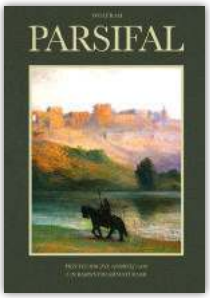

Wierszowana opowieść o Parsifalu, jednym z rycerzy Okrągłego Stołu, poszukującym Świętego Graala. Arcydzieło średniowiecznej epiki rycerskiej w przekładzie Andrzeja Lama, ilustrowane 38 barwnymi miniaturami rękopisu berneńskiego.

Rafał Jakub Pastwa
Zrost
Petit, Lublin 2019

Książka ma podtytuł „Słowami przedstawiony fragment mojego życia z wnętrza Lublina". W dzienniku prowadzonym przez rok – od 19 lutego 2018 do 19 lutego 2019 r. – otrzymujemy codzienne zapiski współczesnego inteligenta. Dowiemy się z nich, jak wykształcony, oczytany człowiek, który wychował się w świecie o stałych, uznanych wartościach: religijnych, etycznych, stara się odnaleźć we współczesności, dla której znakiem rozpoznawczym jest natłok zdarzeń, opinii, komentarzy.

Michał Wojciechowicz
Zabić bogatych
Czerwony Pająk, Gdańsk 2019

Powieść poruszająca problematykę biedy, bogactwa i nierówności we współczesnym świecie. W różnych krajach w niewyjaśnionych okolicznościach umierają kolejni bogacze. Swoje śledztwa prowadzą służby wielu państw, w tym konkurujące ze sobą amerykańska CIA oraz rosyjska FSB. Wydaje się, że odpowiedź na pytanie o powód tych tajemniczych śmierci zna polski dziennikarz, na co dzień mieszkający w warszawskim skłocie Syrena.

ekipa najwierniejszych i najbardziej zdeterminowanych fanów, która pojawia się na większości występów zespołu. Jeżdżą za nim w trasę, niezależnie od tego, czy występy odbywają się u nas, czy za granicą. Pielgrzymują z flagami, w oficjalnych koszulkach, od razu rzucają się w oczy. Natomiast Didi jest fanem, który w pewnym momencie stał się równoprawnym członkiem kultowej rodziny, niezwykle ważną osobą dla samego Kazika i jego bliskich, którzy pomogli, gdy Didi był na życiowym zakręcie. Wprowadziłam jego postać, by pokazać siłę i determinację człowieka o naprawdę wielkim sercu, która po czasie zamieniła się w prawdziwą przyjaźń. Dla mnie był to przywilej i zaszczyt móc sportretować tak silną relację.

Ma pani ulubione utwory Kultu?

– Tak, mniej więcej 60! Najbardziej z tej twórczości lubię utwory, które wykonali lub skomponowali do filmów przeze mnie wyprodukowanych. Mam na myśli „Balladę o Janku Wiśniewskim" nagraną na potrzeby filmu „Czarny czwartek. Janek Wiśniewski padł" oraz tytułowy utwór z „Układu zamkniętego". Ale równie dobrze mogłabym wymienić kawałki z ich pierwszych płyt. Po tylu latach uderzają ze zdwojoną siłą.

Jak pani myśli, dlaczego wciąż do nich wracamy?

– Bo zawierają „najprawdziwszą prawdę", jak mówi Kazik. Może pan się podjąć analizy dowolnego tekstu Kultu, a i tak za każdym razem dojdzie pan do tego samego wniosku – że wszystkie jakimś cudownym trafem wpisują się w aktualne wydarzenia i jednocześnie poruszają najbardziej uniwersalne tematy. Weźmy pierwszy z brzegu, a zarazem najpiękniejszy, z „Do Ani". Idzie to tak: „Tak bardzo, bardzo kocham cię, tak bardzo potrzebuję cię". Te słowa zostały napisane przez młodego człowieka z czystej miłości i zadedykowane jego przyszłej żonie, z którą w tym roku świętował 35-lecie ślubu. Tak samo działają „Wódka" albo „Polska". Nie czuć w tych tekstach ani grama fałszu, grania pod publiczkę czy szukania poklasku. Prawdziwy artysta pisze o tym, co wypływa wprost z niego. Kazik to Kazik. Nie musi zgrywać nikogo innego.

Teksty Kultu zawierają „najprawdziwszą prawdę". Wpisują się w aktualne wydarzenia i jednocześnie poruszają najbardziej uniwersalne tematy.

Mateusz Demski

eprasa.pl af54f16303

Sherry Brandy

Ludwik Stomma

Do Tomasza Jastruna

Tomku,

Znamy się już 50 lat. Bodaj przez cały ten czas byliśmy z jednego politycznego brzegu (no, ja bardziej na lewo). Czytałem twoje wiersze i niektóre mnie urzekły. Nie podobają mi się natomiast twoje felietony. I nie chodzi o to, że z co trzeciego dowiadujemy się o twojej współpracy z „Kulturą" Giedroycia, z co drugiego o spotkaniach autorskich, podczas których publiczność jest tobą zachwycona, a już w każdym spotykasz jakiegoś celebrytę, z którym jesteś per ty i znasz się intymnie albo od kołyski. Egocentryzm jest nudny, ale daje się ostatecznie wytrzymać. Gorzej, gdy wielki Tomasz, który wszystko wie, wszystkich zna i wszystko rozumie, zaczyna ferować wyroki, i to na podstawie swojego widzimisię, ubranego w rzekome dialogi i fałszywe wyznania. A to ci się, niestety, coraz częściej przydarza. Przykładem twój felieton „Martwi i żywi" w PRZEGLĄDZIE nr 45/2019 i to, co w nim wypisujesz o Andrzeju Żuławskim, który – rzecz jasna – w przeciwieństwie do mnie „bardzo lubił" twoje felietony, nie tylko „lubił", ale nawet „bardzo". Nigdy od niego o tym nie słyszałem, ale cóż, nie zgadało się. Zacznijmy od końca twoich wynurzeń o Andrzeju: „Pamiętam, pijemy herbatę w jego domu w Wesołej, cierpiał po rozstaniu z Marceau, mówię mu, zaskakując sam siebie: »Andrzej, ty przecież nikogo nigdy nie kochałeś«. Drgnął, jakbym go obudził, i powiedział: »To prawda, ale nie mów o tym nikomu«". Otóż, Tomku, nigdy nic takiego Andrzejowi Żuławskiemu nie powiedziałeś. Po pierwsze, dlatego że jesteś człowiekiem dobrze wychowanym, więc takie chamstwo nie przeszłoby ci przez usta, szczególnie w odniesieniu do człowieka cierpiącego (a niby dlaczego cierpiał, skoro nigdy nie kochał?). Po drugie, dlatego że po takim odezwaniu się Andrzej od razu wyrzuciłby cię za drzwi. A trzeba być już zupełnym psychologicznym ignorantem, żeby przypisać mu tchórzliwe „ale nie mów o tym nikomu". Tutaj już rodzi się wręcz pytanie, czy ty Andrzeja w ogóle znałeś, czy tylko spotykałeś przypadkowo na snobistycznych spędach. Zresztą i inne twoje analizy osobowości Żuławskiego, brzydko mówiąc, o kant potłuc. Pomijam już niekonsekwencje: „Ten brak wątpliwości Żuławskiego był artystycznym dramatem, bo dobrej sztuki nie da się tworzyć bez wątpliwości", a jednocześnie: „Zrobił karierę międzynarodową". Jakiż ten świat głupi (ileż głupszy od ciebie), że nie zauważył, że był Andrzej w „swoim talencie poważnie wybrakowany, wszystko mu się jakby ulewało, nie trzymało brzegów". Jego onegdajsza partnerka oświadczyła ci (różne rzeczy mówią byłe partnerki o byłych partnerach, ale w tym przypadku wiesz – skąd? – że mówi „celnie"), że „gardził wszystkimi". Dziwnym trafem nigdy nie czułem się przez Andrzeja pogardzanym, podobnie jak Joanna Rawik czy wielka jego przyjaciółka Kasia Merta, że o nich tylko wspomnę. Aczkolwiek rzeczywiście starał się nie uzewnętrzniać swoich sentymentów, jakby bał się wszelkiego ekshibicjonizmu. O starszym synu opowiadał mi nieraz – wiedział, że go nie znam, więc mu nie powtórzę – z rozbrajającą czułością. Skądinąd mówiono mi (*relata refero*), że w bezpośrednich z nim stosunkach był wymagający, szorstki i odległy. Tyle że owa nieśmiałość głosu serca i strach przed jego wyrażaniem ma się do pogardy jak pięść do nosa.

Sztuki zaś Andrzeja Żuławskiego po prostu, Tomaszu Jastrunie, za grosz nie rozumiesz. Było kiedyś w Polsce i mimo zaciekłych krytyk Zygmunta Kałużyńskiego święciło niemałe sukcesy kino niepokoju moralnego. Większość filmów Andrzeja można by nazwać kinem niepokoju intelektualnego. Są to przypowieści-pytania o relacjach uczuć, sentymentów i pożądań z rozumem. Ten konflikt, tak podstawowy w egzystencji ludzkiej, staje się niekiedy pustoszący, wyradza się i przemieszcza w sferę szaleństwa. Obrazy Żuławskiego podążają za nim i trzeba je wtedy – pisałem o tym kiedyś – „odczytywać na drugim, trzecim i, Bóg wie, może jeszcze czwartym poziomie". Przychodzi prostak i mówi: „W jego filmie ludzki mózg wyżerają łyżeczką". Faktycznie, jest taka scena. Ale nie bierze się ona znikąd. Nic się tam „jakby nie ulewa". Jest to swoisty znak apogeum zatraty stanowiący logiczne zwieńczenie narracji.

W 1994 r. napisał Żuławski powieść „Juki podróżne". Jest to właściwie zbiór cytatów z różnych dzieł i myśli rozproszonych samego autora. Dopiero jak mozaika składana ze szkiełek staje się całością. Trzeba sobie jednak zadać trud i pracowicie tę mozaikę poskładać. A wtedy okazuje się, o dziwo, że wszystko tu precyzyjnie się dopasowuje i zazębia. Nie ma niczego, co by się „nie trzymało brzegów". Jeden z ostatnich cytatów w „Jukach podróżnych" pochodzi z „Running in the family" Michaela Ondaatje: „Mój ojciec kochał książki i moja matka też, ale mój ojciec połykał serca książek i zachowywał tę wiedzę i wzruszenie dla siebie". Myślę, że i w tym jest jakiś klucz do Żuławskiego.

Tomku, może ci się Żuławski nie zwierzał ani twoich felietonów nie czytał, ani tobą nie pogardzał, ani kaleczył, ani obrażał, tylko cię najprościej w świecie lekce sobie ważył. To wydaje mi się najbardziej prawdopodobne. Tak bywa. I po co wokół tego tworzyć od razu całą filozofię? I tak go umniejszyć nie dasz rady.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl af54f16303

KURTYNA W GÓRĘ

POWRÓT KOFTY

Właściwie nigdy nie odszedł. Liczni wielbiciele Jonasza Kofty zachowali w pamięci jego wiersze i piosenki, nawet tę o znienawidzonym porannym, a radosnym wstawaniu, które żartobliwie skwitował „Jak dobrze wstać skoro świt". Najlepszy dowód – wieczór Piotra Machalicy w warszawskim Ateneum, podczas którego widzowie śpiewali piosenki razem z aktorem. Kto nie pamięta „Niedomówienia", „Jej portretu", „Pamiętajcie o ogrodach" czy „Wakacji z blondynką", ten kiep.

Zresztą twórcy spektaklu (bo obok Machalicy jest nim akompaniator, aranżer i kompozytor Wojciech Borkowski) nie kryli, że miało to być spotkanie z poezją Jonasza Kofty. I tak było: trochę sentymentalnie, trochę balladowo, ale przede wszystkim ironicznie i paradoksalnie.

Bezbłędnie skomponowany scenariusz, łączący tony zabawne i wzruszające, przypomniał Koftę takiego, jakim był: czułego obserwatora, kpiarza o gołębim sercu, gotowego do ciętej riposty, choć z melancholią w duszy.

Aktor śpiewa piosenki jak swoje. Wieczór nazwał „Jakoś leci", ale leci mu nie jakoś, tylko znakomicie, z wyczuciem niuansów, taktem, ciepłem i przymrużeniem oka. A sam tytuł, jak się okazało – przyznaje to Machalica podczas spektaklu – zaczerpnął nieświadomie z piosenki Jacka Janczarskiego, którą Kofta często i chętnie wykonywał. Tak często, że wielu uważało ją za piosenkę jego autorstwa. Kiedy wyszło na jaw, że jednak nie Kofta jest jej autorem, artysta postanowił tytuł zachować – pasuje jak ulał do tego słodko-kwaśnego wieczoru wyznań i tęsknot.

Tomasz Miłkowski

Jonasz Kofta, „Jakoś leci", recital Piotra Machalicy, przy fortepianie Wojciech Borkowski, Teatr Ateneum w Warszawie, premiera 5 listopada 2019

KRZYK Z POLSKI

W przeddzień święta 11 Listopada głos w dyskusji zabrał teatr. Nie budował prymitywnej bazy hurrapatriotyzmu, dał gorzką lekcję polskich przewin i obsesji. U zarania niepodległości były przecież getto ławkowe, zabójstwo prezydenta, dyskryminacja kobiet, wiara w gusła, ciągoty autorytarne, rządy parafialnej kruchty, zadufanie i podsycanie nienawiści obficie podlewane wódą. Wszystko zakończone klęską w 1939 r. i mrokami okupacji. Panoptikum naszej wolności odgrywają perfekcyjnie młodzi aktorzy podczas spektaklu egzaminacyjnego, wcielając się w role Gorgonowej, Piłsudskiego, Narutowicza, Krzywickiej, Sokolnickiej, Stryjeńskiej i wielu innych.

Bronisław Tumiłowicz

„Niepodlegli", reżyseria Piotr Ratajczak, scenariusz Piotr Rowicki, scenografia i kostiumy Katarzyna Sobolewska, Teatr Collegium Nobilium w Warszawie, premiera 9 listopada 2019

ZAJRZYJ TU

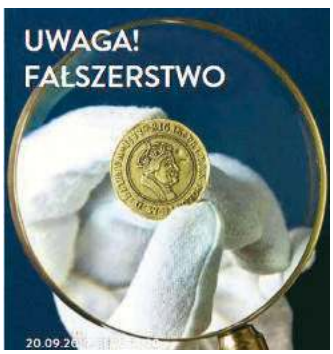

UWAGA! FAŁSZERSTWO

Proceder fałszowania monet jest tak stary jak ich wynalezienie. Zajmowali się tym ludzie ze wszystkich sfer, nie tylko przestępcy, ale także książęta, duchowni, bankierzy, mieszczanie, kupcy. Często nawet władcy używali fałszywego pieniądza jako broni przeciw wrogom. Do fałszerstw monet i banknotów wykonywanych na szkodę emitenta dołączyły te tworzone z myślą o kolekcjonerach. Kolekcja fałszywych monet Gabinetu Numizmatycznego liczy niemal 7 tys. egzemplarzy i ciągle się powiększa. Na wystawie można zobaczyć wybór fałszywek od czasów antycznych po rok 1990.

KRAKÓW, MUZEUM IM. EMERYKA HUTTEN-CZAPSKIEGO, DO 31 MAJA 2020

NA POWAŻNIE

KRÓL BAWEŁNY ŚPIEWA

Podobno jedynym miastem, które zdobyło się na operę o własnej historii, jest Łódź. Pretekstem do powstania dzieła była osoba króla bawełny, żydowskiego fabrykanta z przełomu wieków XIX i XX, Izraela Poznańskiego. To nic, że zakłady Poznańskiego, a później Poltex, dawno zlikwidowano i na gruzach pobudowano ogromny kompleks handlowo-rekreacyjny, Manufakturę. To się daje wyśpiewać i zatańczyć. Przedstawienie jest bardzo atrakcyjne, kolorowe i dynamiczne, tylko łódzkim włókniarkom niewiele może pomóc. Musiały się przekwalifikować, a do opery raczej nie zaglądają.

Bronisław Tumiłowicz

Rafał Janiak, „Człowiek z Manufaktury", libretto Małgorzata Sikorska-Miszczuk, reżyseria i scenografia Waldemar Zawodziński, kostiumy Maria Balcerek, Teatr Wielki w Łodzi, przedstawienie 10 listopada 2019

eprasa.pl af54f16303

NA EKRANACH

NA NOŻE

reż. Rian Johnson, prod. USA, w kinach od 29 listopada

Posiadłość wielopokoleniowej rodziny bogaczy. Wieczór jak każdy, ale ranek różni się od innych, bo w sypialni zostaje znaleziony zamordowany nestor rodu, Harlan, autor poczytnych kryminałów. Wokół trupa zawiązuje się zagadka, a pytanie, kto zabił, napędza akcję. Przynajmniej przez kwadrans, bo po tym czasie wszystko staje się jasne. Mimo to film ani trochę nie traci tempa. Okazuje się bowiem, że w tej familii morderstwo dziadka to pikuś. W sekrecikach i kłamstwach można znaleźć znacznie ciekawsze wątki. A w intrygach – ostry społeczny komentarz, który przepuszczony przez humor reżysera Riana Johnsona („Gwiezdne wojny. Ostatni Jedi") naprzemiennie bawi i złości. Twórca udowadnia, że do odkurzenia Agathy Christie nie trzeba zamaskowanego zabójcy, suspensu ani pogubionych tropów. Wystarczy parę oryginalnych pomysłów – choćby przypadłość gosposi imigrantki, która wymiotuje za każdym razem, gdy skłamie. Brzmi absurdalnie? Nic z tego. Johnsonowi do końca udaje się zachować nastrój powagi. Zdolna bestia!

Artur Zaborski

FESTIWAL

4. ARTEKINO FESTIVAL

1 grudnia rusza bezpłatny, cyfrowy festiwal kina europejskiego w ramach czwartej już edycji ArteKino Festival. Na stronie www.artekinofestival.com będzie można obejrzeć w polskiej wersji językowej osiem filmów fabularnych i dokumentalnych młodych europejskich twórców. Są oni „świadkami i aktywnymi uczestnikami swoich czasów. Ich filmy to hołd dla dialogu, spotkań i mieszania się społeczeństw ponad granicami. Zarówno produkcje fabularne, jak i dokumentalne opisują współczesny świat i analizują nasz stosunek do historii", czytamy w zapowiedzi. Co ważne, dostęp do platformy Arte jest darmowy.

WWW.ARTEKINOFESTIVAL.COM, 1-31 GRUDNIA

PRZEGLĄD TEATRU JAPOŃSKIEGO

Pięć zespołów teatralnych z Tokio i Kioto pokaże swoje przedstawienia na Scenie Kocjana (przy ul. Kocjana na warszawskim Bemowie). W ich wykonaniu zobaczymy spektakle: „Powinność księżniczki Kaguyi" – Theatre X (CAI) z Tokio, „Przyjaciele" – Theatre Sobae z Kiōto, „Salaryman kyogen" – Theatre Office Kaja z Kioto, „Papierowa Kula, Niedźwiedź" – Theatre Konoshitayami z Kioto oraz „Wachlarz" – Theatre Dainanagekijo z Tsu. Organizatorami przeglądu są Mazowiecki Teatr Muzyczny im. Jana Kiepury oraz Polska Fundacja Artystów Scenicznych „Plac Teatralny". Sam przegląd zaś jest trzecim etapem projektu „Ambasador – Kultura" organizowanego z okazji setnej rocznicy nawiązania relacji dyplomatycznych między Japonią a Polską.

WARSZAWA, SCENA KOCJANA, 27 LISTOPADA-1 GRUDNIA

MIĘDZY OKŁADKAMI

Charlotte Malterre-Barthes
Zosia Dierżawska

Eileen Gray
Dom pod słońcem

Marginesy, Warszawa 2019

Z roku na rok ukazuje się coraz więcej pięknie wydanych powieści graficznych. Przykładem jest chociażby książka „Eileen Gray. Dom pod słońcem" polskiej rysowniczki Zosi Dzierżawskiej i francuskiej architektki Charlotte Malterre-Barthes. To ilustrowana biografia architektki Eileen Gray, która do historii designu przeszła jako autorka E-1027, wyjątkowej willi na Lazurowym Wybrzeżu. Jej projekt do dziś uznawany jest za jeden z najważniejszych modernistycznych budynków w historii. Mimo to sama artystka długo pozostawała w cieniu Le Corbusiera i innych mężczyzn w tej profesji. Książka to prawdziwa uczta wizualna dzięki ciekawej kresce i kompozycji barw.

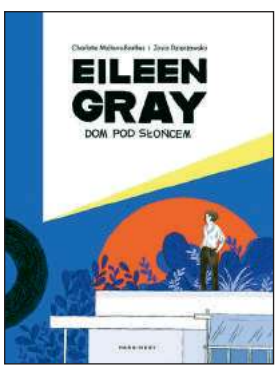

Rafał Pikuła

Kolumny przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl af54f16303

Bieg po wielką kasę

Miejskie zawody dla biegaczy zamieniają się w wielomilionowy biznes

Kenijczyk Eliud Kipchoge jest najszybszym maratończykiem w historii. Ale czy można klasyfikować jego wyczyn jako osiągnięcie sportowe?

Mateusz Mazzini

Kenijczyk Eliud Kipchoge, 35-latek, legenda biegów długodystansowych, 12 października nie schodził z czołówek serwisów informacyjnych. Już wcześniej był jednym z najbardziej rozpoznawalnych biegaczy na świecie, wielokrotnie zdobywając nie tylko medale igrzysk olimpijskich i mistrzostw świata, ale też wygrywając najbardziej prestiżowe biegi miejskie, chociażby maraton w Berlinie. Teraz jednak przełamał jedną z największych barier sportowych w ludzkiej wyobraźni. Biegnąc po asfaltowych alejach parku na wiedeńskim Praterze, jako pierwszy człowiek w historii oficjalnie pokonał dystans maratoński – 42,195 km – w czasie poniżej dwóch godzin, co jeszcze kilka czy kilkanaście lat temu wydawało się niemożliwe.

Tyle że Kipchoge nie zrobił tego w oficjalnych zawodach. Start w Wiedniu odbył się w warunkach wręcz laboratoryjnych, stworzonych pod umożliwienie pobicia rekordu. Kenijczyk z nikim się nie ścigał, przynajmniej dosłownie. Razem z nim po Praterze biegło 41 tzw. zajęcy, czyli biegaczy umożliwiających mu utrzymanie właściwego tempa i osłaniających od niekorzystnych warunków atmosferycznych. I choć w grupie tej byli inni wybitni lekkoatleci, również medaliści olimpiad i mistrzostw świata, Kipchoge był tego dnia najważniejszy. Żeby ułatwić mu złamanie bariery dwóch godzin, a raczej maksymalnie ograniczyć wpływ czynników losowych i naturalnych na jego bieg, organizatorzy nie tylko, co oczywiste, zamknęli park, ale przede wszystkim wytyczali na asfalcie laserem idealną trajektorię biegu, śledzili także grupę elektrycznym samochodem wyświetlającym tempo biegaczy oraz przewidywany wynik na mecie.

Przynajmniej w teorii Eliud Kipchoge jest więc najszybszym maratończykiem w historii. Zaraz po pobiciu przez niego rekordu zaczęto jednak zadawać pytania, czy można ten wyczyn klasyfikować jako osiągnięcie sportowe. Laboratoryjne warunki stworzone przez głównego sponsora wydarzenia, firmę Nike, nie tylko wykluczyły wszelkie współzawodnictwo, ale też zmieniły bieg na dystansie maratońskim w coś sztucznego, praktycznie niemożliwego do powtórzenia w jakimkolwiek biegu miejskim czy zawodach rangi mistrzowskiej. Trudno oprzeć się wrażeniu, że w pobiciu przez Kenijczyka rekordu maratońskiego zdecydowanie największą rolę odegrały nie jego zdolności i kondycja, ale stojące za całym przedsięwzięciem pieniądze.

Wielkie finanse w pozaolimpijskim, miejskim bieganiu są, rzecz jasna, obecne już od dawna. Jednak w ostatnich latach zjawisko to, jeszcze niedawno wyjaśniane w kategoriach socjologicznych jako oznaka gentryfikacji czy rozwoju klasy średniej, przerodziło się w multimilionowy biznes, w który ogromne środki pompują niemal wszyscy uczestnicy – od sponsorów, przez producentów sprzętu i gospodarzy biegów, po samych uczestników.

Koszty związane z miejskimi wyścigami na 5, 10, 21 czy 42 km zarówno organizatorzy, jak i biegacze ponoszą już wiele miesięcy przed startem. Ci pierwsi zacząć muszą od wytyczenia trasy, nierzadko zmieniającej się z roku na rok. Zwłaszcza w dużych miastach bywa to problematyczne, gdyż wielki bieg jest równoznaczny z wielkimi problemami komunikacyjnymi dla mieszkańców. Z ruchu trzeba przecież wyłączyć prawie pół setki kilometrów miejskich arterii, do tego dochodzą strefy dla kibiców, miasteczka namiotowe na starcie i mecie, punkty medyczne, z odżywkami i jedzeniem. Należy wytyczyć alternatywne trasy dla

Ubezpieczenie imprez kosztuje od 50-60 tys. dol. dla mniejszych biegów do kilku milionów dla największych.

eprasa.pl af54f16303

kierowców i objazdy dla komunikacji miejskiej, uruchamiane przecież nie tylko na czas samego biegu, ale również przed i po nim.

Trasę maratonu czy innego biegu miejskiego trzeba najpierw przeanalizować, ocenić i zabezpieczyć. Certyfikowaniem tras zajmują się specjalne prywatne firmy, które oferują usługi ich wytyczenia, oceny ryzyka dla uczestników (co obejmuje np. nierówności terenu, możliwość zakorkowania się tłumu biegaczy) i wyznaczenia odpowiedniego czasu oraz daty biegu. Branżowy magazyn „Runner's World" wylicza, że samo certyfikowanie trasy może kosztować organizatorów od 1 tys. do nawet 12-13 tys. dol.

Bieg, w którym udział bierze kilkanaście tysięcy osób, trzeba też odpowiednio zabezpieczyć. I choć w większości przypadków z pomocą przychodzą tu publiczne służby porządkowe, bo imprezy te najczęściej mają status masowych, bardzo wiele kosztuje ich ubezpieczenie – na wypadek nieprzewidzianych zdarzeń i konieczności interwencji służb medycznych, zniszczeń mienia czy wszelkich innych szkód wyrządzonych zarówno własności miejskiej, jak i uczestnikom z winy organizatorów. Taki pakiet może kosztować krocie. Dwie największe na świecie organizacje ubezpieczające biegi miejskie – amerykański związek lekkoatletyczny USATF i tamtejszy klub biegaczy terenowych RRCA – oferują bardzo zróżnicowane opcje, wahające się od 50-60 tys. dol. dla mniejszych wyścigów do kilku milionów dla największych imprez.

Koszty po stronie organizatorów można wyliczać bardzo długo. Zmniejszają je często armie wolontariuszy, którzy podają jedzenie i picie, pilnują nieosłoniętych fragmentów trasy przed kibicami chcącymi zastąpić drogę biegaczom albo zbierają elektroniczne czipy mierzące indywidualnie czas startującym. Bo to przecież ciągle sportowa rywalizacja, w której wynik nie jest bez znaczenia. Założenie całego systemu fotokomórek i mierników czasu na trasie kosztuje, według ekspertów stacji ESPN, średnio ok. 25 tys. dol. na bieg. Do tego dochodzi wypożyczenie bransoletek z indywidualnymi czipami – od 1 do 3 dol. za sztukę.

Wiele z tych wydatków pokrywają wpływy od sponsorów i samych biegaczy. Między nimi jest jednak dość duża dysproporcja finansowa. Najbardziej prestiżowe imprezy stają się bardzo drogie dla zwykłych „pokonywaczy kilometrów". Jak zauważa „New York Times", wpisowe w pierwszej edycji maratonu nowojorskiego, w 1970 r., wynosiło zaledwie 1 dol. (przy budżecie całej imprezy wynoszącym 1 tys. dol.). W przyszłym roku, a więc 50 lat później, za uczestnictwo w biegu trzeba będzie zapłacić od 255 dol. (cena dla mieszkańców Nowego Jorku) do aż 358 dol. (dla osób spoza USA).

Obstawiający biegi miejskie wielki biznes oferuje amatorom coraz więcej wyspecjalizowanych, często drogich produktów.

Sponsorzy wprawdzie tłumnie rzucają się na biegi miejskie, ale wcale nie dźwigają największego ciężaru finansowego. Według kalkulacji „Washington Post" z ubiegłego roku, uśredniających wszystkie największe masowe imprezy biegowe w USA i Europie, na każde 99 dol. wpłacone przez uczestnika przypada zaledwie 58 dol. przekazanych przez sponsorów komercyjnych. Reszta pochodzi ze wsparcia publicznego, od władz lokalnych i samych organizatorów, reklamodawców i tzw. sponsorów technicznych, czyli głównie firm produkujących sprzęt sportowy.

Biegi uliczne to dziś wielomilionowy biznes. Amerykańska firma analityczna IBISWorld szacuje, że wartość tego sektora gospodarki wynosi globalnie 1,4 mld dol. – co z kolei ma przełożenie na wartość choćby tylko rynku butów do biegania sięgającą ponad 3 mld. Największy na świecie komercyjny organizator biegów, firma Competitor Group, odpowiedzialna za niezwykle popularną za oceanem serię wyścigów miejskich Rock'n'Roll Road Running, zarządza już imprezami w 34 miastach Stanów Zjednoczonych, generuje 116 mln dol. rocznego przychodu i w 2012 r. została przejęta przez fundusz inwestycyjny Calera Capital za kwotę 250 mln dol.

Stopniową profesjonalizację amatorskiego sportu, zwłaszcza pod względem finansowym, odczuwają też biegacze. I to nie tylko przez coraz wyższe wpisowe. Obstawiający biegi miejskie wielki biznes oferuje im coraz więcej wyspecjalizowanych, często bardzo drogich produktów. Rzut oka na największe fora biegowe w Polsce pozwala skalkulować koszty przygotowania się do większego biegu miejskiego. Same buty, radzą forumowicze, nie powinny kosztować mniej niż 500-600 zł, tańsze albo od razu się zniszczą, albo można w nich odnieść kontuzję. Do tego sportowe ubranie na każdą pogodę – kolejne kilkaset złotych. Bardziej ambitni skuszą się na wyspecjalizowane zegarki, mierzące tętno i zbierające dane o wysiłku. To już może kosztować nawet kilkanaście tysięcy złotych. Dalej są wydatki na odżywki, właściwą dietę. Oczywiście można przebiec 42 km po ulicach miasta za dużo niższe kwoty, robi to jednak coraz mniejsza grupa biegaczy. Sformułowanie sport amatorski przynajmniej w kontekście biegów miejskich właściwie traci sens. ■

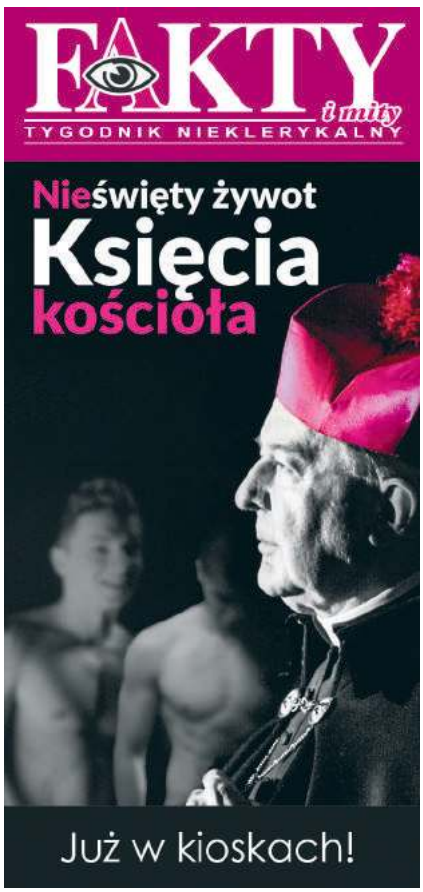

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl af54f16303

500 dni Brzęczka

Selekcjoner reprezentacji piłkarskiej potrafi zaryzykować i nie boi się w kadrze nowych twarzy

Na pamiątkę ostatniego występu w reprezentacji Łukasz Piszczek otrzymał koszulkę z numerem 66.

Maciej Polkowski

Mijała 54. minuta spotkania Polski ze Słowenią na Stadionie Narodowym w Warszawie, kiedy Robert Lewandowski zabłysnął futbolowym geniuszem. Kilkadziesiąt metrów od bramki, bliżej prawej strony, ustawiony tyłem i pod presją rywala przyjął piłkę, ograł pierwszego Słoweńca i wykonał fantastyczny slalom. Mijał obrońców niczym alpejczyk tyczki na narciarskim stoku i wreszcie, w całkiem niełatwej pozycji, uderzył precyzyjnie, nie do obrony, przy dalszym słupku. Popis kapitana biało-czerwonych – wirtuozeria na poziomie wyczynów Lionela Messiego. Wyborna dyspozycja Lewego, przepiękny debiutancki gol Sebastiana Szymańskiego już w 3. minucie i wreszcie zwycięska (także pierwsza w reprezentacji) bramka Jacka Góralskiego w 81. minucie. Jak trafnie napisano, jest on wszędobylskim pomocnikiem – od ciężkiej pracy, odbiorów i pressingu. Kiedy zaś do wygranej 3:2 dodać awans z pierwszego miejsca grupy G do finałów Mistrzostw Europy 2020 oraz serdeczne pożegnanie Łukasza Piszczka, wtorkowy wieczór 19 listopada należy uznać za wielce udany.

SKŁAD GRUP

Grupa A	(Baku, Rzym):	Włochy
Grupa B	(Kopenhaga, Sankt Petersburg):	Belgia, Rosja, Dania
Grupa C	(Amsterdam, Bukareszt):	Ukraina, Holandia
Grupa D	(Glasgow, Londyn):	Anglia
Grupa E	(Bilbao, Dublin):	Hiszpania
Grupa F	(Budapeszt, Monachium):	Niemcy

Polska może trafić do grupy A, D, E lub F. Na pewno nie zagra z Belgią, Rosją, Danią, Ukrainą, Holandią, Francją, Szwajcarią ani Chorwacją. I na pewno na mecze biało-czerwonych trzeba będzie jeździć za granicę. Generalnie odnosimy wrażenie, że nawet włodarze UEFA przestali nad tym wszystkim panować.

Piszczek po raz (66) ostatni

Od pierwszego gwizdka widać było, że Polacy nie zamierzają wyczekiwać, co zrobią ich wrześniowi (0:2) pogromcy, tylko postarają się jak najszybciej wyrównać rachunki. Zysk to szybko zdobyty pierwszy gol, strata to pechowa interwencja Kamila Glika, który złamał sobie nos i już w 7. minucie musiał opuścić murawę. Łatwo nie było – Słoweńcy nie zamierzali ustępować pola. Potrafią grać w piłkę i nie unikają bardzo twardych, a niekiedy wręcz brutalnych pojedynków.

Nie obawiał się rywali jeden z bohaterów wieczoru – występujący po raz 66. i ostatni w biało-czerwonej drużynie obrońca Łukasz Piszczek. O jego rozstaniu z kadrą narodową pisaliśmy w PRZEGLĄDZIE nr 36/2018: „Trzeba podejmować racjonalne decyzje. Moja przygoda z reprezentacją dobiegła końca – poinformował po mundialu na Facebooku Łukasz Piszczek, gracz Borussii Dortmund. Zadebiutował w kadrze 3 lutego 2007 r. i rozegrał w niej 65 spotkań, zdobywając trzy bramki. Wziął udział w czterech turniejach – Euro 2008, Euro 2012, Euro 2016 oraz MŚ 2018.

Piszczek ma 33 lata, ale w niemieckiej Bundeslidze – gdy omijały go kontuzje – nie dawał po sobie poznać, że jest piłkarzem zaawansowanym wiekowo. Jeszcze przed kilkoma laty interesowały się nim największe markowe kluby, z Realem Madryt na czele.

O odejściu z reprezentacji myślał jeszcze przed mundialem. Katastrofalne występy na rosyjskich boiskach ułatwiły mu podjęcie decyzji. Obrońca bardzo przeżył nieudane mistrzostwa świata. Nic dziwnego, że zakończenie reprezentacyjnej kariery przez tak nietuzinkową postać spotkało się z szerokim oddźwiękiem. Znakomity były bramkarz Jerzy Dudek powiedział: – Myślę, że najbardziej rozczarowany jego decyzją jest Jurek Brzęczek. Bardzo dobrze się znają. (…) Łukasz ma ogromny bagaż doświadczeń.

Analityczny umysł. Bez wątpienia nadawałby się na trenera. Jestem pewny, że po mundialu byłby w stanie wskazać i Brzęczkowi, i drużynie,

eprasa.pl af54f16303

co poszło nie tak i w którą stronę należy postawić kolejny krok. Nie mogło zabraknąć głosu selekcjonera Brzęczka. – Łukasz Piszczek to wspaniały piłkarz i człowiek. Zapisał się w historii polskiego futbolu swoją grą, postawą i tym, co zrobił dla reprezentacji. Teraz podjął taką decyzję. Na pewno byłby nam jeszcze potrzebny, ale z drugiej strony piłka nożna, sport i w ogóle życie nie znosi próżni. Będzie szansa dla następców. Myślę, że jeżeli chodzi o prawą obronę, to mamy zawodników, którzy podejmą rękawicę, aby starać się prezentować wysoki poziom".

Brakowało tylko grabek i łopatki

Przed meczem ze Słowenią, w jego trakcie i po nim przewijał się w wypowiedziach kompromitujący problem fatalnego stanu murawy na Stadionie Narodowym. Kilkakrotnie pisaliśmy o nawierzchni nienadającej się do profesjonalnej gry w piłkę nożną. Podczas niedawnego meczu z Macedonią Północną, ale też we wcześniejszych pojedynkach, na śliskiej trawie piłkarze wykonywali ewolucje niczym w jeździe figurowej na lodzie. Po konfrontacji ze Słowenią miarka się przebrała. – Brakowało tylko grabek i łopatki. Mamy tak piękny stadion i to wstyd, że jest na nim taka murawa – ocenił Grzegorz Krychowiak. – Szacunek dla obu drużyn, bo granie na tej murawie było sztuką. Raz czy dwa to było śmieszne, ale to jest po prostu żałosne. Chętnie byśmy rozegrali spotkanie na Stadionie Śląskim w Chorzowie, na normalnym boisku – dodał wyraźnie zirytowany Wojciech Szczęsny. – Cud, że nikomu nic się nie stało – mówili jednym głosem Brzęczek i Lewandowski.

Obecny na meczu premier Mateusz Morawiecki odwiedził po nim piłkarzy w szatni. Kadrowicze poprosili go o interwencję w sprawie murawy. Moim zdaniem nie tylko firma odpowiedzialna za stan boiska zawaliła sprawę.

Z Lewym na ławce

Zanim przypieczętowano awans do finałów ME, biało-czerwoni wygrali 2:1 z Izraelem 16 listopada w Jerozolimie. Ten wyjazd stał przez moment pod dużym znakiem zapytania ze względu na napiętą i niebezpieczną sytuację w kraju gospodarza. Obyło się jednak bez perturbacji. Przyznam, że od pierwszej minuty spotkania na Teddy Stadium nie mogłem uwierzyć w to, co widziałem. Nasza pierwsza kadrowa atakowała z dawno niewidzianym rozmachem, szybko i nieschematycznie. Nic dziwnego, że już w 4. minucie, po silnym strzale z bliska Grzegorza Krychowiaka, objęliśmy prowadzenie. Pierwsza połowa meczu została całkowicie zdominowana przez podopiecznych Jerzego Brzęczka. Okazji nie brakowało, a gdyby strzelano precyzyjniej, prowadzenie mogło być znacznie wyższe. Co ciekawe – wszystko odbywało się bez udziału Roberta Lewandowskiego, który jedynie obserwował poczynania kolegów z ławki rezerwowych. Pojawił się na murawie w 63. minucie, ale tym razem nie zdążył się wpisać na listę strzelców. Uprzedził go dziewięć minut wcześniej Krzysztof Piątek, dobijając piłkę w zamieszaniu po rzucie rożnym. Prowadziliśmy 2:0 (do 88. minuty), mimo że druga połowa była w naszym wykonaniu znacznie bardziej toporna. A utrata gola kilka chwili przed zakończeniem meczu denerwująca. Gospodarze mimo chęci byli wręcz żenująco nieporadni.

Lewandowskiego zapytano, dlaczego nie wyszedł w pierwszej jedenastce. Odparł: – Robert Lewandowski nie musi grać w każdym meczu. Czasami spojrzenie na sytuację z boku może być korzystne.

Został również zagadnięty o incydent z kibicem, który wbiegł na murawę i ruszył w jego stronę. Wyjaśnił: – Wiedziałem, że to kibic, który wbiegł na boisko, by zrobić sobie zdjęcie albo mnie po prostu dotknąć. Byłem spokojny. Od razu widać było, że biegnie w moim kierunku młody chłopak z uśmiechem na twarzy.

O ile nasz kapitan był wyrozumiały, o tyle sędzia w Jerozolimie nie pobłażał. Na wniosek lokalnej policji ukarał 15-latka zakazem wejścia na jakikolwiek stadion przez najbliższe trzy lata. W orzeczeniu sędzia podkreślił, że ten czyn zagrażał bezpieczeństwu ochrony, piłkarzy i każdego, kto ma zaufanie do publicznego porządku na stadionach piłkarskich. Na dodatek wpłynął negatywnie na wizerunek izraelskiego futbolu na świecie.

Brzęczek wie swoje

Pod koniec listopada minie 500 dni od momentu, kiedy Jerzy Brzęczek został selekcjonerem. Oto garść jego refleksji: – Jest wiele pozytywnych rzeczy po tych eliminacjach. Awansowaliśmy na turniej, wykonaliśmy swoje zadanie. Teraz przed nami odpoczynek, a potem ciężka praca. W dziesięciu meczach straciliśmy tylko pięć bramek. Myślę, że ta średnia nie jest najgorsza, ale nadal musimy pracować nad tym, by tracić jak najmniej goli. Na mistrzostwa Europy może pojechać tylko 23 zawodników. Mamy już szkielet reprezentacji i dobrą atmosferę. Czekamy również na tych, którzy w następnych miesiącach mogą zaskoczyć i będą pukać do drzwi kadry. Myślę, że Sebastian Szymański w ostatnich meczach zaprezentował bardzo duże umiejętności, o których wiedzieliśmy już wcześniej. Najpierw grał na młodzieżowych mistrzostwach Europy we Włoszech. Nie powołałem go, bo nie chciałem burzyć tamtej drużyny. To ważne, żeby zbierać doświadczenie. Teraz jest w mojej kadrze i występuje w podstawowym składzie. Ma poukładane w głowie i myślę, że drużyna narodowa będzie miała dużo radości z tego młodego człowieka.

Zawodnicy ślizgali się na źle przygotowanej murawie Stadionu Narodowego.

Ważne, że – jak się wydaje – także szef kadry narodowej ma coraz wię-

FOT. PIOTR MOLECKI/EASTNEWS, RAFAŁ GAGLEWSKI/REPORTER

eprasa.pl af54f16303

cej spraw poukładanych. I w żadnym momencie nie uległ sugestiom i podszeptom dość licznego grona „wujków dobra rada", którzy zawsze wiedzą lepiej. Selekcjoner wie swoje. Brzęczek potrafi zaryzykować i nie boi się w kadrze nowych twarzy.

To za jego kadencji zadebiutowali:

Rafał Pietrzak (27 lat, obrońca Mouscron), Arkadiusz Reca (24 lata, obrońca S.P.A.L. Ferrara), Damian Szymański (24 lata, pomocnik Achmata Grozny) – wszyscy trzej podczas meczu 7 września 2018 r. z Włochami (1:1).

Damian Kądzior (27 lat, pomocnik, napastnik Dinama Zagrzeb) i Krzysztof Piątek (24 lata, napastnik AC Milan) – debiut 11 września 2018 r. w pojedynku z Irlandią (1:1).

Krystian Bielik (21 lat, pomocnik Derby County) – 6 września 2019 r., mecz ze Słowenią (0:2).

Sebastian Szymański (20 lat, pomocnik Dynama Moskwa) – 9 września 2019 r., mecz z Austrią (0:0).

Kamil Jóźwiak (21 lat, napastnik Lecha Poznań) – 19 listopada, mecz ze Słowenią (3:2).

Pojawili się w kadrze i liczą na debiut: Radosław Majecki (20 lat, bramkarz Legii Warszawa), Robert Gumny (21 lat, obrońca Lecha Poznań), Hubert Matynia (24 lata, obrońca Pogoni Szczecin), Szymon Żurkowski (22 lata, pomocnik AC Fiorentina), Adam Buksa (23 lata, napastnik Pogoni Szczecin).

Trawestując powiedzenie klasyka, selekcjonera i piłkarzy poznaje się nie po tym, jak zaczynają, ale jak kończą!

Żadnego talentu, żadnego ciekawego zawodnika nie wolno zgubić, bo nie mamy ich w nadmiarze. Dlatego warto powtórzyć to, co zadeklarował selekcjoner: – Czekamy również na tych, którzy w następnych miesiącach mogą zaskoczyć i będą pukać do drzwi kadry.

Szampan niech się jeszcze mrozi

Trawestując powiedzenie klasyka, selekcjonera i piłkarzy poznaje się nie po tym, jak zaczynają, ale jak kończą! I tak rzeczywiście się stało, bo przecież jesień rozpoczęto od fatalnego występu i wyjazdowej porażki ze Słowenią 0:2, a zakończono wygraną także ze Słowenią 3:2 i przypieczętowaniem awansu do przyszłorocznych finałów Euro. Selekcjoner i drużyna wykonali postawione przed nimi zadanie i za to należą im się brawa. Z drugiej strony na wielkie świętowanie zdecydowanie za wcześnie, bo wywalczenie przepustki na ME było na dobrą sprawę piłkarskim obowiązkiem. Szampan niech się nadal mrozi. Warto odkorkować go dopiero wtedy, gdy naprawdę uda się osiągnąć jakiś większy sukces.

Już 30 listopada w Bukareszcie dojdzie do przydziału zespołów w grupach finałowych ME 2020. Polska znalazła się ostatecznie w drugim koszyku. Znamy już 20 drużyn finałowych – do wyłonienia pozostało jeszcze czterech uczestników imprezy głównej. Poznamy ich dopiero po turniejach barażowych, które zostaną rozegrane w końcówce marca przyszłego roku.

Maciej Polkowski

eprasa.pl af54f16303

Wiejska zaśpiewa

Edward Mikołajczyk

Ostatnio raczej czytałem PRZEGLĄD, niż do niego pisałem. Wszystkie osoby, które mnie upomniały z tego powodu, bardzo przepraszam.

Kto haruje od rana do wieczora, i tak nie uwierzy, że leniuchowanie może być pożyteczne. Ja zawdzięczam okresowi rozbyczenia nową znajomość w życiu. Dzięki Bronisławowi Tumiłowiczowi (PRZEGLĄD nr 46) poznałem bliżej Klaudię Jachirę. To młoda posłanka debiutantka, tak młoda, że jeszcze nie mogłaby skorzystać z biernego prawa wyborczego w kampanii prezydenckiej. Czytelnikom przedstawia się nadzwyczaj korzystnie z wielu stron. Moją uwagę zwróciła propozycją, aby w wysokiej izbie powstał chór poselski.

W naszym Sejmie jest aż nadto ludzi, którzy fałszują. Najbardziej sponiewieraną ofiarą tego poselskiego kalectwa jest Mazurek Dąbrowskiego. Nie będzie łatwo wyłowić z tego towarzystwa głosy wyćwiczone na nabożeństwach żywszych niż nieszpory.

Z dużą łatwością można by wykpić ideę, co i mnie w pierwszej chwili chodziło po głowie. Przecież wiadomo, że izba na ulicy Wiejskiej i tak nie uchwali niczego bez wiedzy i zgody Kaczyńskiego z bunkra przy ulicy Nowogrodzkiej, a on do tej pory nie dał się poznać jako miłośnik pieśni ani ich przyzwoity wykonawca. Raczej więc wykluczone, żeby chór poselski powstał, a partia nie kontrolowała repertuaru.

Chór poselski to szansa na porzucenie w Sejmie dotychczasowych wykonań pieśni, które nie zasłużyły na baranie głosy.

Sama posłanka Jachira, gdyby chciała, mogłaby pierwsza doszczętnie obśmiać projekt, bo ma osobiste doświadczenie kabaretowe z własnym Jarosławem, lalką z butafory (gazety, tapeta i klej). Tymczasem ona traktuje go śmiertelnie poważnie. Zaznacza, że chór ma śpiewać ponad podziałami, to znaczy, że chórzystki i chórzyści zostaliby zwolnieni z obowiązku trzymania się nut podawanych o poranku przez rzeczników dyscypliny klubowej. Nie uległa nawet narzucającej się pokusie typowania kandydatów do najważniejszych ról. Choćby dyrygenta – kto by się nadał, a kto nie, np. z powodu złego stanu kolana. Przeciwnie, nic nie mówi o dyrygencie, bo wiadomo, że to kompetencja ministra kultury, który ma własną stajnię fachowców, a na dodatek lubi się obrażać, gdy ktokolwiek, z sądami konkursowymi włącznie, chce go wyręczyć w obsadzaniu stanowisk.

We wspólnym śpiewaniu posłanka upatruje lek na złe emocje w Sejmie. Składa liczne dowody rozwagi politycznej i świadectwa znajomości psychologii chóru. Dobry chór brzmi jak jeden głos zbudowany z wielogłosu różnych barw. Jest dla każdego uczestnika testem przydatności do współbrzmienia i gotowości do zredukowania w tej intencji wielu własnych, zwykle urojonych wyobrażeń o swojej osobności i wielkości. Nie sądzę, by wyborcy dostrzegli coś złego w tym, żeby casting do chóru miał charakter obowiązkowy i objęto nim cały skład osobowy wysokiej izby. Nie chodzi przecież wyłącznie o wybór jednostek najbardziej utalentowanych. Dla elektoratu byłaby to pierwsza w dziejach naszego parlamentaryzmu sposobność do sprawdzenia, czy obdarzyliśmy zaufaniem ludzi, w których głowach potwierdzi się choćby śladowa obecność pierwiastka pobudzającego delikwenta do współpracy z innymi wybrańcami ludu albo zdolnego do hamowania megazapędów wielkiego ego. To jest wiedza warta takiego wysiłku.

Chór poselski to szansa na porzucenie w Sejmie dotychczasowych wykonań pieśni, które nie zasłużyły na baranie głosy. Znajdzie wiele okazji, które trzeba będzie uświetnić. Może obudzić podobne inicjatywy w najbardziej zaprzyjaźnionych zagranicznych parlamentach, np. państw Grupy Wyszehradzkiej albo Międzymorza. Międzynarodowy festiwal parlamentarnych zespołów śpiewaczych mógłby co roku odbywać się w innym kraju. Współpraca wymaga nowych, twórczych inicjatyw na wielu polach, choćby wzbogacających nową treścią zapomniane szczyty przewodniczących parlamentów państw Europy Środkowej i Wschodniej, doniosłego przedsięwzięcia dyplomatycznego dwóch słynnych polskich marszałków, Karczewskiego i Kuchcińskiego.

Wspólne śpiewanie szybciej nas połączy niż „kształtowanie wspólnej pamięci historycznej", którym do tej pory zajmowali się wymienieni mężowie stanu. Chyba że wicepremier Gliński przyśle na dyrygenta swojego zaufanego bacę, który nie czyta nut.

■

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl af54f16303

Prawosławie w obiektywie

Intrygujący zbiór 200 zdjęć wykonanych przez 140 fotografów z 21 krajów, zarówno profesjonalistów, jak i amatorów, pochodzi z wystawy „15 lat OrthPhoto. Prawosławie w obiektywie" (obecnie w Warszawie i Białymstoku). Zróżnicowane pod względem tematycznym i geograficznym fotografie składają się na obraz współczesnego prawosławia, od Europy, poprzez Kenię, aż do Tajlandii. Tworzą barwny kalejdoskop liturgii i obrzędów oraz życia codziennego prawosławnych społeczności.

eprasa.pl af54f16303

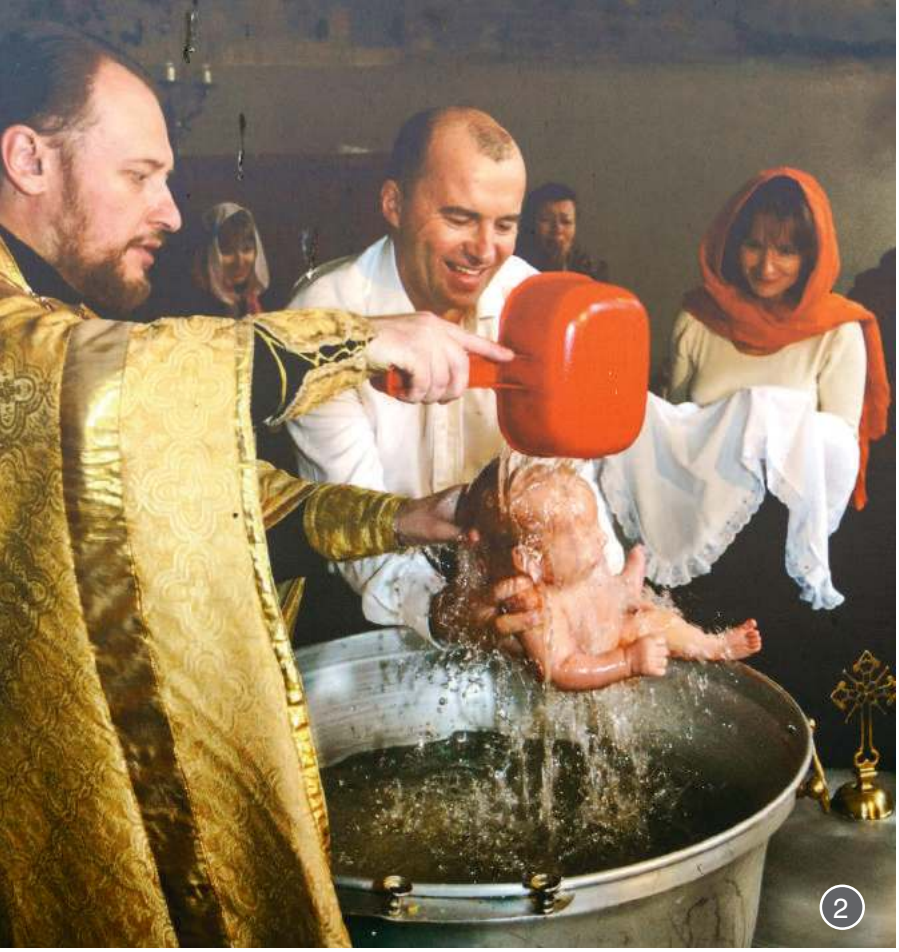

1. Polska, poświęcenie cerkwi św. Jana w Supraślu, *Jarosław Charkiewicz*
2. Rosja, chrzest Antoniego, *Margarita Fedina*
3. Rosja, arcybiskup i motyl, *Anton Topolov*
4. Rumunia, *Hrisostom Filipescu*
5. Polska, metropolita Sawa i Joanna, *Marta Łuksza*
6. Polska, sianokosy w Jabłecznej, *Mirosław Czapkowicz*
7. Kenia, uroczystości pogrzebowe, *Jarosław Charkiewicz*

REP. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl af54f16303

STUDIO EMKA

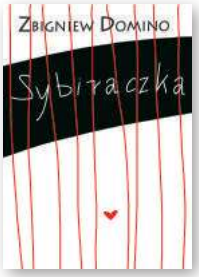

Zbigniew Domino
Sybiraczka

Ostatni akcent epopei syberyjskiej i ostatnie dzieło literackie autora. Główną bohaterką jest tu… książka „Kuchnia warszawska", własność Antoniny Domino, matki Zbigniewa. Poradnik dla gospodyń na zesłaniu w tajdze? Co sobie myślała Antonina, wciskając go do tobołka wypędzona z mężem i dziećmi na zesłanie?

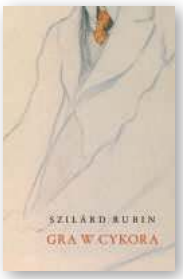

Szilárd Rubin
Gra w cykora

Powieść opublikowana w 1963 r. to obraz głębokiej, a zarazem zaborczej i destrukcyjnej miłości w powojennej rzeczywistości Węgier. Wielu węgierskich twórców wymieniało i do dziś wymienia tę książkę jako jedno z najwspanialszych doświadczeń czytelniczych.

Jim Stovall
Mądrość zwycięzców
Część druga

Połączenie praktycznych wskazówek z duchową mądrością. Skomponowaną z krótkich tekstów, skłaniającą do autorefleksji kolejną bestsellerową książkę Stovalla można poznawać stopniowo, poddając się rosnącej sile ich oddziaływania.

Donna Dale Carnegie
Jak zdobyć przyjaciół i zjednać sobie ludzi
Dla nastolatek

Gdy ma się naście lat, życie może się wydawać skomplikowane – szczególnie jeśli jest się dziewczyną. Nastolatki spotykają się z mnóstwem problemów i rozterek. Tę książkę napisano z myślą o nich, aby pomóc im stać się pewnymi siebie przywódczyniami i przyjaciółkami.

WYDAWNICTWO ISKRY

Andrzej Werblan
Polska Ludowa. Postscriptum

To, co było tajemnicą, dziś staje się jawne. Autor opowiada o rodzinnym Tarnopolu, zesłaniu na Syberię i powrocie do Polski. A później o karierze politycznej sekretarza Bieruta i współpracownika Gomułki oraz Gierka. Za pośrednictwem jego wspomnień możemy wejść do gabinetów przywódców PRL, poznać ich sposób myślenia i kulisy decyzji.

Michał Jagiełło
Piarżysko

Relacje i zapiski odwiedzających Tatry pisarzy, polityków, dziennikarzy i podróżników opatrzone komentarzem Michała Jagiełły są źródłem wiedzy o odkrywaniu piękna tego regionu. Tatry i Zakopane w reportażach prasowych przełomu XIX i XX w.

Michał Morawski
Rozmyślania o fajce i tytoniu

Eseistyczny przewodnik po kulturze palenia fajek i sztuce ich wytwarzania. Autor jest posiadaczem wielu bezcennych eksponatów fajczarskich. Ich historie dowodzą wielowiekowej tradycji fajki, popularnej niegdyś na całym świecie.

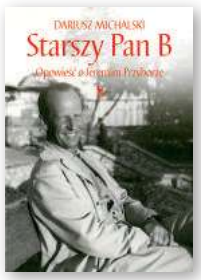

Dariusz Michalski
Starszy Pan B
Opowieść o Jeremim Przyborze

To opowieść o życiu Starszego Pana B, autora niezrównanych tekstów piosenek, twórcy Kabaretu Starszych Panów, reżysera i scenarzysty. O czasach, w których działał, i ludziach, których znał. Książka bogato ilustrowana prywatnymi zdjęciami rodziny Przyborów oraz fotografiami z archiwów teatralnych, telewizyjnych i filmowych.

MARGINESY

Barbara Banaś
Polski New Look

W książce znajdują się informacje o historycznych kontekstach rozwoju europejskiego i polskiego wzornictwa oraz animatorskiej roli Instytutu Wzornictwa Przemysłowego. Niezapomniane projekty i wyroby polskiego designu z lat 50. i 60. na ponad 200 fotografiach.

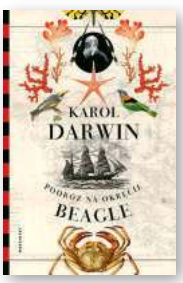

Karol Darwin
Podróż na okręcie „Beagle"

W grudniu 1831 r. angielski okręt HMS „Beagle" wypłynął z portu w Plymouth. Celem było sporządzenie map wybrzeża Ameryki Południowej. Na pokładzie w podróż życia wyruszył również 22-letni przyrodnik Karol Darwin. Ta wyprawa doprowadziła do stworzenia przełomowego „O powstawaniu gatunków".

Virginie Greiner, Daphné Collignon
Tamara Łempicka

Paryż, lata 20. XX w. Malarka Tamara de Lempicka wieczorami rzuca się w wir życia towarzyskiego i świata słynnych kabaretów w poszukiwaniu inspiracji, klientów, modelek lub jednorazowych romansów. Przepiękny wizualnie komiks o skandalistce, ikonie epoki jazzu.

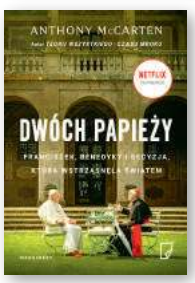

Anthony McCarten
Dwóch papieży

Benedykt XVI i Franciszek – różne osobowości, silne autorytety, które obecnie decydują o instytucji Kościoła. Jak abdykacja papieża w 2013 r. wpłynęła na sytuację w Watykanie? W dobie kryzysu wiary i głośnych skandali autor zastanawia się nad przyszłością Kościoła.

eprasa.pl af54f16303

ARKADY

Michał Grychowski, Paweł Kwiatkowski
Polska/Poland

Album nie tylko obfituje w zdjęcia katedr i pałaców, lecz odkrywa też czar przydrożnych kapliczek lub mazowieckich pejzaży, ukazanych w obiektywie fotografika Michała Grychowskiego. Całości dopełniają układ graficzny autorstwa prof. Władysława Pluty i tekst historyka, eseisty i podróżnika Pawła Kwiatkowskiego.

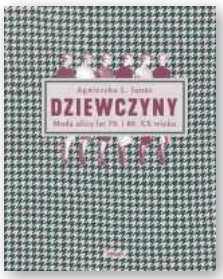

Agnieszka L. Janas
Dziewczyny
Moda ulicy lat 70. i 80. XX w.

Barwne opowieści 13 kobiet o ulubionych strojach ilustrowane często niepublikowanymi zdjęciami z prywatnych archiwów. Modę wspominają m.in. Jolanta Kwaśniewska, Małgorzata Ostrowska, Lidia Popiel, Maria Szabłowska i Bożena Walter.

Martin Kemp
Leonardo da Vinci

Osobiste wspomnienia przeplatane wnikliwymi analizami pokazują życiową pasję profesora Oksfordu, który od 50 lat bada dorobek Leonarda da Vinci. Każdy rozdział traktuje o konkretnym arcydziele. Znajdziemy tu analizę techniczną prac oraz inspirowane życiem i dorobkiem Leonarda obiekty popkultury.

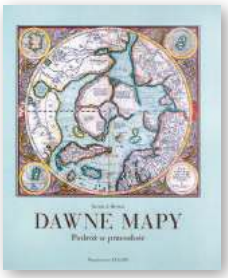

Kevin J. Brown
Dawne mapy

Od *Tabula Peutingeriana* (z I w. p.n.e.) do XX-wiecznych map propagandowych. Album pokazuje mapy świata i jego postrzeganie, np. czym różnią się XVIII-wieczne buddyjskie mapy Japonii od europejskich map handlowych. Oczami kartografów oglądamy narodziny współczesnego świata.

PORADNIA K

Gloria Steinem
Moje życie w drodze

Autobiografia Glorii Steinem, dziennikarki, pisarki, aktywistki i ikony feminizmu, walczącej z dyskryminacją związaną z płcią, rasą, wiekiem, pochodzeniem czy orientacją seksualną. W tej historii o przywództwie i aktywizmie Steinem uświadamia nam, że otwarty umysł może zmienić sposób myślenia, działania i życia.

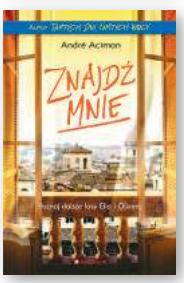

André Aciman
Znajdź mnie

Mistrz intymnych detali i emocjonalnych niuansów, znanych z „Tamtych dni, tamtych nocy", znów przenosi nas w scenerię romansu. Trzy zmysłowe opowieści przepełnione erotyzmem, nostalgią i czułością. Jak tym razem splotą się losy głównych bohaterów?

DOWODY NA ISTNIENIE

Jarosław Mikołajewski
Cień w cień
Za cieniem Zuzanny Ginczanki

Opowieść o Zuzannie Ginczance, ale i o kimś, kto jej szuka. O obsesji, legendzie, poezji, wojnie. I o samym szukaniu. Dla tłumacza, poety, najbardziej czułego z reporterów granice gatunków nie istnieją. Dlatego reportaż wspierany wymianą korespondencji z włoskim przyjacielem miesza się z poezją, by przejść w dramat.

Olga Gitkiewicz
Nie zdążę

Reportaże z przystanku i z dworca, z chodnika i z pobocza. Bilans tej książki: 21 miesięcy, 34 tys. km pociągiem, 3,4 tys. km samochodem, 3,1 tys. km na piechotę, 2,2 tys. km busem. Witamy w centrum Europy. Tu 13 mln Polaków ma wszędzie daleko.

Markéta Baňkova
Drobiazg
Miłość w czasach genetyki

Tomáš, w dzieciństwie adoptowany, szuka biologicznych rodziców. Tak wpada w uzależnienie od wiedzy o genetyce. Zaczyna traktować każdego człowieka jak nosiciela DNA. Zamiast ludzi dostrzega jedynie zestawy genów. Nawet ciało ukochanej staje się dla niego „workiem na geny". Czeska książka roku 2015.

CZARNA OWCA

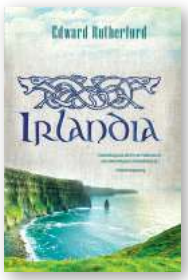

Edward Rutherfurd
Irlandia

Irlandzka saga od XVII w. aż do współczesności. Opowiada o rodach podzielonych religią czy doświadczonych tragicznymi wydarzeniami, jakich nie brakowało w irlandzkiej historii. Książka zaspokoi apetyty wszystkich miłośników literatury historycznej.

Simon Beckett
Zapach śmierci

Antropolog sądowy David Hunter odbiera telefon od dawnej znajomej. W nieczynnym szpitalu znaleziono zmumifikowane ciało. Ludziom wydaje się, że natychmiast rozpoznaliby zapach śmierci. Że rozkładowi towarzyszy szczególna, charakterystyczna woń. Mylą się.

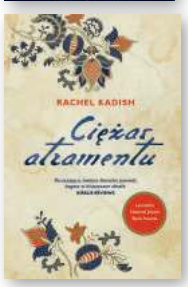

Rachel Kadish
Ciężar atramentu

Osadzona w Londynie lat 60. XVII w. oraz współcześnie powieść splata losy emigrantki z Amsterdamu, która na krótko przed epidemią dżumy zostaje skrybą niewidomego rabina, i chorej profesor historii zafascynowanej spuścizną żydowską. Do jakich wyborów są zmuszone, aby osiągnąć harmonię serca i umysłu?

eprasa.pl af54f16303

REBIS

Brian A. Catlos
Królestwa wiary

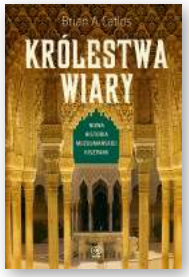

Tysiąc lat wojen, intryg, pasji religijnej i osiągnięć kulturalnych! Napisana na nowo, podważająca mity historia podboju Półwyspu Iberyjskiego przez Arabów, obejmuje okres od powstania islamu w VII w. aż do zakończenia rekonkwisty w XVII w. Panoramiczny obraz ważnego, ale niezrozumianego okresu dziejów ukazuje genezę naszego świata.

Bernard Minier
Na krawędzi otchłani

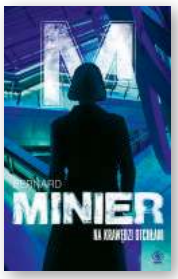

Młoda Francuzka, ekspertka w dziedzinie sztucznej inteligencji, podejmuje w Hongkongu pracę nad prototypem wirtualnego opiekuna – to dla niej życiowa szansa. Ale szybko orientuje się, że firma kryje wiele sekretów. Wśród jej pracowników mnożą się morderstwa, samobójstwa i wypadki.

Karolina i Maciej Szaciłło
Leki z roślinnej apteki

Autorzy dzielą się sposobami na wzmocnienie odporności, zwalczanie przeziębienia i grypy, podniesienie poziomu energii i poprawę trawienia, ból głowy, pozbycie się stresu i wielu innych przypadłości. W każdym rozdziale znalazły się sprawdzone wskazówki, pomocne w wyborze najlepszej metody!

Edward Brooke-Hitching
Atlas nieba

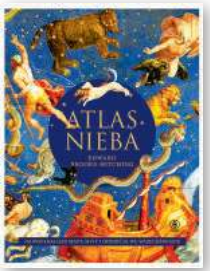

To niebo w postaci, w jakiej nigdy przedtem go nie przedstawiano: królestwo gwiazd i planet, lecz również bogów, demonów, płanetników, podniebnych żeglarzy, średniowiecznych kosmitów, mitycznych stworzeń i grasujących duchów.

PRÓSZYŃSKI I S-KA

Stephen King
Doktor Sen

Pamiętacie małego chłopca obdarzonego niezwykłą mocą, uwięzionego z opętanym ojcem w hotelu na odludziu? Możecie poznać jego dalsze losy! Epicka batalia między dobrem i złem, która zachwyci miliony miłośników „Lśnienia" i zadowoli każdego, kto dopiero wkracza w świat tej już klasycznej pozycji w dorobku Kinga.

Ursula K. Le Guin
Cała Orsinia

Wszystkie teksty Ursuli K. Le Guin osadzone w kraju zwanym Orsinią: powieść „Malafrena" (1979), trzy piosenki, zbiór opowiadań „Opowieści orsiniańskie" (1976) oraz dwa dodatkowe opowiadania, niepublikowane dotąd w Polsce. Jest to ostatni omnibus z prozą Le Guin.

J.R.R. Tolkien
Upadek Gondolinu

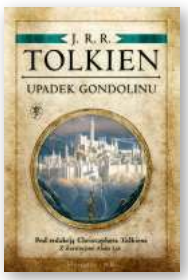

Powieść, która czekała na publikację ponad sto lat, powstała prawdopodobnie na początku 1917 r. w czasie rekonwalescencji Tolkiena po bitwie nad Sommą. To w niej po raz pierwszy pojawili się orkowie, smoki i Balrogowie. Wydanie zawiera różne wersje tekstu, a także opracowanie przedstawiające kontekst i odwołania do innych dzieł autora.

Tove Nilsson
Ramen

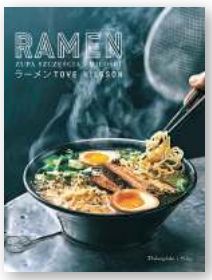

Może być mięsny, wegetariański, jak i wegański – ramen stał się fenomenem kulinarnym, w Japonii jest przebojem nieprzerwanie od 2000 r., kiedy to zawojował nie tylko tamtejsze bary i restauracje, ale i największe media. Przepisy na zupę szczęścia i miłości.

SKARPA WARSZAWSKA

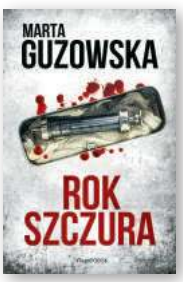

Marta Guzowska
Rok szczura

Podczas ostatniego wspólnego lata paczki przyjaciół ze studiów zamordowana zostaje dziewczyna. 20 lat później przyjaciele spotykają się na pogrzebie. W tajemniczych okolicznościach zginęła żona jednego z nich. Czy zbrodnia stanowi część planu? Czy stare morderstwo ma coś wspólnego z tym, które popełniono niedawno?

Zabójcze święta

Gdy wszyscy siadają do stołu, gdzieś w oddali słychać krzyk. Dźwięk łamanego opłatka zagłusza pękanie kości. Czy na pewno w tym roku czekasz na spóźnionego wędrowca? Dziesięcioro polskich pisarzy opowie świąteczne historie, po których już nic nigdy nie będzie takie samo. Groza, kryminał, seks, sensacja i horror.

Jakub Jastrzębski
Sto lat warszawskiego metra

Historia projektowania metra w Warszawie ma już ponad sto lat. Tak, to nie pomyłka. Czy budowa metra rozpoczęłaby się, gdyby nie wybuch II wojny światowej? Jak miał wyglądać znak metra wyłoniony w konkursie z 1938 r.? Co pozostało po pracach rozpoczętych w latach 50.? Wiele ciekawostek oraz liczne ilustracje.

Jerzy Pytko, Leopold J. Pytko
Warszawa
Ocalić od zapomnienia

Leopold Pytko fotografował Warszawę już od połowy lat 40. Na jego zdjęciach widać ulice, architekturę i ludzi. Tę fotograficzną pasję kontynuuje syn Jerzy, przewodnik miejski. Przez lata w swoich felietonach przybliżał czytelnikom „Życia Warszawy" historię stolicy.

Kolumny przygotowała Agata Gogolkiewicz

eprasa.pl af54f16303

MSZ podzielone na dwa

Konrad Szymański wyprowadził się z MSZ. A wraz z nim trzy departamenty, które mu podlegały: Departament Komitetu ds. Europejskich, Departament Ekonomiczny UE oraz Departament Prawa Unii Europejskiej. Teraz ten pion będzie częścią Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, mniej więcej tak jak kiedyś Urząd Komitetu Integracji Europejskiej. Czy to ma sens?

Fachowcy twierdzą, że nie, że dopiero teraz będziemy mieli spory kompetencyjne i nieporozumienia. Bo Polska zacznie prowadzić dwie polityki zagraniczne. Łatwo to sobie wyobrazić. Weźmy np. Niemcy, kraj kluczowy w kwestiach polityki UE. Ale kluczowy również w kwestii polskiej polityki zagranicznej. Jak to wszystko będzie teraz zorganizowane? Jacek Czaputowicz będzie prowadził jedną politykę, *via* Departament Europy, a Konrad Szymański drugą? Kogo w pierwszej kolejności będzie musiał słuchać ambasador Przyłębski? Swojego bezpośredniego przełożonego czy przełożonego przełożonego?

A ambasador Andrzej Sadoś, kierujący ambasadą RP przy Unii Europejskiej?

Mamy więc stuprocentową zapowiedź bałaganu. Narzuca się pytanie: po co to wszystko? Co takiego się wydarzyło, że premier zdecydował się podzielić MSZ?

A może jest to działanie racjonalne? Może właśnie zaprowadzi większą przejrzystość i porządek?

Jeśli spojrzeć na zimno, widać bardzo wyraźnie, że polska polityka zagraniczna została w czasach PiS wyjątkowo mocno zredukowana. W zasadzie do roli klakiera prezydenta Trumpa. Inne kraje? Z Rosją *de facto* nie ma rozmów, z Ukrainą wygląda to słabo, kraje pozaeuropejskie praktycznie w polskiej perspektywie nie istnieją (poza Izraelem). Z kolei w Unii mamy ciągłe wstawanie z kolan, które kończy się niczym.

Morawiecki był skazany na współpracę ze słabo zarządzanym MSZ, na które nie miał wpływu i które było (i jest) miejscem ścierania się pisowskich (i nie tylko) koterii, czego odpryskiem były różne cuda z mianowaniem i odwoływaniem ambasadorów. Skoro więc Morawiecki nie mógł uzyskać kontroli nad ministerstwem, wybrał inny wariant. Wyjął z niego część, na której mu najbardziej zależy – tę od kontaktów z Unią Europejską – a resztę zostawił. Uznając, że niewiele traci.

A dlaczego kontakty z Unią? To oczywiste. Premier uczestniczy w posiedzeniach Rady Europejskiej, jest stałym gościem w Brukseli i sprawy unijne, budżet, fundusze są dla niego priorytetowe. Jeździ tam, świeci oczami, tłumaczy. Teraz będzie miał lepszą obsługę. Poza tym unijne decyzje mają wielki wpływ na resorty w Polsce, nie tylko gospodarcze, więc i on będzie miał dodatkowe narzędzie, by kontrolować to wszystko.

A że wspomniany ambasador Przyłębski będzie miał rozdwojenie jaźni i problem, kogo słuchać? Morawiecki jest przekonany, że nie będzie miał. Że wyjmuje Czaputowiczowi nie tylko departamenty zajmujące się Unią, ale i sprawy europejskie.

Z tego punktu widzenia podzielenie MSZ jawi się jako działanie absolutnie racjonalne. Część rządowa będzie od konkretów, a ta pod Czaputowiczem pozostanie skrzyżowaniem biura podróży z wydziałem propagandy.

Miłej pracy.

Attaché

Afgańskie dzieci bawią się w cegielni na obrzeżach Dżalalabadu.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl af54f16303

JOLKA

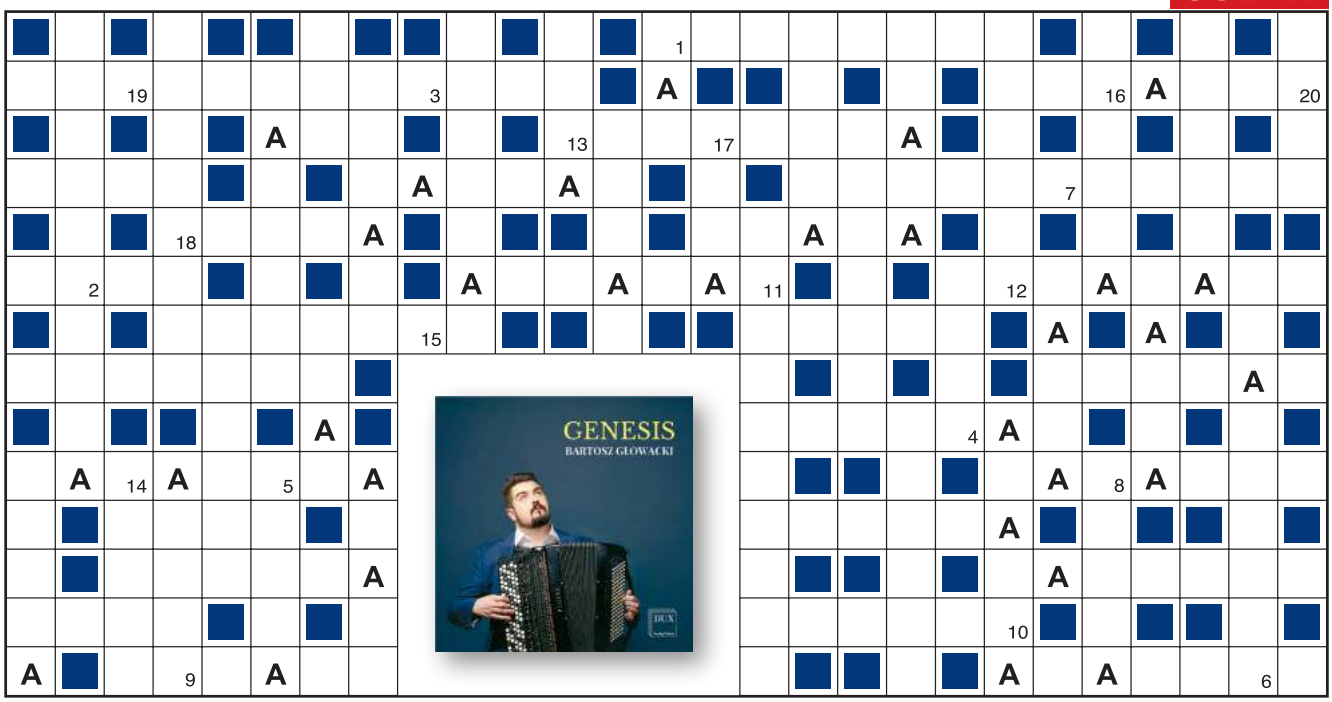

1	2	3	4	5	6	7	8

9	10	11	12	13	14	15

16	17	18	19	20

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery A ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- Żyd Wieczny Tułacz
- jednostka powierzchni gruntów o skrócie ac
- z tym największy jest, żeby dwoje chciało naraz
- jest nim aktor i tancerz Raoul Trujillo
- wykrywany próbą Marsha
- uszkodzenie urządzenia
- ślad po ranie
- pasmo włosków nad oczodołem
- surowiec w przemyśle papierniczym
- o dozorcy
- łyżka koparki
- snowboardowa lub kreślarska
- z Dydoną w tytule opery Purcella
- podstawowa broń maszynowa w drużynie piechoty
- namiastka, produkt zastępczy
- ludowa twórczość artystyczna
- dawane słabszemu zawodnikowi
- liści lub siana
- kurpiowska albo łowiecka
- Herakles ją poślubił, gdy wstąpił na Olimp
- śmiechu co niemiara
- naturalny barwnik dający kolor ciemnorudy
- imię posłanki Hartwich
- Milanówek z nim się kojarzy
- uzda bez wędzidła, z kółkiem do mocowania uwiązu
- tak tytułowany dyrygent
- bohaterka powieści i serialu lub kolarz Rafał
- nieudolne rysunki, bazgroły
- zagrożona wystrzeliwuje sepię
- rodaczka Ursuli von der Leyen
- brawa
- dawniej wielka ochota na coś
- miejsce stałego przebywania zwierzyny
- Sztywny… Azji
- karciane wino
- pozioma część balustrady
- Labrador lub Peloponez
- Krakowskie w Warszawie i Lublinie
- szefowa, zwierzchniczka
- „…stanu”, powieść Borisa Akunina
- klasyfikacja osób, firm, szkół
- lombardzki zwany pelagrą
- wada w postaci rysy, plamy
- Pontyjski lub Mongolsko-Mandżurski
- płynie z wolna w piosence o stokrotce
- zielony kamień szlachetny
- ponownie płyną kolektorem do Czajki
- wideoklip
- …wapnia – wapno palone
- smar do łożysk ślizgowych
- o dzieciaku z młodszej klasy
- na dzieci lub dla małych firm
- Ariel i Oberon jego satelitami
- niepewność, brak zdecydowania
- czarna… – jadowity pająk
- serdeczne uczucia dla dobroczyńcy
- z nich fryzura Meduzy
- przeciwna postępowości
- i sorgo, i pszenżyto
- dobrze, gdy dopisuje

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-936”. Do rozlosowania CD „Genesis” ufundowane przez DUX. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 1 grudnia 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-933” z 11 listopada: *Nie ma zasług bez walki.* Nagrody otrzymują: Jan Makowiec z Biecza, Jeremi Towerski z Piaseczna, Krystyna Wojewoda z Krosna.

eprasa.pl af54f16303

PENETRACJE

DZIENNIK GAZETA PRAWNA

PROF. MARIAN SZAMATOWICZ,
GINEKOLOG I POŁOŻNIK

Magda, czyli pierwsze dziecko urodzone u nas metodą pozaustrojową, skończyła właśnie 32 lata. Sama ma już trójkę dzieci, poczętych drogą naturalną. Nie byłem sam. W 1987 r. w Warszawie funkcjonował drugi zespół specjalistów, który również chciał doprowadzić do urodzenia dziecka metodą pozaustrojową. Oni działali w Centrum Zdrowia Dziecka. Ówczesne media podgrzewały atmosferę, donosząc: jest już dziecko, jeszcze nie ma, ale zaraz będzie. Jednak wiosną 1987 r. to my na ogólnokrajowym sympozjum poświęconym niepłodności pokazaliśmy zdjęcia USG rozwijającego się płodu.

HOLISTIC .NEWS

PROF. BARTŁOMIEJ MICHALAK,
POLITOLOG Z UMK

Powinniśmy bardziej się interesować działaniami naszych przedstawicieli, wymagać od mediów, by nie przestawały monitorować ich poczynań. Podczas wyborów musimy pamiętać o osobach, które zdradziły swoich wyborców. Musimy też pamiętać o partiach, które wystawiły na swoich listach przypadkowych polityków, i o tych, które przyjęły posłów. Nie stawiałbym na ograniczenia instytucjonalne, a na mądrzejsze korzystanie z karty wyborczej.

odra

PROF. JERZY JUCHNOWSKI,
UNIWERSYTET WROCŁAWSKI

Ochrona zdrowia jest dla PiS największym problemem, ponieważ nie ma już na to środków. A społeczeństwo tej sprawy nie odpuści. Przymknie oko na nauczycieli, milion mieszkań, elektryczne samochody czy inne obietnice, ale nie na katastrofalny stan lecznictwa. Jeżeli nastąpi tąpnięcie gospodarcze, a problem ochrony zdrowia nie będzie rozwiązany, natychmiast mamy serię strajków. Z jednej strony zbuntują się pacjenci, a z drugiej – opieka medyczna. Nie lubię i nie używam określenia służba zdrowia. Bo ona nią już dawno nie jest.

POLSKA

ANETA KRĘGLICKA,
BYŁA MISS WORLD

W 1992 r. założyłam swoją firmę i od tego czasu nigdy dla nikogo nie pracowałam. To jest trudne, bo oznacza pogoń za klientem, pilnowanie pracowników, ciągły stres i odpowiedzialność. Nie zawsze się wygrywa przetargi. Bywało różnie, a mimo to bilans jest na plus. Mam charakter lidera, pewnie jestem też apodyktyczna, przez całe zawodowe życie będąc szefową. Niektórzy uważają mnie za trudną osobę. Ale niestety w Polsce jest takie przeświadczenie i przyzwyczaiłam się już do tego, że człowiek wymagający jest uznawany za trudnego partnera. No cóż, wolę więc być trudna.

Ivone Martins po stracie dziecka zaczęła budować dom w brazylijskim Itaoca. Stało się to lekarstwem na depresję.

FOT. REUTERS/FORUM

Aby język giętki…

WALDEMAR KUCZYŃSKI O ANTONIM MACIEREWICZU

Za to niesłychane łajdactwo, że Tusk z Putinem zorganizowali mord zbiorowy w Smoleńsku, zasługuje na miano największej politycznej kanalii ostatnich 30 lat.

URSZULA DUDZIAK O MICHALE URBANIAKU

Jest trudnym człowiekiem, zawsze wszystko wie lepiej, ale na ogół ma rację.

PROF. MAGDALENA ŚRODA O PRZEMOCY

Mówienie, że trzeba budować domy dla samotnych matek, to bzdura. To agresor musi opuszczać lokal, a dokąd pójdzie, to jego sprawa.

ANIA RUSOWICZ O WCZASACH ALL INCLUSIVE W TURCJI

Wróciłam załamana. Pijaństwo grubo ponad miarę. Ludzie nakładali sobie na talerze fury jedzenia, które potem w większości lądowało w koszu.

PROF. LESZEK BALCEROWICZ O CZASACH SZKOLNYCH

Czyściłem klatki lisów oraz nutrii. Rano, jeszcze przed szkołą, woziłem mleko do mleczarni i przywoziłem serwatkę dla świń.

JERZY IWASZKIEWICZ O JANUSZU GAJOSIE

Pił na scenie i w życiu i wyszedł z tego.

KRYSTYNA JANDA O NASTROJACH

Wydaje się, że postawa wrogości jest akceptowana przez większość społeczeństwa. Bo wielkich protestów nie widać.

ADAM ZAGAJEWSKI O POEZJI

Nie wracam do dawnych wierszy, jestem opętany nadzieją napisania czegoś nowego.

ANNA STARMACH O MĘŻU PIOTRZE

Nim gdziekolwiek wyjdę, musi być akceptacja męża. Jest największym znawcą mojego stylu.

DAWID OGRODNIK O MATEUSZU KOŚCIUKIEWICZU

Dorośliśmy, dzieci sprawiły, że nasze ego zostało zepchnięte na drugi plan.

eprasa.pl af54f16303

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Ukryte? Nie przed dzikiem

Szybko rosnąca populacja włoskich dzików nie tylko wyrządza duże szkody w uprawach. Niedawno w rejonie Val di Chiana zwierzęta te rozkopały leśną kryjówkę z kokainą, niszcząc pojemniki z narkotykiem wartym 22 tys. euro. Sprawa wyszła na jaw dzięki podsłuchowi rozmów telefonicznych gangu rozpracowywanego przez toskańską policję. Trzej Albańczycy i Włoch, którzy w nocnych klubach w Arezzo mieli sprzedawać ok. 2 kg białego proszku miesięcznie, ewidentnie nie czytali wierszy Jana Brzechwy. W Polsce każde dziecko wie, że dzik jest dziki i trzeba z nim uważać.

Przynieś kapcie. I kalkulator!

Prestiżowy magazyn naukowy „Science" opublikował wyniki badań, które obaliły obiegowe przekonanie, że każdy rok życia psa odpowiada siedmiu latom człowieka. Badacze z Uniwersytetu Kalifornijskiego przyjrzeli się zmianom zachodzącym z upływem czasu w DNA czworonogów rasy labrador retriever. Na tej podstawie ogłosili, że „ludzki" wiek psów od pierwszego roku życia to 16-krotność logarytmu naturalnego z liczby przeżytych przez nie lat, powiększona o 31. Badacze podkreślają, że u najlepszych przyjaciół człowieka zegar początkowo tyka znacznie szybciej niż u nas, by później zwolnić. Przykładowo dwuletni labrador, mimo młodzieńczego zachowania, biologicznie jest już w średnim wieku – ma 42 lata, a pies pięcioletni to odpowiednik 62-latka.

Kanon do poprawki

Muzeum Sztuki w amerykańskim Baltimore w 2020 r. powiększy swoją kolekcję stałą wyłącznie o dzieła stworzone przez kobiety – zapowiedział dyrektor placówki Christopher Bedford. Wyraził przekonanie, że „należy zrobić coś radykalnego, aby naprawić stulecia nierównowagi". Choć pierwsza praca artystki trafiła do muzeum w 1916 r., dwa lata po jego założeniu, obecnie z 95 tys. dzieł sztuki składających się na kolekcję stałą tylko 4% stanowią te stworzone przez kobiety. Bedford zapewnił, że jego zespół pracuje nad „poprawieniem własnego kanonu".

Z sawanny do barku

Za ok. 32 dol. można nabyć butelkę ginu Indlovu, produkowanego z wykorzystaniem... odchodów południowoafrykańskich słoni. Paula Ansley wymyśliła taki nietypowy trunek, gdy na safari dowiedziała się, że zwierzęta te jedzą różne owoce i kwiaty, a przetrawić są w stanie ledwie jedną trzecią. Smak ginu, który wytwarza wspólnie z mężem Lesem, jest podobno „lekko pikantny, ziemisty, drewniany", a każda butelka została opisana datą i miejscem, w którym zebrano odchody. Chętnych nie brakuje. Czy raczej jest ich cała kupa.

Zapal, zrecenzuj i zarób

Portal AmericanMarijuana.org szuka osoby, która dysponuje obszerną wiedzą na temat maryśki i nie ma problemu z codzienną konsumpcją używki. Zadaniem współpracownika serwisu będzie prowadzenie wideobloga z testami różnych odmian marihuany oraz produktów spożywczych i leczniczych wyprodukowanych z konopi. Korzyścią testera będą nie tylko bezpłatne próbki, ale także wynagrodzenie, wynoszące ok. 3 tys. dol. miesięcznie. Jest haczyk: osoba ta musi mieszkać w USA lub w Kanadzie, w miejscu, gdzie marihuana jest legalna.

MEMY BEZ ŚCIEMY

eprasa.pl af54f16303

Parafrazując Jana Brzechwę, „zwierz jest dziki, zwierz jest zły, zwierz ma bardzo ostre kły”. Jeden sztuczny, drugi prawdziwy, ale grozę mogą budzić podobną.

Rodzina na swoim (uniwersytecie)

Południowokoreański rząd prowadzi śledztwo w sprawie akademików, którzy dopisywali własne lub spokrewnione dzieci do listy współautorów publikacji naukowych. Obecnie wiadomo o 17 naukowcach, którzy chcieli w ten sposób zwiększyć szanse konkretnych kandydatów na studia, i o 11 młodych ludziach, którzy dostali się na uniwersytet właśnie dzięki temu, że zostali wymienieni jako współtwórcy prac naukowych. W wyniku afery co najmniej jedna osoba już straciła pracę. Potwierdza się zasada, że kłamstwo ma krótkie nogi (i w tym przypadku – spodenki).

Kolorowy kapitalizm

Trwa spór między marką T-Mobile, należącą do Deutsche Telekom, i amerykańskim start-upem Lemonade. Chodzi o wykorzystanie przez tę drugą firmę w jednej z kampanii reklamowych na terenie Niemiec odcienia koloru magenta. Operator telefonii komórkowej uważa, że zgodnie z prawem tylko on może go używać. – Jeśli jakiś mózg w Deutsche Telekom faktycznie wymyśliłby tę barwę, to ich zaborczość wobec niej byłaby usprawiedliwiona. W przeciwnym razie te działania to zwykła korporacyjna taktyka zastraszania. Ich prawnicy próbują przejąć jeden z popularnych kolorów, który powinien należeć do wszystkich – skomentował Daniel Schreiber, prezes Lemonade. Start-up dowodzi ponadto, że wykorzystywany przez niego odcień różni się od zarejestrowanego przez niemiecki koncern.

FOT. AFP/EAST NEWS, EAST NEWS, MEMYTUTAJ.PL, SEKCJA GIMNASTYCZNA (2)

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl af54f16303

Zdzisław Beksiński „Krajobraz cmentarny I", 1970 r.

STRACH

Gustaw Gwozdecki „Autoportret – głowa chłopca", ok. 1900 r.

Wilhelm Kotarbiński „Grób samobójcy", Muzeum Narodowe w Krakowie, ok. 1900 r.

Dawny Pałac Biskupów Krakowskich
Kielce, plac Zamkowy 1
od 26 listopada do 29 marca

Strach jest jedną z najdotkliwszych ludzkich emocji. Artyści próbowali mierzyć się z nim i nadawać mu materialny kształt. Do zobrazowania go posługiwano się na przestrzeni wieków rozmaitymi środkami wyrazu, od alegorii, poprzez ekspresję twarzy i gesty oraz dosłowne przedstawienia sytuacji budzących grozę, aż po napięcie oddane przez formę i kolor. Na wystawie znalazły się dzieła takich artystów jak Pietro della Vecchia, Jacob de Backer, Nicolaas Verkolje, Tommaso Dolabella, Francisco Goya, Alfred Wierusz-Kowalski, Gustaw Gwozdecki, Witold Pruszkowski, Jonasz Stern i Zdzisław Beksiński, a jej dopełnieniem są film „Pies andaluzyjski" i gra komputerowa „Layers of Fear".

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl af54f16303

TEATR CAPITOL

Wystrzałowy Sylwester

Przywitaj Nowy Rok w capitalnym stylu!

O co biega?

PREMIERA WRZESIEŃ 2019

TEATR CAPITOL Duża Scena

START 17:00
W wydłużonej przerwie spektaklu poczęstunek i kieliszek wina!

START 21:00
- życzenia noworoczne od Aktorów
- po spektaklu impreza sylwestrowa do białego rana!
- muzyka na żywo oraz DJ
- wyśmienite menu i toast o północy
- open bar do godziny 4:00

Bilety od 160 zł

WYKRYWACZ KŁAMSTW

TEATR CAPITOL Scena Mniejsza

START 18:00
W wydłużonej przerwie spektaklu poczęstunek i kieliszek wina!

START 21:30
- życzenia noworoczne od Aktorów
- po spektaklu impreza sylwestrowa do białego rana!
- muzyka na żywo oraz DJ
- wyśmienite menu i toast o północy
- open bar do godziny 4:00

Bilety od 130 zł

Akt równoległy

PREMIERA LISTOPAD 2019

Multikino
Multikino Ursynów Al.Komisji Edukacji Narodowej 60

START 20:30
- życzenia noworoczne od Aktorów
- w cenie biletu wino musujące i słodki upominek od Szefa Kuchni!

Bilety od 250 zł

SKOK W BOK

Multikino
Multikino Ursynów Al.Komisji Edukacji Narodowej 60

START 21:00
- życzenia noworoczne od Aktorów
- w cenie biletu wino musujące i słodki upominek od Szefa Kuchni!

Bilety od 250 zł

• KUP BILET • Bilety już od 130 zł! • www.teatrcapitol.pl •

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl af54f16303

GAJOS SEWERYN
NIERADKIEWICZ MALEŃCZUK STENKA STRAMOWSKI
JAK UKRAŚĆ 850 MILIONÓW
SOLID GOLD
FILM JACKA BROMSKIEGO
W KINACH OD 29 LISTOPADA

eprasa.pl af54f16303